

MAGAZYN STARYCH POWĄZEK

# DeNews

1/2026(2)

Wizytacja kanoniczna

## Pielgrzymka do Coatlxopueh

Jest takie miejsce, gdzie pielgrzymuje najwięcej ludzi na świecie. A rozum i wiara mówią jednym głosem.

## Międzynarodowy Konkurs Chopinowski

Stare Powązki łączą się z Konkursem Chopinowskim bardziej, niż się wydaje: spoczywa tu prof. Jerzy Żurawlew, pomysłodawca konkursu, oraz najbliższa rodzina Fryderyka Chopina. To opowieść o muzyce, pamięci i sercu wracającym do Warszawy.

## Unikatowa skarbnica

Na warszawskim Kole relikwiarium z ponad 450 relikwiami sprawia, że „obcowanie świętych” staje się bliskie jak szept modlitwy.

## Triduum Paschalne

Triduum Paschalne to trzy dni, w których Bóg wchodzi w rok świata: w Wieczerniku bierze chleb, w Ogrodzie nasz lęk, na Krzyżu śmierć, a w Zmartwychwstaniu oddaje życie. Jeśli wejdziemy w te dni jak uczniowie, odkryjemy, że ta droga przechodzi przez nasze serce.

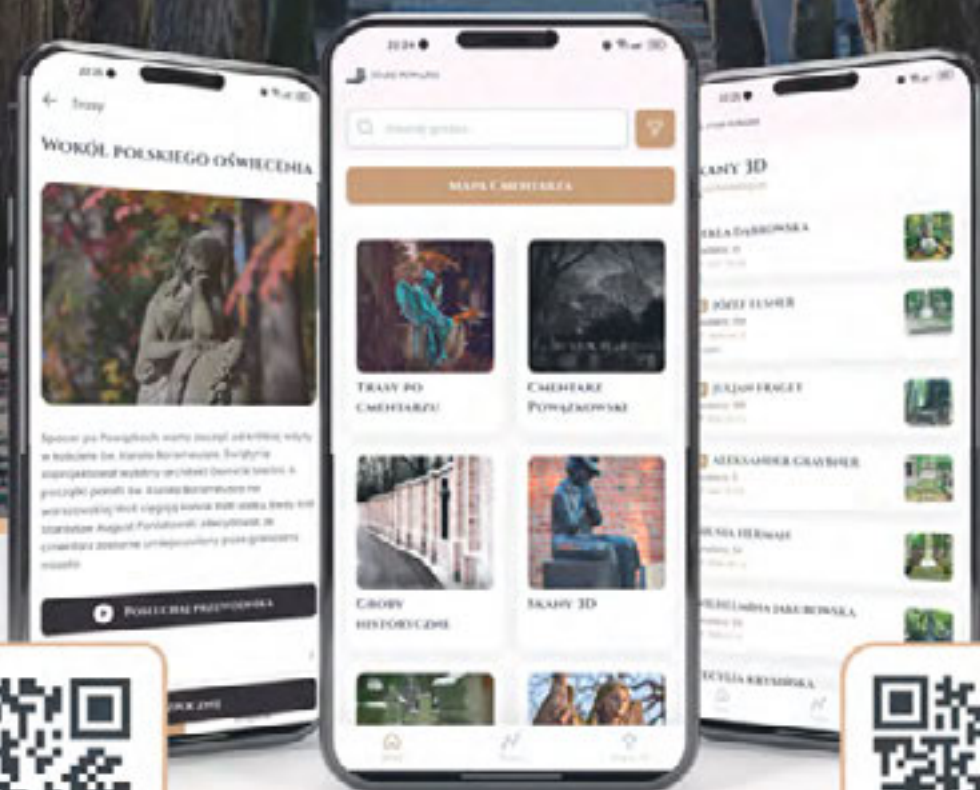




FUNDACJA  
STARE POWĄZKI

# APLIKACJA MOBILNA STARE POWĄZKI

Ponad 230 lat tradycji



POBIERZ Z  
App Store

## OFICJALNA APLIKACJA CMENTARZA

Zeskanuj kod QR  
i pobierz aplikację



POBIERZ Z  
Google Play

### PARTNERZY PROJEKTU



Fundacja

fundacja arp

ul. Powązkowska 14, 01-797 Warszawa

✉ fundacja@stare-powazki.pl

KRS: 0000886931 | NIP: 5272951999

🌐 fundacja.stare-powazki.pl



## **Ks. Jacek Laskowski** *redaktor naczelny*

Oddajemy w Twoje ręce nowy numer „DeNews” – numer do przejścia, nie do „odhaczenia”. Zaczynamy na pustyni: tam, gdzie cisza przestaje być niewygodna, a staje się potrzebna. Idziemy ku światłu Triduum Paschalnego, bo wiara nie jest testem z teorii, tylko przestrzenią spotkania – czasem bardzo cichego, a przez to prawdziwego.

Zabieramy Cię też daleko – do Guadalupe. To podróż, w której rozum i serce nie walczą o rację, tylko uczą się współpracy. A potem wracamy „na nasze”, bo Bóg bywa i w wielkich sanktuariach, i tuż za rogiem, dokładnie tam, gdzie zwykle pędzimy bez oddechu.

Zatrzymamy się na warszawskim Kole, w sanktuarium św. Józefa, gdzie znajduje się wyjątkowe relikwiarium – miejsce, w którym święci są zaskakująco blisko. Pan Edgar pisze o tym tak, że człowiek łapie się na myśli: „Może do świętości nie mam aż tylu kilometrów”.

Zapraszamy też na Stare Powązki: w ciszy alei spotkamy historię prof. Jerzego Żurawlewa, idei Konkursu Chopinowskiego i bliskich Fryderyka Chopina. To opowieść, w której pamięć nie umiera – tylko czasem... zmienia adres i przeprowadza się z kamienia do serca.

Pan Tomasz zaprosi do odważnego dialogu w Kościele – nie na ring, lecz do przestrzeni, gdzie słowo potrafi leczyć i jednoczyć. Pani Bożena przypomni, jak mądrze jest wsłuchać się w dzieci i wnuki, bo ich prostota bywa najlepszą mapą. Pani Maria znów poprowadzi nas pewną ręką alejami Powązek, odkrywając ludzi i historie, dzięki którym Warszawa oddycha pamięcią.

W świetle przemijania warto też pomyśleć o zdrowiu – spokojnie, bez paniki, ale odpowiedzialnie. Pan Marek przypomina, że troska o siebie bywa formą miłości: do życia i do tych, którzy na nas liczą.

I na koniec myśl prosta, a uparta: wciąż warto pisać ręcznie. Nie z sentymentu, tylko dla uważności. Odręczne pismo spowalnia świat, porządkuje wnętrze, a słowu nadaje ciężar i ciepło. Gdy przechodzi przez dłoń, przestaje być tylko informacją – staje się śladem serca.

Zapraszam do lektury! A podróż ta niech będzie owocna, spokojna i inspirująca.

Dobrej lektury!



# Spis treści

|                                                                                       |    |
|---------------------------------------------------------------------------------------|----|
| Alfabet, którym Bóg napisał wszechświat .....                                         | 4  |
| Pustynia, która zaczyna się w sercu .....                                             | 6  |
| Wielki Czwartek. Dzień, w którym Bóg uklęknął przed człowiekiem .....                 | 12 |
| Dochodzenie Wielkiego Piątku .....                                                    | 17 |
| Cisza przed uderzeniem światła .....                                                  | 19 |
| Poranek, który przestawił świat .....                                                 | 22 |
| Płockie Powązki. Stare Powązki w braterskiej opowieści Mazowsza .....                 | 26 |
| Unikatowa skarbnica. Relikwie na warszawskim Kole .....                               | 28 |
| Tryb ratunkowy duszy .....                                                            | 31 |
| Zdrowie i długowieczność w kontekście przemijania .....                               | 32 |
| Wizytacja kanoniczna .....                                                            | 37 |
| Religia jako przestrzeń: między ciszą a spotkaniem .....                              | 39 |
| Pięć perspektyw, kiedy ktoś cię rani .....                                            | 42 |
| Mur z liści. Jak Afryka (i nie tylko) rysuje nową mapę świata .....                   | 44 |
| Dobrze kochać siebie. Droga do autentycznych relacji .....                            | 47 |
| Między wczoraj a jutrem. O Kościele, który uczy się Miłości .....                     | 48 |
| Aleksandra Śląska. Stal i aksamit polskiej sceny .....                                | 50 |
| Relikwie ukrzyżowania .....                                                           | 54 |
| Kaszkiety – czapka z charakterem. Od przymusu po ikonę stylu .....                    | 56 |
| Zagrożenia dla rozwoju dzieci we współczesnej rzeczywistości .....                    | 59 |
| Międzynarodowy Konkurs Chopinowski.<br>100 lat z historią Starych Powązek w tle ..... | 62 |
| Zagadka serca Fryderyka Chopina .....                                                 | 67 |
| Stare Powązki i Père-Lachaise. Dwie dusze pamięci .....                               | 70 |
| Zwyczajność to nie plan B .....                                                       | 71 |



|                                                                                                    |     |
|----------------------------------------------------------------------------------------------------|-----|
| Myśli Papieskie .....                                                                              | 75  |
| Myśli Pasterskie. Prawda, która nie umiera .....                                                   | 77  |
| Cichy renesans wiary .....                                                                         | 79  |
| Zmieniamy Powązki .....                                                                            | 81  |
| Pochowani na Starych Powązkach – Stanisław Lilpop (1817–1866).....                                 | 82  |
| Cytaty – Tomasz à Kempis. O naśladowaniu Chrystusa .....                                           | 84  |
| Inteligencja emocjonalna. Umiejętność, która zmienia codzienność .....                             | 85  |
| Algorytmy wychowują? Ideologizacja mediów społecznościowych<br>i jej skutki dla młodych .....      | 87  |
| Stan Duszy .....                                                                                   | 91  |
| Młode wino i stare bukłaki. Kościół – naród – rodzina<br>nie przetrwają bez otwartego dialogu..... | 92  |
| Biblioteka Powązkowska. Jak pokochać siebie .....                                                  | 99  |
| Samotność 5G .....                                                                                 | 100 |
| Pielgrzymka do Guadalupe .....                                                                     | 104 |
| Tajemnica, której nie da się wyjaśnić.<br>Obraz, którego nie namalowała ręka ludzka .....          | 113 |
| Miłość w trzech językach. Wywiad: Tania Prado i Robert Kornecki .....                              | 116 |
| AED. Urządzenie, które daje drugą szansę i odwagę, by ją podarować .....                           | 120 |
| Opowieść o starcu, który rozdawał kamienie .....                                                   | 123 |
| Pióro, które myśli. O mocy odręcznego pisania .....                                                | 126 |
| RESUME .....                                                                                       | 128 |

**Tytuł** DeNews – Magazyn Starych Powązek  
**Wydawca** Parafia Rzymskokatolicka pw. Św. Karola Boromeusza na Starych Powązkach  
ul. Powązkowska 14, 01-797 Warszawa  
e-mail: magazynedenews@gmail.com | stare-powazki.pl  
**Redakcja** Redaktor naczelny: Ksiądz Kanonik Jacek Laskowski  
Sekretarz redakcji: Karol Gądzik

**Wszelkie prawa zastrzeżone**





# Alfabet, którym Bóg napisał wszechświat

Jan Bilyk

Lwów, lata trzydzieste XX wieku. Kawiarnia Szkocka przy ulicy Akademickiej.

Przy marmurowych stolikach siedzą mężczyźni z kawą i papierosem. Stefan Banach, Hugo Steinhaus, Stanisław Ulam. Przed nimi leży gruby zeszyt. Księga Szkocka – miejsce, gdzie zapisują problemy matematyczne, które nie dają im spokoju.

Piórem. Odręcznie. Precyzyjnie.

Każde równanie formowane powoli, litera po literze. Każdy symbol kreślony z namysłem. To nie przypadek, że największe matematyczne odkrycia XX wieku rodziły się na papierze, pod ręką trzymającą pióro.

Styczeń 2024. Norweski Uniwersytet Nauki i Technologii publikuje wyniki badań, które wreszcie wyjaśniają dlaczego.

Trzydziestu sześciu studentów. Dwieście pięćdziesiąt sześć elektrod wmontowanych w czepek. Zadanie: napisać słowo – raz odręcznie, raz na klawiaturze. Naukowcy Audrey van der Meer i Ruud van der Weel mierzą aktywność elektryczną mózgu.

Wyniki są jednoznaczne.

Gdy piszemy ręką, w mózgu powstają rozległe wzorce połączeń. Aktywują się regiony odpowiedzialne za ruch, wzrok, pamięć i przetwarzanie sensoryczne. Co najważniejsze – aktywność w pasmach theta i alpha, bezpośrednio związanych z kodowaniem nowej informacji i tworzeniem wspomnień. Hipokamp – centrum pamięci – pracuje na pełnych obrotach.

Przy pisaniu na klawiaturze? Praktycznie cisza.

„Gdy piszemy odręcznie, wzorce łączności mózgu są znacznie bardziej rozbudowane” – wyjaśnia van der Meer. „Taka szeroka łączność mózgowa jest kluczowa dla formowania pamięci i kodowania nowych informacji”.

Dla matematyki to odkrycie ma szczególne znaczenie. Bo matematyka to nie tylko symbole – to sposób myślenia. Abstrakcyjne równanie nabiera znaczenia dopiero wtedy, gdy umysł potrafi je uchwycić, przekształcić, zrozumieć jego strukturę. A to wymaga głębokiego kodowania w pamięci.

Gdy dziecko wypisuje równanie ręką, każdy ruch palców tworzy unikalny wzór motoryczny. Symbol „ $\int$ ” kreślony inaczej niż „ $\Sigma$ ”, a „ $\pi$ ” inaczej niż „ $\theta$ ”. Mózg tworzy bogaty obraz każdego znaku – wizualny, motoryczny, przestrzenny.

## Alfabet, którym Bóg napisał wszechświat

Przy klawiaturze wszystkie symbole powstają tym samym ruchem palca.

We współczesnych badaniach neurologicznych widać coś, co matematycy ze Lwowa intuicyjnie rozumieli: prawda matematyczna wymaga czasu. Wymaga powolnego formowania myśli. Wymaga ręki, która kreśli, przekreśla, poprawia, szuka.

W katolickiej tradycji istnieje pojęcie *lectio divina* – powolnego, kontemplacyjnego czytania Pisma. Każde słowo czytane z namysłem, przeżywane, pozwalane, by wsiąkło w serce. Pisanie odręcznie to coś podobnego – *mathesis divina*. Powolne wpisywanie prawdy matematycznej w struktury mózgu i duszy.

Bo matematyka, jak przypominał Galileusz, to język, którym Bóg napisał wszechświat. A ten język,

jak każdy prawdziwy język, nie poznaje się przez szybkie klikanie. Poznaje się przez ręczne kreślenie.

Dzisiaj, gdy szkoły coraz częściej rezygnują z odręcznego pisania na rzecz tabletów i klawiatur, wyniki badań van der Meer brzmią jak ostrzeżenie: „Jeśli młode dzieci nie otrzymują treningu w pisaniu odręcznym – które jest doskonałą stymulacją dla mózgu – ich mózgi po prostu nie osiągną pełnego potencjału”.

Księga Szkocka zachowała się. Leży w bibliotece uniwersytetu w Edynburgu. Czterdzieści problemów matematycznych zapisanych odręcznie. Niektóre rozwiązane po dekadach. Niektóre czekają nadal.

Może właśnie dlatego, że zostały zapisane ręką – żyją.





# Pustynia, która zaczyna się w sercu

Ks. Jacek Laskowski

**Wielki Post nie zaczyna się od wyrzeczeń, lecz od decyzji, by wejść na swoją wewnętrzną pustynię – miejsce, gdzie czas przestaje być tyranem, modlitwa staje się ryzykiem, a samotność otwiera serce na ludzi.**

To przestrzeń, która nie potrzebuje piasku Sahary, lecz odwagi, by zatrzymać się, wyciszyć i pozwolić Bogu zmienić naszą mapę życia.

Nie szukam już pustyni na mapie.

Coraz bardziej odkrywam, że zaczyna się ona we mnie: między jednym powiadomieniem a drugim, między dwoma rozmowami, w chwili, gdy wyłączam silnik samochodu i jeszcze przez moment siedzę w ciszy.

Wielki Post to właśnie taka propozycja: **nie egzotyczna wyprawa do piasku, ale wejście w przestrzeń, w której „oddycha się Duchem”.**

Nie chodzi o zmianę krajobrazu, tylko o zmianę rytmu serca.

Chciałbym zaprosić Cię w tym tekście nie na pobożną wycieczkę, ale na drogę, która może czasem zabołec, trochę przestraszyć, ale przede wszystkim – **otworzyć**. Na Boga. Na siebie. Na drugiego człowieka. Na Wielki Post, który nie będzie zestawem pobożnych zadań, ale **podróżą przez pustynię**.

## 1. Pustynia czasu – zdjąć zegarek z ręki

Pierwsze słowo pustyni brzmi zaskakująco: „Czekaj”. „Attendez”.

Ktoś, kto przejeżdża przez Saharę, szybko odkrywa, że tam nic nie dzieje się „już”, „natychmiast”, „pilnie”. Możesz się śpieszyć, nerwowo sprawdzać zegarek, powtarzać w duchu: „przecież mam swoje plany” – pustynia reaguje na to całkowitą obojętnością.

Wielki Post ma w sobie dokładnie tę samą logikę. To nie jest czas dla ludzi, którzy chcą „załatwić” z Bogiem kolejny projekt: „W tym roku poprawię to, odhaczę tamto, stanę się trochę lepszy, będę bardziej święty – i mamy to”.

Pustynia mówi: „**Najpierw odłóż zegarek**”. Oczyszczyć swoje pragnienia z pośpiechu, z nerwowości

## Pustynia, która zaczyna się w sercu

potrzeby efektu. Pozwól, żeby czas przestał być Twoim narzędziem, a stał się miejscem spotkania.

.....

***Wielki Post ma w sobie tę samą logikę:  
nie jest dla ludzi, którzy chcą „załatwić”  
z Bogiem kolejny projekt***

.....

W Księdze Rodzaju jest ten cichy, piękny moment: Noe wypuszcza gołębicę i – jak tłumaczy Chouraqui – „ma nadzieję przez siedem dni”. Nie „przeczekuje”. Nie „odlicza”. **Ma nadzieję.**

**Oczekiwać to mieć nadzieję.**

To może być pierwsze zdanie na Wielki Post: „Nie chodzi o to, ile postanowień zapiszesz, ale **ile nadziei zostawisz Panu w swoim czasie**”.

- Czy potrafisz usiąść przed Bogiem bez planu, bez listy, bez gotowego scenariusza?
- Czy potrafisz powiedzieć: „Panie, mam dla Ciebie godzinę. Rób z nią, co chcesz. Nawet jeśli niczego nie «poczuję»”?
- Czy potrafisz zgodzić się, że **On ma prawo przyjść „za późno” według Twoich miar?**

Pustynia zaczyna się tam, gdzie **rezygnuję z kontroowania czasu**, a zaczynam go oddawać. Nie „strata czasu na modlitwę”, tylko **uwolnienie czasu z moich ambicji**.

Na czas Wielkiego Postu możesz zrobić gest bardzo prosty, ale radykalny: wybrać jedną chwilę dnia, w której **niczego nie przyspieszasz i niczego nie oczekujesz oprócz Jego obecności**.

Siąść na swoim „stołku na granicy pustyni” i powiedzieć:

„Jestem. Czekam. Mam nadzieję”.

**2. „Niebezpieczeństwo! Modlitwa” – kiedy Bóg zmienia nam mapę.**

Na jednej z saharyjskich dróg stoi podobno znak: „**Niebezpieczeństwo! Piasek**”.

Na pierwszy rzut oka to brzmi prawie komicznie: co może zrobić kilka ziaren piachu samochodowi?

Do momentu, kiedy przyjdzie burza piaskowa.

Kiedy wiatr rozszałe się do granic, wszystko zniknie w brunatnym pyłu, a po ustaniu nawałnicy okaże się, że **wydmę stoją w innych miejscach, znane punkty odniesienia zniknęły, mapa się przestała zgadzać z rzeczywistością**.

I to jest bardzo dokładny obraz tego, co dzieje się w życiu człowieka, który naprawdę pozwala sobie na modlitwę.

My na ogół chcielibyśmy, żeby modlitwa była:

- wsparciem dla naszych planów,
- umocnieniem dla naszych przekonań,
- lekkim podniesieniem nastroju,
- duchową kawą „na wynos”.

Tymczasem **prawdziwa modlitwa częściej przypomina burzę piaskową niż filiżankę latte**.

To nie ty „przechodzisz przez modlitwę”.

To **modlitwa przechodzi przez ciebie**:

- podważa twoje schematy,
- rozrywa fałszywe zabezpieczenia,
- przekreśla plany, które wydawały się „logiczne i pobożne”,
- dopuszcza momenty wewnętrznej ciemności, w których nie wiesz, co się dzieje.

Może już to przeżyłeś: siadasz do modlitwy i zamiast pięknych wzruszeń – pustka, nuda, rozproszenia, niecierpliwość, „zmarnowany czas”.

Wychodzisz z przekonaniem: „to nie ma sensu, nic nie czuję, nic nie rozumiem”.

.....

***Prawdziwa modlitwa częściej  
przypomina burzę piaskową  
niż filiżankę latte***

.....



# Pustynia, która zaczyna się w sercu

A może to właśnie **pierwsze objawy burzy piaskowej Ducha?**

Może **Bóg właśnie usuwa ci stare „wydmy” spod nóg?**

Może usuwa te wszystkie punkty, na których opierałeś się bardziej niż na Nim: Twoje wyobrażenia, twoje „wiem, na jakim etapie jestem”, twoje wykresy duchowego rozwoju?

Wielki Post będzie uczciwy dopiero wtedy, gdy przyznam przed sobą:

**Modlitwa jest niebezpieczna. Bo Bóg przez nią robi ze mną coś, czego nie kontroluję.**

Jeśli szukasz w życiu duchowym jedynie świętego komfortu, Wielki Post stanie się uciążliwą dekoracją roku liturgicznego.

.....  
*Prawo pustyni jest proste:*

*dzisiaj ja potrzebuję ciebie, jutro ty*

*będziesz potrzebował mnie*  
.....

Jeśli jednak trochę się zgodzisz na „burzę piaskową”, jeśli zostaniesz na swojej wydmie, nawet z mdłościami, z nudą, z poczuciem bezsensu – **to jest właśnie modlitwa Wielkiego Postu:** nie efektowna, tylko prawdziwa.

Może warto powiesić w sercu niewidzialny szyld: „**Niebezpieczeństwo! Modlitwa**”.

Żebyś pamiętał, że jeśli wchodzisz w rozmowę z Bogiem, to wchodzisz w obszar, w którym **On ma prawo zmienić ci mapę życia.** I chwała Bogu, że to robi.

**3. Samotność zamieszкана – pustynia nie jest po to, by uciec od ludzi.**

Jest taka pokusa, którą każdy z nas zna: „Świat mnie męczy. Ludzie mnie męczą. Obowiązki mnie męczą. Pójdę na moją małą pustynię i wreszcie **nikt nie będzie mi się plątał pod nogami**”.

Pustynia bardzo szybko tę iluzję obnaża.

Samochód zakopany w wydmie, bezradność, piasek po kostki – i nagle **potrzebujesz kogoś**, kto się zatrzyma, wyjdzie ze swojej ciężarówki, włoży ręce w twój piasek, pomoże ci ruszyć dalej. I to robi. Bez rachunku, bez faktury, bez „przysługa za przysługę”.

Prawo pustyni jest proste: **dzisiaj ja potrzebuję ciebie, jutro ty będziesz potrzebował mnie.** Solidarność jest ważniejsza niż zapłata.

I tu rodzi się trzecia, bardzo ważna myśl Wielkiego Postu: **samotność to co innego niż izolacja.**

- **Samotność** jest po to, żeby serce stało się bardziej dostępne dla Boga i dla ludzi.
- **Izolacja** jest po to, żeby mieć święty spokój.

Wielki Post, który zamienia się w duchowy projekt pod tytułem: „Chcę mieć święty spokój od ludzi, od ich bałaganu, od telefonu, od prośb” – to nie jest Ewangelia. To jest ucieczka.

Pustynia chrześcijańska nie służy temu, by **zamknąć się przed światem**, ale by serce stało się **bardziej pojemne na świat.**

Jeśli idę w samotność:

- nie po to, by nie słyszeć cudzych problemów, ale po to, by ich **nie zagłuszać w sobie;**
- nie po to, by odłączyć się od ludzi, ale po to, by odkryć, że **w Bogu jestem z nimi głębiej związany** niż wtedy, gdy kręcę się obok nich bez chwili milczenia.

Cela mnicha – mówi tradycja – jest pełna twarzy: dziecka, którego nikt nie całuje; starca, który milknie w tłumie; człowieka chorego, uzależnionego, zagubionego.

To nie jest ucieczka od świata, to jest **wzięcie go w siebie przed Bogiem.**

Wielki Post może być dla ciebie czasem „samotności zamieszkaney”:

- jeśli twoje wyciszenie nie odcina od ludzi, ale sprawia, że patrzysz na nich z większą czułością;
- jeśli twoje wyrzeczenia nie są teatrem dla Boga, ale rodzą w tobie więcej zrozumienia dla cudzej słabości;



## Pustynia, która zaczyna się w sercu

- jeśli twoje posty i modlitwy nie zamykają cię w pobożnej bańce, ale sprawiają, że serce staje się **bardziej miękkie**.

Bo jest prosty test: jeżeli po Wielkim Poście **bardziej mnie denerwują ludzie**, a mniej denerwują moje własne ograniczenia – to znaczy, że byłem raczej na „urlopie od świata”, nie na pustyni z Bogiem.

### 4. Pustynia na asfalcie – Wielki Post bez zmiany adresu

Autor pustynnych zapisków mówi w pewnym momencie bardzo prosto: „Bezkraina Sahara przyciąga mnie w kącie domu, na autostradzie, na zatłoczonej ulicy, ilekroć postanawiam wyrwać się z niewoli tego, co pozorne, przypadkowe, z dyktatury zewnętrżności”.

Czyli: **pustynia nie jest miejscem geograficznym, tylko sposobem bycia**.

To dobra wiadomość dla nas wszystkich: nie trzeba lecieć do Ziemi Świętej, nie trzeba wyjeżdżać do klasztoru, nie trzeba zmieniać kontynentu. Wystarczy, że zgodzisz się w środku dnia – w pracy, w domu, w tramwaju – na krótkie „**ODEJŚCIE DO ŚRODKA**”:

- na minutę uważnej ciszy,
- na jedno zdanie modlitwy z serca, nie z kartki,
- na świadomą rezygnację z komentarza, który na pewno byłby „bardzo trafny”, ale zraniłby kogoś,
- na spojrzenie na kogoś **nie przez pryzmat roli, jaką wobec ciebie pełni, ale po prostu jako człowieka**.

Wielki Post to szansa, by **zwyczajność stała się pustynią** – nie w sensie pustki, ale w sensie wolności:

- wolności od przymusu,
- wolności od maski,
- wolności od ciągłego „muszę coś robić, bo inaczej nic nie znacze”.

Pustynia uczy człowieka jednego: „Najbardziej niezwykłą czynnością jest pozwolić, żeby czas

mijał – w obecności Kogoś, kogo kocham i kto mnie kocha”. To jest serce modlitwy. To może być serce Wielkiego Postu.

### Na drogę przez Wielki Post – kilka zdań do powrotu

Jeśli miałbym zostawić Ci parę myśli jak kamyczki do kieszeni na te czterdzieści dni, byłyby to chyba te:

- **Oczekiwać to mieć nadzieję**. Nie skracaj czasu Bogu. On się czasem „spóźnia”, żeby uratować ci wiarę przed byciem automatem.
- **„Niebezpieczeństwo! Modlitwa”**. Jeśli modlitwa zaczyna ci burzyć plany i poczucie kontroli – to nie znaczy, że coś robisz źle. To może znaczyć, że **Bóg wreszcie zaczął robić coś na serio**.
- **Samotność zamieszкана, nie izolacja**. Jeśli twoje wyciszenie oddala cię od ludzi – to nie jest pustynia Ewangelii. Pustynia, na którą wprowadza Duch, zawsze prowadzi z powrotem do człowieka.
- **Pustynia nie jest celem, tylko wyjściem**. Nie zostajesz w niej na zawsze. Przechodzisz, żeby pójść dalej – ku Ziemi Obiecanej, której imię brzmi: **większa miłość**.

Wielki Post nie musi być ciężarem. Może być **szkołą pustyni: szkołą czasu, który nie jest mój, modlitwy, której nie kontroluję, samotności, która otwiera na drugiego**.

Jeśli się na to zgodzisz, może gdzieś po drodze usłyszysz w sercu cichą modlitwę, która płynęła z ust pustelników i świętych:

**O beata solitudo!  
O błogosławiona samotności,  
która nie zostawia mnie samego.**

.....

*Pustynia to nie miejsce geograficzne,  
ale sposób bycia – można ją znaleźć  
na autostradzie, w kuchni, w tramwaju*

.....







# WIELKI Czwartek

Wielki Czwartek to dzień, w którym Bóg po raz pierwszy uklęknął przed człowiekiem. W ciszy Wieczernika narodziła się rewolucja miłości – bez słów, bez triumfu, bez gestów władzy. Chleb stał się ciałem, służba – królewskością, a cisza – krzykiem Boga, który postanowił zostać z człowiekiem aż do końca. To opowieść o nocy, w której Miłość nie uciekła, choć mogła.

To był wieczór, który zaczął się jak każdy inny – zwyczajnie, niemal banalnie. Jerozolima drżała w przedświątecznym napięciu. Ulice pulsowały rozmowami pielgrzymów, w domach dopinano ostatnie przygotowania do Paschy. W powietrzu unosił się zapach pieczonego chleba, oliwy i dymu palenisk – ten sam, który towarzyszył człowiekowi od tysięcy lat. Nic nie zapowiadało, że historia właśnie bierze głęboki oddech przed najważniejszym momentem.

.....

*To był moment, w którym odwrócił się  
porządek świata – Bóg uklęknął  
przed człowiekiem*

.....

Tam, w małej sali na piętrze jednego z domów, zebrali się ludzie, których nikt nie nazwałby wpływowymi. Rybacy, celnik, gorliwiec, zdrajca. A jednak to właśnie oni mieli być świadkami największego objawienia miłości. Na stole leżał chleb, w dzbanie czerwieniło się wino. Wszystko wyglądało jak zwykła kolacja – dopóki Jezus nie wstał od stołu.

Światło lamp oliwnych drżało na Jego twarzy, kiedy zdjął płaszcz, przepasał się ręcznikiem i nachylił nad stopami uczniów. Wtedy czas jakby się zatrzymał. W ciszy słychać było tylko plusk wody i przyspieszone oddechy zdumionych ludzi. To był moment, w którym odwrócił się porządek świata – Bóg uklęknął przed człowiekiem.

Nie w geście kapitulacji, lecz w geście miłości. Nie w teatrze pokory, lecz w realnym dotyku ciała, kurzu, potu, wstydu. Od tamtej chwili żadna władza, żaden autorytet, żadne imię nie mogło już znaczyć więcej niż ten gest. Bo w tamtym Wieczerniku zaczęła się rewolucja – cicha, bez oręża, bez okrzyków, bez triumfu. Rewolucja Boga, który uczy świat, że największa siła rodzi się z miłości, która potrafi klęknąć.





# Wielki Czwartek

## Dzień, w którym Bóg uklęknął przed człowiekiem

Ks. Jacek Laskowski

### 1. Bóg, który klęka

Nie ma drugiej takiej sceny w historii – ani w religii, ani w literaturze, ani w dziejach ludzkości. Żaden mit, żadna opowieść, żadne dzieło sztuki nie ośmieliło się pokazać Boga w takiej postawie.

Oto Pan nieba i ziemi, Ten, który jednym słowem powołał do istnienia światło, który rzekł morzu: „dotąd”, a gwiazdom wyznaczył ich ścieżki – przepasuje się ręcznikiem i klęka

przed człowiekiem. Nie w majestacie, ale w geście służby. Nie w blasku chwały, lecz w milczeniu pokory.

Tam, gdzie dotąd klękał tylko człowiek, klęka Bóg. Nie żeby odebrać cześć – ale żeby ją oddać. Każdy ruch dłoni, każde zanurzenie w wodzie, każdy szelest tkaniny to jak ciche zdanie wypowiedziane językiem miłości: „Nie przyszedłem, by mi służyli, lecz by służyć”.

Wtedy wszystko w Piotrze się buntuje. Bo jeśli Bóg klęka, to co zostaje człowiekowi? Jak żyć dalej, gdy Najwyższy zajmuje najniższe miejsce? Piotr próbuje ratować porządek, w którym Pan pozostaje Panem, a uczeń uczniem: „Ty, Panie, chcesz mi umyć nogi?”.

Ale Jezus nie pozwala mu uciec w godność. Bo prawdziwa miłość nie zna dystansu.

*Prawdziwa  
miłość nie zna  
dystansu*

W tym geście zawiera się cała teologia odwróconego świata. Świata, w którym wielkość mierzy się

zdolnością do uniżenia, a świętość – zdolnością do służby. To moment, w którym wszystkie hierarchie, tytuły i splendory tracą sens. Bo Bóg uczy, że kto naprawdę kocha, nie stoi nad innymi. Klęka przed nimi – nie po to, by się umniejszyć, ale by drugiego człowieka podnieść.

I od tamtej chwili wszystko się zmienia. Bo raz zobaczywszy Boga na kolanach, człowiek już nigdy nie może kochać tak, jakby chodził wyżej.



### 2. Chleb, który ma smak wieczności

Potem Jezus wziął chleb. Nie złoto, które błyszczy, ani kamień, który trwa. Nie koronę, nie berło, nie symbol władzy. Wziął coś, co codzienne – kruchy, pachnący, ciepły chleb. Owoc ziemi i pracy rąk ludzkich. Zwyczajność, która tego wieczoru stała się wiecznością.

„To jest Ciało moje”.

Słowa, które do dziś rozdierają ciszę każdej Eucharystii. Nikt wcześniej nie wypowiedział nic bardziej niepojętego. Bo oto Bóg nie tylko

..... mówi – On daje siebie. Nie w idei, nie w metaforze, ale naprawdę: w smaku, w dotyku, w geście. Wchodzi w materię świata, w to, co kruche, jadalne, ulotne. W ciepło dłoni, które łamią chleb, w zapach wina, które rozlewa się po stołach, w codzienność, która – odkąd On w niej zamieszkał – przestała być zwykła.

Eucharystia to nie wspomnienie. To nie symboliczna rekonstrukcja Ostatniej Wieczerzy. To wydarzenie, które dzieje się za każdym razem naprawdę. Gdy kapłan podnosi hostię, czas traci swoją linię.

Wieczernik, Golgota i nasze dziś spotykają się w jednym punkcie. Tu i teraz Bóg mówi: „Jestem”.

Uczniowie wtedy nie rozumieli. Widzieli w Nim jeszcze przyjaciela, nie Tego, który właśnie zostawia im swoje serce w kawałku chleba. Nie wiedzieli, że to pożegnanie – że ten gest łamania jest jak ostatni list Ojca do dzieci, pisany nie atramentem, ..... lecz miłością. List, który się nie starzeje.

*Eucharystia to nie wspomnienie.*

*To wydarzenie, które dzieje się  
za każdym razem naprawdę*

.....

..... Kiedy Jezus przełamał chleb, nie chodziło tylko o gest. To było proroctwo. Zapowiedź, że Jego ciało też zostanie złamane – nie po to, by zniszczyć, ale by nakarmić. Bo prawdziwa miłość zawsze się łamie, by dawać życie innym.

Od tamtej nocy świat już nigdy nie był głodny tak samo. Bo każdy głód – nie tylko chleba, ale sensu, nadziei, bliskości – znalazł swoje zaspokojenie w Tym, który został wśród nas nie w potęgze, ale w kruszynie.

W smaku wieczności, który codziennie leży na dłoni człowieka.



# Wielki Czwartek – dzień, w którym Bóg uklęknął przed człowiekiem

## 3. Ciemność, która zaczyna szeptać

A potem zaczyna się noc. Nie taka zwykła, ale noc gęsta od znaczeń, jakby ciemność sama nabrała świadomości. Wychodzą z Wieczernika, a świat wokół zdaje się milczeć z przeczucia. Powietrze jest ciężkie, jakby ziemia zatrzymała oddech, wiedząc, że coś się właśnie rozstrzyga między niebem a człowiekiem. Tylko księżyc wisi nad Górą Oliwną jak niemy świadek.

Jezus idzie na modlitwę. Tam, wśród drzew oliwnych, w miejscu, które znał dobrze, klęka znów – tym razem nie przed człowiekiem, ale przed Ojcem. Nie ma już tłumów, cudów, oklasków. Jest

.....

*To modlitwa kogoś, kto wie,*

*że miłość boli, a mimo to*

*mówi: „Nie moja, lecz Twoja wola”*

.....

tylko On i noc. Cisza, która boli. „Ojcze, jeśli to możliwe...” – te słowa są jak pęknięcie w sercu świata. Bo oto Bóg, który stworzył człowieka bez bólu, sam wchodzi w ból. Bóg, który nigdy nie kłamał, teraz się poci ze strachu. Bóg, który mógłby wszystko zatrzymać jednym gestem, pozwala, by lęk wziął Go w ramiona.

To jest najgłębszy moment Jego człowieczeństwa. Bo tu nie widać chwały, tylko słabość. Ale to właśnie w tej słabości rodzi się moc. Nie ma w historii mocniejszej modlitwy niż ta w Getsemani – pełnej drżenia, łez i milczenia. To modlitwa kogoś, kto wie, że miłość boli, a mimo to mówi: „Nie moja, lecz Twoja wola”.

Uczniowie śpią. Nie z braku wiary – ze zmęczenia, jak my wszyscy. Bo ile razy Bóg modli się obok nas, a my nie potrafimy otworzyć oczu? Ile razy Jego samotność trwa tuż obok, a my przegapiamy ją, zasypiając w cieple własnego spokoju?

I wtedy w oddali błyska światło pochodni. Ciemność zaczyna szeptać po imieniu: Judasz.

Nie biegnie, nie krzyczy – idzie pewnie, z pocałunkiem na ustach i planem w sercu. Zdrada nigdy nie przychodzi w szacie zła. Przychodzi elegancko, racjonalnie, z argumentem w kieszeni. „Trzeba to zrobić”, „tak będzie lepiej”, „to tylko obowiązek”.

W tej chwili zaczyna się dramat nie tylko Jezusa, ale całego człowieczeństwa. Bo każdy z nas nosi w sobie coś z Judasza i coś z Piotra – jednego, który zdradza, i drugiego, który zarzeka się ze strachu. Getsemani to lustro duszy: pokazuje, kim jesteśmy, gdy gaśnie światło i zostaje tylko prawda.

A noc wciąż szeptała. Ale gdzieś w tym szeptaniu rodził się świt. Bo nawet gdy świat zdradza Boga, On nie zdradza świata.

## 4. Cisza, która krzyczy

Wielki Czwartek kończy się bez słów. Tabernakulum jest puste, ołtarz obnażony, a światło gaśnie jak ostatni oddech dnia. Zostaje cisza – nie ta zwyczajna, lecz cisza gęsta jak lza, cisza, w której słyhać wszystko: szelest komży, cichy stuk kroków, drżenie serca. To cisza, która nie milczy, ale krzyczy.

.....

*To właśnie ta cisza*

*krzyczy najgłośniej:*

*„Zostałem”*

.....

W kościele nie ma już śpiewu, nie ma dźwięku dzwonów. Światło zgasło, ludzie wychodzą powoli, jak po wielkim przedstawieniu, które poruszyło ich bardziej, niż mieli odwagę przyznać. Nikt nie mówi, choć każdy coś czuje – żal, zdumienie, lęk, może wstyd. To milczenie nie jest pustką. To obecność Tego, który właśnie pozwolił się wydać.

Bo oto zaczyna się noc Boga. Noc zdrady, lęku i samotności. Noc, w której Miłość nie ucieka, choć mogłaby. Zostaje, choć wszystko w człowieku krzyczy:



# Wielki Czwartek – dzień, w którym Bóg uklęknął przed człowiekiem

„Uciekaj!”. To najtrudniejsza decyzja w dziejach świata – Bóg postanawia zostać. Bez majestatu, bez aniołów, bez tarczy. Po prostu być – w ciemności, w ludzkiej zdradzie, w opuszczeniu.

Cisza Wielkiego Czwartku ma w sobie coś z bezdechu stworzenia. Jakby świat jeszcze raz czekał, czy Bóg naprawdę się nie rozmyśli. Czy w tej nocy nie odwoła swojego „tak”. Ale On nie odwołuje. Jego „tak” dla człowieka jest mocniejsze niż nasze „nie” wobec Niego.

Dlatego w tej ciszy nie chodzi o brak dźwięku. Chodzi o to, że Bóg mówi w inny sposób. Nie przez słowo, ale przez brak słowa. Nie przez cud, ale przez pustkę. Nie przez błyskawicę, ale przez milczące trwanie.

Wielki Czwartek kończy się tak, jak zaczęła się historia zbawienia – ciszą, w której Bóg czeka.

Czeka, aż człowiek zrozumie, że w tej pustce nie ma nieobecności, lecz najgłębsza obecność. Że w obnażonym ołtarzu widać nie stratę, ale miłość do końca.

Bo to właśnie ta cisza krzyczy najgłośniejsz: „Zostałem”.

## Epilog – Noc, która poprzedza świt

Wielki Czwartek to nie muzealne wspomnienie sprzed dwóch tysięcy lat. To nie rekonstrukcja dawnych wydarzeń ani rytuał w kalendarzu. To żywe zaproszenie – by pozwolić Bogu uklęknąć przed sobą i nie uciec zawstydzonym spojrzeniem. Bo On naprawdę to robi. Nie w symbolu, lecz w rzeczywistości. W każdej Eucharystii, w każdym geście przebaczenia, w każdym momencie, gdy Miłość schyla się niżej niż duma człowieka.

To dzień, w którym trzeba postawić sobie pytanie, od którego nie da się uciec: czy potrafię kochać tak, by zejść do poziomu cudzych ran? Czy potrafię pochylić się nie tylko nad świętym, ale nad zranionym? Nie tylko nad tym, kogo lubię, ale nad tym, kto mnie zawiódł?

Bo w Wielki Czwartek Bóg nie objawia się w potęgze, lecz w prostocie. Nie przemawia grzmotem, lecz dotykiem. Nie zakłada korony, lecz przepasuje się ręcznikiem. Bierze miskę, wodę i chleb –

.....

*Czy potrafię kochać  
tak, by zejść do poziomu  
cudzych ran?*

.....

najzwyklejsze rzeczy świata – i czyni z nich narzędzia wieczności.

I mówi: „To jest moje ciało, które za ciebie będzie wydane”.

Nie w poezji, nie w teorii – naprawdę. Za ciebie, takim, jakim jesteś.

A potem wychodzi w noc. W ciemność, w której milczy Bóg i zdradza człowiek. Ale ta noc nie jest końcem. To preludium świtu, który dopiero nadchodzi.

Bo zanim zajaśnieje poranek Zmartwychwstania, trzeba przejść przez noc, w której Miłość klęka – po to, by wstał świat.





# WIELKI *Piątek*

To nie jest zwykła historia. To śledztwo. Duchowe, głębokie, prowadzone z chłodnym umysłem i drżącym sercem. Nie szukamy sprawcy – on już został znaleziony. Szukamy sensu. Kto zabił Miłość? Jak mogło dojść do tego, że Światłość świata została powieszona na krzyżu? A może – i to najtrudniejsze pytanie – czy On sam tego nie zaplanował?



# Dochodzenie Wielkiego Piątku

Ks. Jacek Laskowski

## 1. Scena pierwsza – ogród, w którym zapada wyrok

Wszystko zaczyna się w nocy. Nie w pałacu, nie na forum, nie w tłumie – ale w ogrodzie, w ciszy. To nie jest zwykły ogród. W tym miejscu drzewa słyszą modlitwę, jakiej świat jeszcze nie znał. Jezus klęczy, a Jego pot zalewa ziemię jak rosa. Wypowiada słowa, które brzmią jak raport duszy: „Ojcie, jeśli to możliwe, oddal ode Mnie ten kielich”.

Na chwilę zdaje się, że nawet niebo wstrzymuje oddech. Ale zaraz potem dodaje: „Nie moja wola, lecz Twoja niech się stanie”.

W tej chwili śledztwo nabiera kierunku. Bóg nie cofa się przed dramatem człowieka. Nie usuwa się z pola walki, choć wie, że przegra w oczach świata. I wtedy wchodzi w ciemność: zgraja z pochodniami, szelest zbroi, brzęk mieczy. Na czele idzie Judasz. Jego pocałunek to pierwszy dowód w sprawie – ciepły gest, który pali jak żelazo. Zdrada nie krzyczy, zdrada się uśmiecha.

Uczniowie uciekają, a On zostaje sam. Więzy zaciśkają się na nadgarstkach, jakby świat chciał przykuć Boga do własnej winy. W ogrodzie rozlega się jedno zdanie, które wyznacza całą logikę dnia: „Jak na zbójcę wyszłście z mieczami i kijami”. To absurd, ale zarazem proroctwo – bo odtąd świat zawsze będzie próbował bronić porządku kijami przed miłością.

## 2. Scena druga – sąd, który udaje sprawiedliwość

Pałac Kajfasza tętni nocnym niepokojem. Płoną pochodnie, zebrani szepczą, świadkowie płaczą się w swoich zeznaniach. To nie jest proces – to teatr. Oskarżenie już gotowe, wyrok już zapadł. Brakuje tylko pretekstu. Jezus stoi pośrodku jak człowiek, który wszystko wie i na nic nie odpowiada. Milczy. W tej ciszy jest więcej mocy niż w całej agresji sali.

Jeden z żołnierzy uderza Go w twarz. Dźwięk tego policzka przejdzie przez wieki jak dzwon. Oto Bóg,

który stworzył dźwięk, słyszy własne upokorzenie. W nocy rodzi się hałas, który zadecyduje o poranku.

Wcześniej rano Piłat zasiada na trybunale. W jego oczach nie ma nienawiści, raczej zmęczenie. Wie, że ma do czynienia z kimś, kto wymyka się definicjom. „Ty jesteś Królem?” – pyta. „Tak, jestem” – odpowiada Jezus. Król bez wojska, bez korony, bez broni.

W tym momencie detektyw wiary zaczyna rozumieć: ten proces to nie pomyłka. To demonstracja. Bóg pokazuje światu, że prawda może przegrać – a mimo to zwycięża. Kiedy tłum krzyczy „Ukrzyżuj Go!”, Piłat jeszcze próbuje umyć ręce. Ale prawdy nie da się splukać wodą. To już nie jest sąd nad Jezusem. To sąd nad człowiekiem.

## 3. Scena trzecia – droga, która prowadzi przez ludzkie serca

Zanim wejdziemy na Golgotę, trzeba przejść przez uliczki miasta. Tam dzieje się coś niezwykłego. Bóg, który niegdyś prowadził Izraela przez pustynię, teraz sam idzie jak więzień. Na plecach ciężar drewna, na barkach ciężar świata. Pot miesza się z krwią, a z każdym krokiem ziemia nasiąka tym, co najczystsze.

Na drodze stoi Szymon z Cyreny – przypadkowy przechodzień, który nagle zostaje wciągnięty w środek historii zbawienia. Przymuszony, a jednak to właśnie on stanie się pierwszym człowiekiem, który naprawdę „niesie krzyż”. Na jego oczach dokona się przemiana: z obojętnego widza w uczestnika.

Chwilę później Weronika wyciąga chustę. Ktoś mógłby uznać to za gest bez znaczenia, ale dla detektywa duchowego to ślad, nie do zlekceważenia. Wizerunek Zbawiciela zostaje na płótnie. Pierwszy „dowód rzeczowy” miłosierdzia.

Potem upadek. Jeszcze jeden. I jeszcze. Nikt nie liczy, ile ich było. Bo każdy z nich to upadek świata, który On bierze na siebie.



# Dochodzenie Wielkiego Piątku

## 4. Scena czwarta – wzgórze, które staje się tronem

Na Golgocie zapach krwi miesza się z kurzem. Krzyże wznoszą się na tle nieba jak groźne znaki interpunkcyjne w zdaniu o ludzkiej winie. Żołnierze rzucają losy o Jego tunikę, jakby chcieli rozdzielić nawet to, co niepodzielne.

Jezus nie walczy. Wisi w bezruchu, a świat odlicza minuty Jego życia. Z ust nie płynie przekleństwo, lecz przebaczenie: „Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią”.

To moment, w którym dochodzenie zmienia kierunek. Sprawa, która zaczęła się jak proces, kończy się objawieniem: to nie ludzie osądzili Boga – to Bóg osądził nienawiść i unieważnił jej wyrok.

W pewnym momencie krzyk przeszywa niebo: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?”.

To nie krzyk rozpacz, lecz modlitwa człowieka, który zszedł na samo dno ludzkiego doświadczenia. Bóg nie udaje cierpienia – On je przeżywa naprawdę.

I wtedy wszystko się zatrzymuje. Ziemia drży, zasłona w świątyni rozdziera się na pół. Jakby sama rzeczywistość nie potrafiła już dłużej udawać, że nic się nie stało.

Setnik spogląda na Ukrzyżowanego i wypowiada słowa, które zamykają pierwszy tom śledztwa: „Ten człowiek był naprawdę Synem Bożym”.

## 5. Scena piąta – grób, który wygląda na koniec

Ciało zostaje zdjęte z krzyża. Ułożone na kolanach Maryi – to obraz tak cichy, że nawet aniołowie nie śmia mówić. Wydaje się, że sprawa została zakończona. Śmierć podpisała protokół.

Józef z Arymatei prosi o ciało, zawija je w płótno, składa w nowym grobie. Kamień przetoczony, wartownicy postawieni.

Wszyscy myślą, że to koniec. Ale dobry detektyw wie, że prawdziwe tajemnice zaczynają się właśnie wtedy, gdy akta sprawy trafiają do archiwum.

Bo coś tu się nie zgadza. Zbyt wiele znaków – to trzęsienie ziemi, to pęknięta zasłona, to słowa setnika, to ciemność w południe.

Jest coś w tej śmierci, co nie pasuje do zwykłej śmierci. Coś w tym ciele, co zapowiada ruch.

Jakby cały wszechświat zamarł nie po to, by zapomnieć, lecz by nasłuchiwać.

## Epilog – śledztwo otwarte

Wielki Piątek kończy się ciszą. Ale to cisza podejrzana – gęsta, elektryczna, jak przed burzą.

Świat myśli, że sprawa jest zamknięta. Tymczasem w grobie, gdzie leży Bóg, zaczyna się coś, czego jeszcze nikt nie rozumie.

Bo Wielki Piątek to nie opowieść o śmierci. To opowieść o prawdzie, która przeszła przez śmierć, by już nigdy nie umrzeć.

Miłość została skazana, ukrzyżowana, pogrzebana – ale nie zniszczona.

A dla tych, którzy mają odwagę prowadzić dochodzenie dalej, jutro będzie niespodzianka.

Grób okaże się dowodem zbrodni doskonałej: śmierć została pokonana jej własnym narzędziem.







# WIELKA Sobota

## Cisza przed uderzeniem światła

Ks. Jacek Laskowski

Wielka Sobota jest jedynym dniem w roku liturgicznym, w którym Kościół jakby... nie mówi. Nie dlatego, że nie ma już co powiedzieć, ale dlatego, że nie wolno mówić zbyt wcześnie. To dzień, w którym słowo musi ustąpić miejsca milczeniu. Liturgia jakby schodzi z tonu. Nie ma Mszy, nie ma dzwonów, nie ma efektów. Jest milczący Grób. A jednak – to nie jest dzień pusty. To dzień zagęszczony sensem. Dzień, w którym Bóg działa najbardziej paradoksalnie: milcząc.

Bóg spoczywa w grobie. To zdanie powinno nami wstrząsnąć, bo mówi o czymś, czego rozum nie lubi: Stwórca świata przyjmuje bezruch stworzenia. Ten, który „niby Oblubieniec wychodzi ze swej komnaty”, teraz leży w skalnej niszy, zamknięty za kamieniem. Z perspektywy świata – koniec. Z perspektywy wiary – cisza przed największym wypowiedzianym Słowem. Bo Wielka Sobota to nie jest przerwa między Wielkim Piątkiem a Wigilią Paschalną. To jest przestrzeń dojrzenia cudu.



## Cisza przed uderzeniem światła

Trzeba powiedzieć to jasno: Bóg w Wielką Sobotę nie jest nieobecny. On jest ukryty. To różnica. My często utożsamiamy Boże milczenie z Bożą nieobecnością. Tymczasem właśnie w taki dzień jak ten Bóg mówi do nas w najsubtelniejszy sposób: „Umiesz czekać, kiedy nic nie widać? Umiesz wierzyć, kiedy jedynym dowodem jest zamknięty grób?”. Wielka Sobota jest testem ucznia. W Wielki Piątek łatwiej – jest dramat, jest krzyż, jest wzruszenie. W Wielkanoc też łatwiej – jest radość, śpiew, światło. Najtrudniejsza jest sobota. Bo sobota to wiara bez emocji.

I dlatego właśnie ten dzień jest nam tak bardzo potrzebny. Żyjemy w kulturze nieustannego dźwięku. Wszystko ma grać, mrugać, powiadać. Milczenie traktujemy jak usterkę. A Bóg – uwaga – często przychodzi w tym, co my uznajemy za „nic”. W ciszy modlitwy, której nie czułem. W minucie, w której w kościele nie dzieje się nic spektakularnego. W spojrzeniu na Grób, który wygląda... zwyczajnie. A jednak to jest ta chwila, kiedy Nieśmiertelny schodzi do umarłych, by ich wyprowadzić. To jest ta chwila, gdy w otchłani rozlega się pierwszy – jeszcze niewidzialny dla świata – dźwięk zmartwychwstania.

Dlatego warto ten dzień obronić. Trzeba go uratować przed hałasem. Wielka Sobota w polskich domach często zamienia się w maraton: „jeszcze jajka, jeszcze babka, jeszcze koszyczki, jeszcze mazurek, jeszcze okna”. To jest dobre i potrzebne – ale nie kosztem ciszy. Bo jeśli nie zostawimy miejsca na milczenie, Wielkanoc stanie się jedynie ładnie podanymi świętami. A nie o to chodzi. Chrześcijaństwo nie jest tylko estetyką stołu. Jest doświadczeniem przejścia ze śmierci do życia. A to zawsze rodzi się w ciszy.

Jak więc zrobić ciszę w Wielką Sobotę – konkretnie?

1. **Zatrzymaj informację.** Do południa – bez mediów. Niech telefon nie będzie pierwszym głosem dnia. Jeśli Bóg milczy w grobie, ja też mogę milczeć w sieci.
2. **Odwiędz Grób... i zostań.** Nie na dwie minuty „żeby było”. Usiądź. Patrz. Nic nie mów.

Pozwól, by to milczenie zaczęło cię lekko niepokoić – to dobry znak. To znaczy, że wychodzisz z hałasu.

3. **Zrób w domu godzinę ciszy.** Powiedz domownikom: „to jest chwila dla Pana Jezusa”. Bez radia w kuchni, bez telewizora w tle, bez gadania „o wszystkim”. Niech to będzie wasza mała liturgia milczenia.
4. **Nazwij w sercu swój grób.** Co w tobie jest teraz jakby „zamurowane”? Relacja? Nadzieja? Zdrowie? Złóż to przy grobie Jezusa. Milcząc. Nie trzeba stu słów – On w ten dzień i tak odpowiada w ciszy.
5. **Wieczorem nie spiesz się do Wigilii Paschalnej jak na spektakl.** Idź jak ten, kto wie, że właśnie dziś zapala się światło, na które czekał cały wszechświat.

Dlaczego to wszystko takie ważne? Bo człowiek, który nie potrafi znieść ciszy Wielkiej Soboty, będzie miał spłyconą radość Wielkanocy. Jeśli nie umiesz usiedzieć przy Grobie, trudniej ci będzie zawołać „Alleluja!” z głębi. Cisza jest jak naciąganie struny – im lepiej napięta, tym pełniejszy dźwięk. Wielka Sobota to naciąganie struny Kościoła. Wieczorem ta struna zabrzmi potężnie. Ale tylko wtedy, jeśli teraz nie zagramy byle czego.

Wielka Sobota jest też genialną przypowieścią o naszym życiu. Bardzo często jesteśmy właśnie „pomiędzy”: między diagnozą a uzdrowieniem, między utratą a pocieszeniem, między modlitwą a wysłuchaniem. To są nasze osobiste „wielkie soboty”. I właśnie wtedy Bóg uczy: „najwięcej robię wtedy, kiedy ty widzisz najmniej”. To powód, by nie uciekać z ciszy, tylko ją przyjąć. Bo cisza Boga nie oznacza Jego obojętności. Czasem oznacza Jego najgłębszą pracę.

Zrób więc w tę sobotę coś odważnego: nie zagłuszaj grobu. Usiądź przy Nim. Daj się wciągnąć w Boże milczenie. A kiedy w nocy rozbłyśnie światło Paschału, zrozumiesz, dlaczego trzeba było trwać. Bo to nie jest cisza przypadkowa.

To cisza, która oddycha nadzieją. I to w niej rodzi się Zmartwychwstanie.





# NIEDZIELA ZMARTWYCHWSTANIA

(Mt 28): „A oto powstało wielkie trzęsienie ziemi. Albowiem anioł Pański zstąpił z nieba, podszedł, odsunął kamień i usiadł na nim. Postać jego jaśniała jak błyskawica, a szaty jego były białe jak śnieg. Ze strachu przed nim zadrżeli strażnicy i stali się jakby umarli”.

(1 Kor 15): „...że zmartwychwstał trzeciego dnia, zgodnie z Pismem”.



# Poranek, który przestawił świat

Ks. Jacek Laskowski

## 1. Trzęsienie, kamień, cisza

Ewangelista notuje najpierw dźwięk i ruch: „wielkie trzęsienie ziemi”. To nie metafora nastroju – to fizyka świata, który reaguje na coś większego niż prawa rozpadu. Ziemia, dotąd posłuszna ciężarowi grobu, nagle drży, jakby sama nie mogła znieść milczenia śmierci. To, co stało nieruchomo, zaczyna pulsować. Kamień, który miał zamknąć historię Jezusa, zostaje poruszony – i już nic nie wraca na swoje miejsce.

Potem obraz: anioł zstępuje, odsuwa kamień i... siada na nim. Ten detal bywa pomijany, a niesie w sobie prostą, cudownie ludzką ironię zwycięstwa: to, co miało zamknąć, staje się siedziskiem Posłańca. Kamień – symbol ciężaru, milczenia i końca – staje się teraz tronem radości, jakby Bóg chciał powiedzieć światu: „To, co miało być granicą, jest dopiero początkiem”. Nie dlatego, że Chrystus potrzebował odsunięcia kamienia, by wyjść – On już żył. Kamień odsunięto dla nas, byśmy mogli zajrzeć do środka i zobaczyć pustkę pełną znaczeń, pustkę, która nie przeraża, ale zaprasza.

Język Mateusza przemyka pomiędzy niedopowiedzeniami. Nie opisuje samej chwili wstania z martwych – jakby chciał powiedzieć: „Tego się nie da sfotografować”. Pokazuje za to skutki: ziemia się porusza, straż drży, kobiety biegną, a światło przenika kamień. To, co Boskie, nie dzieje się na oczach kamer. Dzieje się w napięciu między ruchem ziemi a ciszą grobu. W tej scenie światło błyskawicy nie jest już groźbą sądu, lecz zapowiedzią świtu.

Czy stało się to o wschodzie słońca? Ewangelie nie podają godziny. Tradycja chętnie widzi tu „Słońce Sprawiedliwości” (por. Ml 3,20), ale to raczej teologiczna intuicja niż kalendarz. Istotny jest sens: nowy dzień zaczął się nie wtedy, gdy horyzont zapłonął różem, ale w momencie, gdy Bóg powiedział światu swoje „tak” – silniejsze niż śmierć. Od tej chwili czas płynie inaczej. Dzień i noc, życie i śmierć, światło i cień – przestają być przeciwnościami.

Trzęsienie ziemi nie było końcem, lecz początkiem ciszy, która mówi więcej niż tysiąc błyskawic. Ciszy, w której rodzi się nowy świat.





### 2. Dwie drogi poranka: drżący i wierzący

Mateusz buduje równoległą opowieść. Po jednej stronie – kobiety, wierne aż po ranek, gotowe pójść do końca nawet wtedy, gdy „nie ma już po co”. Po drugiej – straż, ludzie od zimnych faktów i rozkazów. Jedni i drudzy stają wobec tego samego znaku: anioła i odsuniętego kamienia.

Reakcje jednak rozchodzą się jak tory kolejowe. Strażnicy „stali się jakby umarli” – celny paradoks: przy Życiu drży to, co miało pilnować śmierci. Kobiety natomiast „idą prędko” – ze strachem i wielką radością. Ta radość jest pierwszym dźwiękiem nowego świata. Nie ma w niej euforii, lecz światło, które dopiero się rodzi – jak świt, który jeszcze drży od chłodu nocy, ale już niesie ciepło. One nie rozumieją wszystkiego, nie potrafią tego opisać, lecz wiedzą, że coś się wydarzyło – coś, co nie mieści się w ludzkim języku, a jednak zmienia puls serca.

Radość kobiet z poranka zmartwychwstania to radość pokornej wiary, która wyprzedza teologię. Zanim ktokolwiek sformułuje dogmat, zanim uczniowie zdążą zrozumieć, one już biegną. Biegną, choć łyż jeszcze nie obeschły, a groza śmierci

nie wyblakła. Biegną, bo serce kobiety szybciej rozpoznaje życie niż rozum potrafi je pojąć. Ich radość jest czysta – nie triumfalna, lecz wdzięczna. Nie krzyczy: „Zwyciężyliśmy!”, tylko szeptem mówi: „On żyje”.

Obie grupy później przekazują wieści: kobiety uczniom, strażnicy zwierzchnikom. I tu wchodzi wybór: uczniowie – pomimo wątpliwości – idą wskazaną drogą, starszyzna – choć zna fakt – uruchamia mechanizm zatuszowania. Prawda w poranku paschalnym nie dzieli się na „wiem / nie wiem”, lecz na „idę / zasypuję”.

Ta scena mówi więcej o sercu człowieka niż o jego wiedzy. Można mieć wszystkie dane i zbudować z nich eleganckie kłamstwo. Można też mieć drżące kolana i pójść za światłem. Kobiety wybrały to drugie – poszły, zanim cokolwiek się zgadzało. I właśnie dlatego to one jako pierwsze usłyszały najprostsze, a zarazem najpiękniejsze zdanie świata: „Radujcie się”.

W tym sensie opowieść o Zmartwychwstaniu nie jest tylko historią sprzed dwóch tysięcy lat. To codzienny test: co robię z prawdą, która mnie przeraża? Drzę jak strażnik – czy biegnę jak kobieta?





## Poranek, który przestawił świat

### 3. Kamień we mnie

Kamień grobowy bywa gruby, ale najcięższe są te kamienie, które leżą w człowieku. Kamień zawstydzenia, że „znowu nie wyszło”. Kamień żalu, który w nocy staje się cięższy. Kamień bezsilności wobec grobów, których nie da się odwiedzić inaczej niż modlitwą. Zmartwychwstanie nie jest bajką o happy endzie – to spokojna pewność, że żaden z tych kamieni nie jest ostatnim słowem.

Anioł „zstąpił, odsunął kamień i usiadł”. Zwróćmy uwagę na kolejność łaski: z nieba ku dołowi, od ciężaru ku przestrzeni, od napięcia ku odpoczynkowi. W języku wiary wygląda to tak: najpierw Bóg schodzi do ciemności, potem otwiera wejście, a na końcu zaprasza do pokoju. W języku codzienności: przychodzi światło, robi się miejsce, można odetchnąć.

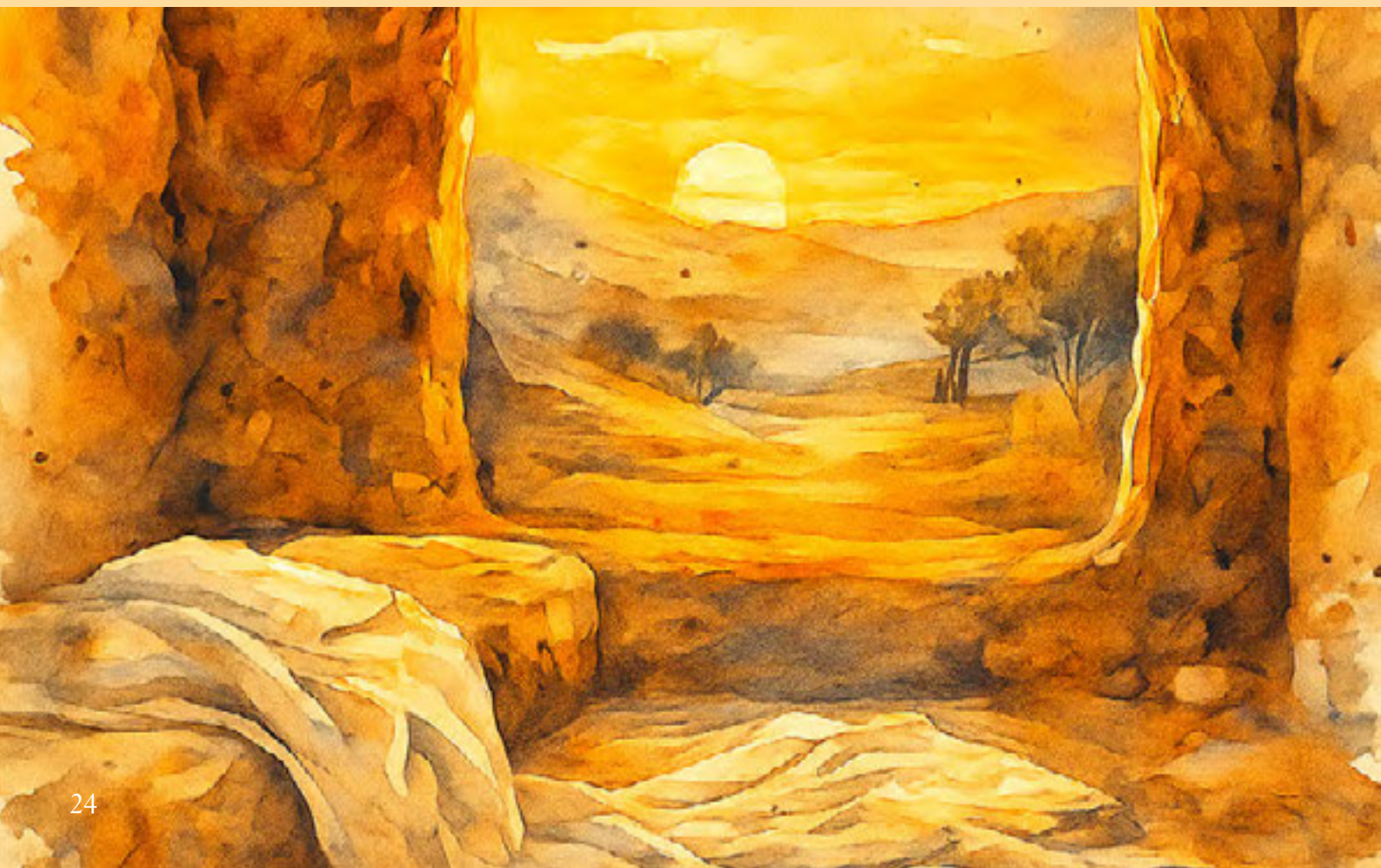
Nie ma kamieni „nie do ruszenia”. Czasem trzeba, jak kobiety, iść z olejkami swojej wierności – choć rozum podpowiada, że granit jest nie do pokonania. Czasem trzeba przyznać jak strażnicy, że to nas przerasta – i przestać udawać bohate-

rów. Ale zawsze trzeba wykonać ten trzeci krok kobiet: „pobiec”, choćby drżąc, w stronę Galilei – w stronę spotkania.

### Epilog: geografia nadziei

Mateusz kończy Ewangelię sceną na górze w Galilei. To ważne: Galilea to miejsce zwyczajności, nie pałac ani świątynia. Tam Zmartwychwstały posyła uczniów „aż po krańce”. To znaczy, że poranek z odsuniętym kamieniem nie zamyka się w pobożnym wzruszeniu. On otwiera drogę: od grobu do życia, od „wiem” do „idę”, od „drzę” do „zwiastuję”.

Jeśli więc szukamy „godziny Zmartwychwstania”, bardziej niż wskazówki zegara liczy się kierunek. Wschód słońca jest piękny, ale jeszcze piękniejszy jest człowiek, który pozwala, by w nim weszła nadzieja silniejsza niż noc. Siostró moja, bracie – kiedy stajemy przy własnych kamieniach, prosimy o łaskę prostego poranka: żeby ziemia pod nogami drgnęła do życia, prawda nie potrzebowała łapówek, a nasze serca miały odwagę „pójść do Galilei”, tam gdzie Chrystus już czeka.







*„Człowieka trzeba mierzyć miarą serca”*

*św. Jan Paweł II  
Homilia, Sopot, 1999*



# Płockie Powązki

## Stare Powązki w braterskiej opowieści Mazowsza

Ks. Jarosław Kamiński

Są w Polsce miejsca, które – choć oddalone od siebie o dziesiątki kilometrów – tworzą duchową jedność. Tak właśnie jest ze Starymi Powązkami w Warszawie i płockim Starym Cmentarzem. Dwie nekropolie, obie powstałe w czasach, gdy Polska szukała nowych form pamięci, obie noszące w sobie historię swoich miast, ich ludzi i ich zmagañ. Jedna znana w całym kraju, druga bardziej kameralna, ale równie wzruszająca. Razem tworzą jakby siostrzane nekropolie Mazowsza – miejsca, w których można dotknąć przeszłości, trwającej w kamieniu, ciszy i modlitwie.

### **Cmentarz wyprzedzający epokę**

Płockie Powązki – oficjalnie Stary Cmentarz, założony w 1780 roku – były w swoim czasie przedsięwzięciem przełomowym. To pierwsza w Polsce nekropolia umieszczona poza terenem kościelnym, nie przy parafii, lecz na ówczesnych przedmieściach miasta, przy trakcie dobrzyńskim. Dziś, po blisko 250 latach, wciąż można poczuć tam ducha czasów, w których zaczęto odchodzić od tradycji grzebania zmarłych przy świątyniach.

Cmentarz, rozciągający się na 2,30 ha pomiędzy ulicami Floriana Kobylińskiego, Topolową i Kazimierza Wielkiego, w swoich początkach budził sprzeciw mieszkańców przywiązanych do dawnych zwyczajów. Z czasem jednak stał się miejscem spoczynku wielu pokoleń Płocczan. Funkcjonował nieprzerwanie ponad 150 lat – aż do końca II wojny światowej, po której stopniowo ograniczano pochówki, by wreszcie cmentarz zamknąć. Dopiero przełom XX i XXI wieku przyniósł ponowne otwarcie oraz odrodzenie pamięci o jego historii.

### **Kaplica, która zniknęła**

Jednym z najciekawszych epizodów dziejów cmentarza jest historia nieistniejącej już kaplicy. Powstała w 1801 roku z inicjatywy Jana Antoniego Zdziennickiego, kanonika płockiej katedry. Stała niedaleko głównej bramy, a jej wnętrze zdobił obraz św. Katarzyny i kilka mniejszych dzieł, zapewne z pobliskich kościołów.

Paradoksalnie, z powodu niewielkiej liczby pochówków kaplica zaczęła pełnić funkcję... magazynu prochu. Trwało to aż do 1817 roku. W okresie międzywojennym, po latach zniszczeń i obniżania się terenu, podjęto decyzję o jej rozbiorce. Dziś pozostała jedynie w zapisach i pamięci lokalnych historyków.

### **Nekropolia zasłużonych Płocczan**

Choć cmentarz wielokrotnie dewastowano – szczególnie po II wojnie światowej – zachował się fragment jego dawnego piękna. Z około 230 nagrobków przetrwała jedna piąta. Dzięki działalności Stowarzyszenia Starówka Płocka, od końca lat 90. systematycznie odzyskują one dawny blask.

Najstarszy ocalały nagrobek pochodzi z 1828 roku. To miejsce spoczynku Teresy z Krajewskich Rodzickiej, podkomorzyny zakroczymskiej. Blisko znajduje się grób pułkownika Jana Gugenmusa, żołnierza Legionów Dąbrowskiego i armii księcia Józefa Poniatowskiego. Odznaczony m.in. Legią Honorową i złotym krzyżem Virtuti Militari, był synem nadwornego zegarmistrza ostatniego króla Polski.



Wzruszenie budzi również odrestaurowany nagrobek doktora Stanisława Siennickiego – płockiego lekarza znanego z bezinteresownej pomocy ubogim. Jego pogrzeb w 1866 roku zgromadził tłumy mieszkańców, a ufundowany przez wdzięcznych pacjentów pomnik jest świadectwem bezinteresownej miłości bliźniego.

Wśród innych znaczących miejsc wymienić trzeba okazały grobowiec rodziny Pestugia – przybyszy z Lombardii, którzy w XIX wieku stali się jedną z najzamożniejszych rodzin regionu. Szczególną czcią otaczana jest zbiorowa mogiła bohaterów Powstania Styczniowego, symboliczny hołd dla tych, którzy oddali życie za wolność Ojczyzny.

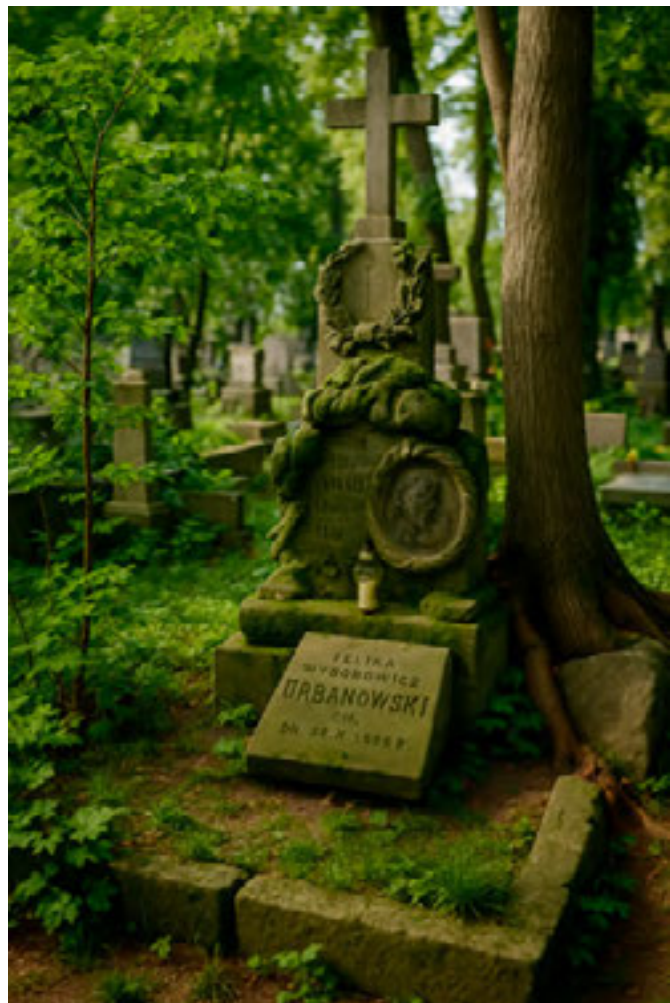
### Dziedzictwo, które domaga się troski

Stary Cmentarz w Płocku jest o dziesięć lat starszy niż słynne warszawskie Powązki. Nic więc dziwnego, że w lokalnej tradycji zyskał nazwę „Płockich Powązek”. I rzeczywiście – gdy przechodzi się jego alejami, trudno oprzeć się wrażeniu, że jest w nim coś z tej samej szlachetnej melancholii, która unosi się nad warszawską nekropolią. Podobna cisza, podobna godność, podobna opowieść o ludziach, którzy budowali swoje miasto i swoją ojczyznę.

Warszawski Panteon Narodowy i płocka skromna pamięć – to dwie siostry mazowieckiej historii: jedna wielkowiejska i monumentalna, druga kameralna, ale pełna wzruszającej prostoty. Obie przypominają nam o jednej prawdzie: pamięć o przodkach jest fundamentem kultury, a troska o nekropole to troska o nas samych.

Płockie Powązki zasługują na uwagę, ochronę i miłość – tak jak każda przestrzeń, w której ludzkie życie zostało zamknięte w kamieniu, modlitwie i ciszy. Tu Mazowsze opowiada swoją historię: nie przez pomniki z brązu, lecz przez pokolenia ludzi, którzy odeszli, a jednak wciąż mówią do nas z zachowanych nagrobków.

To miejsce czeka na tych, którzy chcą słuchać.





# Unikatowa skarbnica

## Relikwie na warszawskim Koło

Edgar Sukiennik



Wstawiennictwo świętych jest nieocenionym darem na drodze do zbawienia. Świadkowie wiary uczą nas kochać Boga, wypraszają łaski potrzebne w życiu codziennym oraz pokazują, że każdy człowiek może być świętym, niezależnie od wieku, stanu i miejsca, w którym żyje. We wspomnianiu świętych ważną rolę odgrywa kult ich relikwii, które przypominają o społeczności, która już cieszy się chwałą zbawionych i zanoszą do Boga prośby w intencji Kościoła pielgrzymującego na ziemi. Miejscem przypominającym o tajemnicy obcowania świętych jest relikwiarium w sanktuarium św. Józefa Oblubieńca NMP na warszawskim osiedlu Koło, w którym znajdują się cząstki ponad 450 świętych i błogosławionych – wystawione na widok publiczny.

Skarbnica relikwii zapewne by nie powstała, gdyby nie osobliwa pasja ks. Leszka Kuźmińskiego, wikariusza parafii św. Józefa, który w chwili przybycia na warszawskie Koło posiadał ok. 70 relikwii. Pewnego dnia ks. proboszcz Zbigniew Godlewski zaproponował mu, aby w uroczystość

Wszystkich Świętych wystawił je na widok publiczny, by parafianie mogli je podziwiać z bliska. Pierwsza prezentacja odbyła się 1 listopada 2010 r. i cieszyła się dużym zainteresowaniem parafian i gości z sąsiednich ośrodków duszpasterskich. Z roku na rok ks. Leszek pozyskiwał kolejne relikwie od różnych diecezji i wspólnot zakonnych.



Pasja ks. Leszka wzbudzała zainteresowanie pozostałych księży, którzy pytali go, co zamierza zrobić z relikwiami na wypadek śmierci. On sam



myślał o przekazaniu ich do nowo wybudowanego sanktuarium Najświętszej Maryi Panny Gwiazdy Nowej Ewangelizacji w Toruniu, lecz z zastrzeżeniem, że nie można go rozproszyć. Pod koniec 2022 r. księża Zbigniew Godlewski i Leszek Kuźmiński odwiedzili ks. abp. Salvatore Pennacchio – Nuncjusza Apostolskiego w Polsce, by podziękować mu za obecność na X Forum Krajowym Wieczystej Adoracji Najświętszego Sakramentu w Parafiach w maju 2022 roku. Księża opowiedzieli nuncjuszowi o prezentacji kilkudziesięciu relikwii w oszklonych gablotach. Przedstawiciel Ojca Świętego z dużym zainteresowaniem podjął temat i obiecał, że przyjedzie do sanktuarium, żeby osobiście pomodlić się przed relikwiami. Ta rozmowa skłoniła ks. Leszka do podjęcia ostatecznej decyzji o przekazaniu relikwii do sanktuarium św. Józefa na Kole.

Księża poszli do świątyni i zaczęli szukać odpowiedniej przestrzeni, która musiała być na tyle duża, żeby pomieścić ponad 200 relikwiarzy różnych rozmiarów. Pierwotny plan zakładał umieszczenie ich w kwadratowych wnękach w ścianach bocznych prezbiterium, tuż obok obrazów ukazu-

jących siedem radości i siedem boleści św. Józefa. Po chwili kapłani doszli do wniosku, że to miejsce nie jest wystarczająco dostępne dla wiernych, a cząstki świętych orędowników nawet w dużych relikwiarzach byłyby słabo widoczne. Gdy szukali innego miejsca, zwrócili uwagę na oświetloną figurę Matki Bożej we wnęce nad kaplicą adoracji. Właśnie tę przestrzeń uznali za idealną do zrealizowania ambitnego planu. Ksiądz Godlewski zamówił cztery oszklone gabloty oraz pancerną szybę do zabezpieczenia wnętrza.

Uroczystego poświęcenia relikwiarium dokonał 30 października 2022 r. abp Salvatore Pennacchio podczas Mszy św. połączonej z wprowadzeniem relikwii błogosławionych męczenników franciszkańskich z Peru: o. Zbigniewa Strzałkowskiego i o. Michała Tomaszka. Na zakończenie uroczystości niespodziankę zrobił sam nuncjusz, który ofiarował do sanktuarium część relikwii swojego rodaka – bł. Carla Acutisa, by orędownął za młodzieżą parafii św. Józefa.

Trzeba zaznaczyć, że relikwiarium nie jest zbiorem zamkniętym, gdyż parafia ciągle pozyskuje cząstki świętych i błogosławionych. Wprowadzenie nowo pozyskanych relikwii odbywa się w czasie głównego odpustu parafialnego, czyli w Uroczystość św. Józefa Oblubieńca NMP (19 marca). Ma ono charakter szczególnie uroczysty, ponieważ wprowadzenia dokonuje młodzież przystępująca w tym dniu do sakramentu bierzmowania pod przewodnictwem księdza biskupa. Relikwie wnoszone są do kościoła w procesji i wystawione na widok publiczny przez cały czas trwania uroczystości, po czym trafiają do relikwiarium. W ubiegłym roku ks. proboszcz i ks. Leszek nawiązali kontakt z siostrami wizytkami z Krakowskiego Przedmieścia, które ofiarowały parafii ponad 500 relikwii ze swego klasztoru. Wprowadzenie tych relikwii w mniejszych partiach rozłożono na pięć lat. Nie lada niespodziankę sprawili salezjanie z Kutna, którzy w tym samym roku przekazali parafii oszkloną skrzynię z figurą św. Lucjusza – męczennika z Cypru (IV w.). W przedramieniu figury umieszczone są fragmenty kości męczennika. Niezwykła relikwia odbiera część w kaplicy bocznej pw. Matki Bożej Nieustającej





## Unikatowa skarbnica. Relikwie na warszawskim Kole

Pomocy u stóp ogromnego krzyża, który na czas Roku Świętego 2025 jest krzyżem jubileuszowym. W grupie osobliwych relikwii trzeba zauważyć także domniemaną nitkę z pasa św. Józefa, którą umieszczono w repozytorium w ołtarzu głównym tuż nad tabernakulum. Jest ona ukazywana



wiernym dwa razy w tygodniu: podczas Mszy św. w każdą niedzielę o godz. 10.15 oraz w czasie nowenny do patrona parafii w każdy wtorek o godz. 19.00.

Obecnie parafia św. Józefa posiada ponad 450 relikwii wystawionych na widok publiczny. Można stwierdzić bez najmniejszej przesady, że jest to jeden z największych zbiorów relikwii w Polsce udostępniony do kultu publicznego. W ciągu trzech lat istnienia relikwiarium przybyło tutaj ponad 1500 wiernych i 200 grup zorganizowanych. Wśród pielgrzymów i turystów dominują goście z parafii warszawskich i pozawarszawskich, ale nie brakuje też przybyszów z innych województw, a nawet z zagranicy. Tylko w ubiegłym roku przy relikwiach modlili się pielgrzymi z Niemiec, Ukrainy, Czech, Słowacji, Norwegii, a nawet z egzotycznych krajów, jak np. Filipiny, Madagaskar i Meksyk. Relikwiarium można nawiedzić w każdą niedzielę i święta po Mszach św. o godz. 10.15, 11.30, 19.00. Przewodnikami po unikatowej kolekcji są: ks. Leszek Kuźmiński – wikariusz parafii św. Józefa, fundator relikwiarium oraz dr Edgar Sukiennik – historyk, lektor i ceremoniarz w sanktuarium na Kole.





# Tryb ratunkowy duszy

Arkadiusz Zawadzki

Istnieją w życiu sytuacje, gdy dostęp do sakramentu spowiedzi jest niemożliwy – w szpitalu, w czasie katastrofy, na pustkowiu, w ostatnich chwilach życia. Wtedy Kościół przypomina o niezwykłym darze, który Bóg pozostawił człowiekowi: o żalu doskonałym. To duchowy „tryb ratunkowy”, który otwiera drogę do przebaczenia grzechów nawet wtedy, gdy nie można wyznać ich ustnie przed kapłanem.

## **Miłość większa niż strach**

Podstawą tej drogi jest wiara w to, że Chrystus pragnie przebaczać grzechy i że Jego miłosierdzie nie zna granic ludzkich możliwości. Żal doskonały nie jest emocją ani chwilowym wzruszeniem, lecz rozumnym uznaniem własnej winy i decyzją, by odwrócić się od zła z miłości do Boga, a nie ze strachu przed karą. To właśnie ta miłość staje się kluczem do pojednania z Bogiem – nawet zanim człowiek zdąży uklęknąć w konfesjonale.

## **Sakrament w sercu**

Choć zwyczajną drogą przebaczenia jest spowiedź, Kościół uczy, że żal doskonały ma moc odpuszczenia także grzechów ciężkich – o ile towarzyszy mu szczere pragnienie sakramentu. Nie zastępuje on spowiedzi, lecz działa tam, gdzie jej nie można przyjąć. Tak jak istnieje chrzest pragnienia czy Komunia duchowa, tak też istnieje żal, który przenosi sakrament do wnętrza ludzkiego serca.

Taka sytuacja może dotyczyć chorego w szpitalu, kogoś, kto znajduje się w miejscu odciętym

***Odwrócić się od zła z miłości do Boga,***

***a nie ze strachu przed karą***

od kapłana, lub wiernych w czasach zagrożeń – jak podczas pandemii. Wystarczy wtedy szczere zwrócenie się do Boga, rachunek sumienia, wyznanie win przed Nim i postanowienie poprawy. Kto otwiera serce w ten sposób, zostaje pojednany z Bogiem.

## **Miłosierdzie większe niż lęk**

W chwili zagrożenia życia człowiek często nie potrafi jasno rozróżnić swoich intencji. Strach, ból, niepewność mieszają się z miłością i pragnieniem ocalenia. Kościół ufa jednak, że jeśli w takiej chwili

ktoś spontanicznie zwraca się do Boga, to jest to znak żywej relacji, która sama w sobie ma moc zbawczą.

***Żal doskonały nie jest więc***

***furtką dla sprytnych***

Jeśli po takim doświadczeniu człowiek przeżyje, powinien wyznać te grzechy przy najbliższej spowiedzi. Nie dlatego, że Bóg ich wcześniej nie odpuścił, lecz dlatego, że wyznanie ma wymiar wychowawczy i pogłębia świadomość dobra, które się dokonało.

Żal doskonały nie jest więc furtką dla sprytnych ani pretekstem, by unikać sakramentu. Nie działa tam, gdzie człowiek planowo zaniedbuje spowiedź, licząc, że w ostatniej chwili „załatwi sprawę z Bogiem”. Bo żal doskonały rodzi się nie z kalkulacji, lecz z miłości – a tej nie da się udawać.

## **Bóg nie zna przeszkód**

Żal doskonały to dowód, że Boże miłosierdzie nie zatrzymuje się na granicach ludzkich możliwości. Kiedy nie możemy przyjąć sakramentu, Bóg potrafi dotrzeć do nas inną drogą – tak jak w przypadku chrztu pragnienia czy Komunii duchowej. To przypomnienie, że Jego łaska nie jest uwięziona w granicach rytuału, lecz jest żywą odpowiedzią na szczere serce człowieka.

Bo Bóg – nawet wtedy, gdy człowiek nie może mówić, wyznać, uklęknąć – zawsze potrafi usłyszeć jedno: „Żałuję. Kocham. Wierzę”.

***Łaska Boga nie jest uwięziona***

***w granicach rytuału***



# Zdrowie i długowieczność w kontekście przemijania

Marek Laskowski, lekarz

Cisza Powązek ma w sobie coś, czego brakuje codziennemu życiu. Kiedy mijamy nagrobki, a na nich daty narodzin i śmierci, łatwo poczuć, jak wyraźnie czas zaznacza swoje granice. Przecho-  
dząc między drzewami pamiętającymi niejedno pokolenie, człowiek zaczyna rozumieć, że czas nie płynie w rytmie naszych kalendarzy. Nie mierzy się go sekundami, lecz oddechami, krokami i małymi gestami, które wykonujemy każdego dnia. W takim miejscu uświadamiamy sobie, jak kruche, a jednocześnie jak zdumiewająco silne jest ludzkie życie – i jak wiele zależy od naszej troski o zdrowie.

Przemijanie nie jest tragedią. To naturalna część naszej drogi. Ale właśnie ono przypomina, że zdrowie nie jest danym raz na zawsze prezentem. To obowiązek, zadanie, które mamy wobec siebie samych, wobec bliskich i wobec czasu, który nam powierzono. Im szybciej przyjmiemy tę odpowiedzialność, tym więcej możemy podarować sobie – lat, jakości, spokoju.

## Przemijanie jako nauczyciel uważności

W dzisiejszym świecie człowiek żyje szybciej niż kiedykolwiek. Plany, obowiązki, telefony, powiadomienia – wszystko dzieje się równocześnie. Trudno w tym pędzie zatrzymać się na chwilę i zadać pytanie: „Jak się naprawdę czuję? Co robi ze mną ten tryb życia?”.

A jednak wystarczy wejść na Powązki, aby serce zwolniło. Cisza prostuje myśli. Człowiek zaczyna patrzeć trochę dalej – na siebie za 5, 10, 20 lat. To ważny moment. Bo zdrowie wymaga perspektywy. Wymaga uważności, której nie da się znaleźć w biegu.

Przemijanie nie musi więc budzić lęku. Może być inspiracją, przypomnieniem, że życie jest jedno, a ciało nie jest niezniszczalne. Każda decyzja – co





jemy, ile śpimy, jak się ruszamy – jest jak mały głos oddany na naszą przyszłość.

### **Zdrowie jako obowiązek wobec siebie**

Ciało to nie maszynka, którą można wymienić, gdy się zużyje. To jedyne miejsce, w którym spędzimy całe życie. Dlatego dbanie o zdrowie to forma szacunku do samego siebie. Nie luksus. Nie fanaberia. Obowiązek.

Wbrew pozorom nie chodzi tu o idealne życie, restrykcyjne diety czy codzienny fitness. Chodzi o odpowiedzialne minimum:

- regularne badania,
- sen, który naprawdę regeneruje,
- ruch, najlepiej codzienny,
- jedzenie, które nie szkodzi,
- unikanie przewlekłego stresu,
- dbanie o kontakty z ludźmi.



To fundamenty, które działają w każdym wieku. I każde z tych działań jest praktycznym „nie” wypowiedzianym chorobie, a „tak” wypowiedzianym przyszłym latom.

### **Zdrowie jako obowiązek wobec przodków**

Zdrowie w kontekście przemijania to nie tylko troska o siebie, ale także forma wdzięczności wobec tych, którzy byli przed nami – rodziców, dziadków i pradiadków. Ich życie, wysiłek i wybory stworzyły fundament, na którym dzisiaj stoimy. Kiedy spacerujemy między nagrobkami i widzimy daty, które układają się w czyjąś historię, zaczynamy rozumieć, że nasza obecność nie jest dziełem przypadku.

Każde pokolenie niosło swoje ciężary, swoje choroby, swoje lęki i nadzieje. Dzięki nim mamy dziś więcej wiedzy, lepszą medycynę, większą świadomość. Dbając o siebie, oddajemy im cichy hołd. Pokazujemy, że ich wysiłek nie poszedł na marne.

Zdrowie staje się więc nie tylko osobistym wyborem, ale też zobowiązaniem – by żyć mądrzej, dłużej i pełniej niż oni mogli, jeśli los im na to nie pozwolił. To sposób, w jaki kontynuujemy ich historię, przedłużamy ją własnym życiem. I jednocześnie wdzięczność: że dzięki nim możemy iść dalej.

### **Zdrowie jako obowiązek wobec dzieci i wnuków**

Zdrowie to także obowiązek wobec dzieci i wnuków. Nie tylko dlatego, że chcemy być przy nich jak najdłużej, ale również dlatego, że to, jak żyjemy, tworzy dla nich wzór – milczący przekaz o tym, jak traktować własne ciało i czas.

Dzieci uczą się przede wszystkim przez obserwację. Widzą, czy dbamy o siebie, czy potrafimy odpoczywać, czy umiemy zatrzymać się, kiedy organizm daje sygnał. Każdy z tych gestów staje się dla nich lekcją, którą wyniosą w dorosłość.

Dbanie o zdrowie to również troska o przyszłość rodziny w bardzo praktycznym sensie. Im dłużej jesteśmy sprawni, tym mniej obciążamy bliskich,



# Zdrowie i długowieczność w kontekście przemijania

a jednocześnie możemy im dawać to, co najcenniejsze: obecność, wsparcie, pamięć, doświadczenie.

Zdrowie przestaje być wtedy tylko osobistą sprawą. Staje się inwestycją w kolejne pokolenia – w ich bezpieczeństwo, emocje, stabilność i poczucie ciągłości. To cichy, ale mocny sposób, by powiedzieć: „Jestem i chcę być dla was jak najdłużej”.

Zdrowie to świadomy wybór, wdzięczność wobec przeszłych pokoleń i zobowiązanie wobec tych, którzy przyjdą po nas.

## Wdzięczność za to, co działa

Żyjemy w czasach, w których łatwo jest narzekać. Na brak czasu, na zmęczenie, na liczne obowiązki. A przecież sama możliwość, że możemy iść, oddychać, widzieć, słyszeć, rozmawiać – to już jest dar. Kto kiedykolwiek widział, jak choroba odbiera najprostsze czynności, ten wie, że zdrowie codzienności to skarb.

Wdzięczność działa jak filtr – sprawia, że zaczynamy inaczej traktować własne ciało. Z szacunkiem. Delikatniej. Mądrzej. To zmienia sposób jedze-

nia, sposób odpoczywania, a nawet sposób podejmowania decyzji.

Kto jest wdzięczny za zdrowie, ten zaczyna o nie dbać, nie dlatego że „musi”, ale dlatego że „chce”. To różnica, która potrafi całkowicie odmienić styl życia.

## Szacunek do ciała i jego granic

Wielu ludzi żyje tak, jakby organizm był im coś winien. Jakby miał działać bez przerwy, niezależnie od ilości pracy, stresu czy braku snu. Tymczasem ciało ma swoje granice. Informuje o nich bardzo wcześnie, tylko nauczyliśmy się te sygnały ignorować.

Zmęczenie to nie słabość. Ból to nie wada. Spowolnienie to nie zniechęcenie. To komunikaty, które mają nas ochronić przed czymś gorszym. Dopiero gdy zaczniemy słuchać tych sygnałów, zrozumiemy, że szacunek do ciała jest formą inteligencji – nie „miętkości”.

## Długowieczność codziennych drobiazgów

Chcielibyśmy jednego wielkiego przepisu na długie życie – jednego suplementu, jednej diety, jednej metody. Tymczasem długowieczność jest jak powolna praca rzeźbiarza. Tworzy ją rytm powtarzanych drobnych gestów:

- o jeden spacer więcej,
- o godzinę snu więcej,
- o jedną porcję warzyw więcej,
- o jedną stresującą sytuację mniej.

Te drobiazgi nie robią wrażenia na pierwszy rzut oka. Ale po latach różnica między osobą, która o sobie dbała, a tą, która to zaniedbała, jest wyraźna. Długowieczność nie jest przypadkiem. Jest sumą codziennych decyzji.

## Cisza jako lekarstwo

Psychika jest równie ważna jak ciało. A cisza bywa jednym z najlepszych narzędzi leczenia. Kiedy człowiek wchodzi między drzewa Powązek, nagle





dociera do niego pamięć o innym tempie życia. O tym, że nie wszystko musi być natychmiast, że wiele problemów traci na znaczeniu, gdy patrzy się na nie z perspektywy czasu.

Spokój porządkuje myśli. Odsłania to, co naprawdę ważne. I właśnie ten spokój – nie tabletki, nie modne trendy – jest często początkiem poprawy zdrowia psychicznego.

### **Zdrowie jako część historii, którą zostawimy**

Każdy człowiek zostawia po sobie ślad. Nie tylko w nazwiskach, fotografiach czy wspomnieniach. Również w tym, jak żył. Czy był obecny dla bliskich. Czy miał siłę kochać, pomagać, słuchać. Zdrowie jest paliwem dla tych relacji.

Gdy dbamy o zdrowie, robimy to także dla tych, którzy nas potrzebują – rodzin, dzieci, wnuków, przyjaciół. To jedna z najbardziej dyskretnych, a jednocześnie najpiękniejszych form troski o innych.

### **Świadome tempo życia**

Życie nie musi być sprintem. Można żyć wolniej, ale pełniej. Mądrzej. Żyjąc tempem, które naprawdę nam odpowiada, zamiast poddawać się temu, czego chcą inni. Świadome tempo życia to umiejętność odróżnienia spraw ważnych od pilnych. To zdolność odpoczywania bez poczucia winy. To prawo do rezygnacji z tego, co niszczy zdrowie.

Czas przestaje być wrogiem, kiedy dostosujemy tempo życia do naszych realnych możliwości.

### **Myśl na Drogę**

Powązki uczą pokory wobec czasu. W ciszy między nagrobkami znika cała nowoczesna histeria pośpiechu, a zostaje tylko prosta prawda: jesteśmy tu na chwilę. Każdy oddech jest pożyczony, a zdrowie – choć dziś oczywiste – jutro może okazać się najcenniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek mieliśmy.

To jednak nie jest powód, by się bać. To jest przypomnienie, żeby żyć świadomie.

Te alejki mówią: wybieraj mądrzej, traktuj ciało jak sprzymierzeńca, nie przeciwnika. Słuchaj jego sygnałów, bo ono zawsze mówi prawdę wcześniej niż my sami jesteśmy gotowi ją przyjąć. Długowieczność nie rodzi się z cudów, lecz z codziennych mikrodecyzji – z uważności wobec siebie, z czułości, z umiejętności odmawiania świata, kiedy świat chce za dużo.

Wędrując tamtędy, człowiek widzi, że każdy nagrobek to zamknięta opowieść. I zaczyna rozumieć, że któregoś dnia nasze imię stanie się jednym z wielu. Ktoś przejdzie obok, może zatrzymać się na moment, może pomyśli: tu żył ktoś, kto naprawdę potrafił przeżyć swoją historię.

To jest jedyna prawdziwa ambicja, która ma sens: zostawić po sobie ślad w postaci życia, które było dobre, mądre i pełne.

Bo w ostatecznym rachunku liczy się tylko to, jak bardzo byliśmy obecni we własnym istnieniu – i czy mieliśmy odwagę żyć w zgodzie z prawdą, którą nosiliśmy w środku.





## Zatrzymane w kadrze – katakumby

---





# Wizytacja kanoniczna

Ks. Jacek Laskowski

Kochani, pytanie, które stawiam w tym artykule, brzmi: co tak naprawdę będziemy przeżywać 15 i 18 marca 2026 roku, kiedy do parafii św. Karola Boromeusza na Starych Powązkach przybędzie biskup diecezjalny? Czy będzie to zwykłe wydarzenie administracyjne? Czy może kolejny punkt w kalendarzu parafialnym? A może... wydarzy się coś znacznie głębszego, coś, co dotknie naszego serca i fundamentów naszej wspólnoty?

## 1. Wizytacja, która zaczyna się wcześniej, niż myślimy

Choć biskupa jeszcze nie widać w bramie naszej neogotyckiej świątyni, to wizytacja już się rozpoczęła. I wcale nie dlatego, że ktoś przyszedł coś sprawdzać. Zaczęła się w chwili, gdy jako wspólnota postawiliśmy sobie pytania: jak wygląda nasze życie? co w nas dojrzewa? co wymaga troski?

Kanoniczna wizytacja ma dwie części: wstępną i pasterską. Ta pierwsza dokona się na kilka dni przed spotkaniem z biskupem. Przyjadą dwaj delegaci – dyskretni, uważni, ale konkretni. Nie przyjadą oceniać, lecz zobaczyć prawdę o parafii.

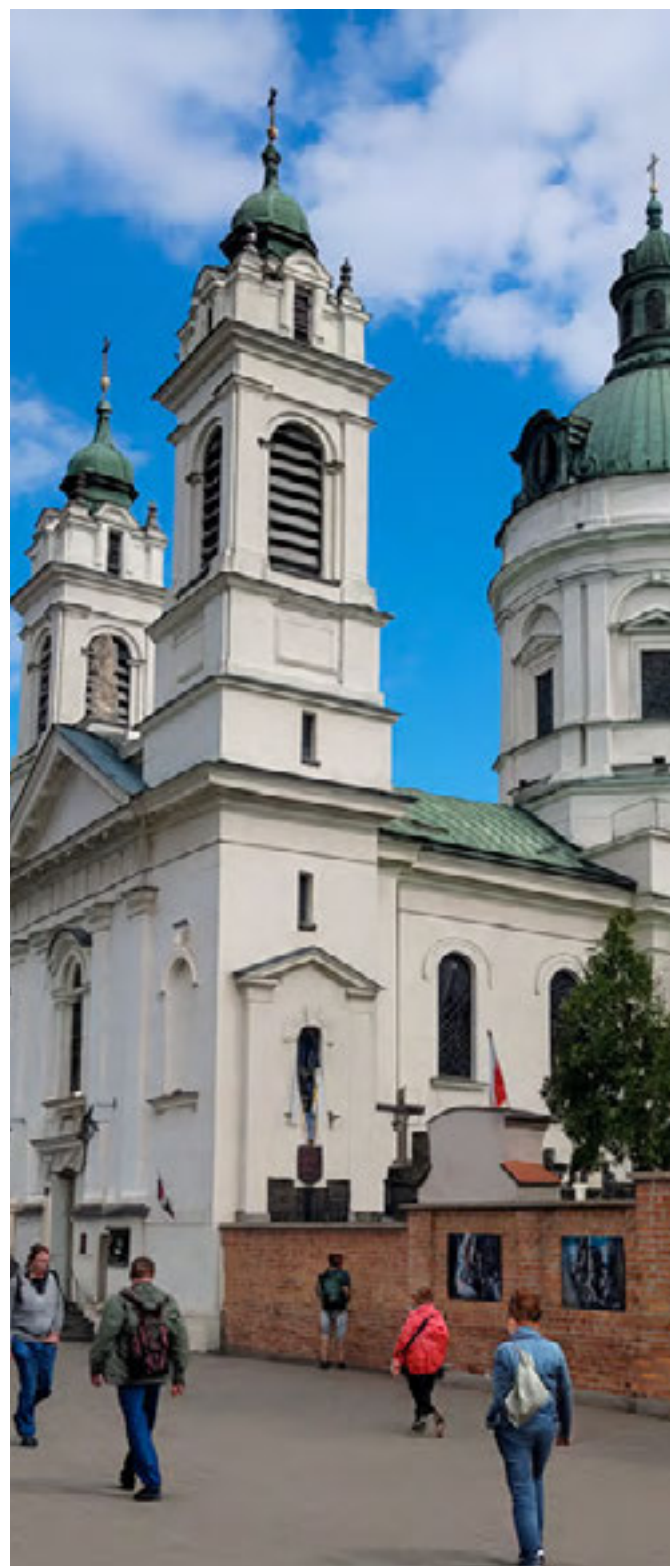
Wejdą do zakrystii, zajrzą do skarbca, przystaną na chwilę przy ołtarzu Karola Boromeusza, sprawdzą księgi, dokumenty, cmentarz na Powązkach, który jest jak kronika Warszawy wryta w kamieniu. Zajrzą również do budynków gospodarczych, a nawet do miejsc, o których przeciętny parafianin może nie wiedzieć, że istnieją.

Ale, moi Drodzy, nie chodzi o „przegląd techniczny parafii”. Delegaci biskupa będą patrzeć, czy nasza przestrzeń modlitwy jest piękna, schludna, i czy to, co materialne, nie przesłania tego, co duchowe.

## 2. Lustro, w którym odbija się życie wspólnoty

Wizytujący biskupa zajmą się nie tylko murami. Oni przyjadą zobaczyć życie, które w tych murach pulsuje. Zobaczą porządek nabożeństw, rytm

modlitwy, spotkania grup działających przy parafii. Od ministrantów po scholę, od chórzystów po Żywy Różaniec. Zajrzą w naszą katechezę – tę szkolną i tę, która dzieje się po cichu w salce, gdy ktoś przychodzi po pomoc lub rozmowę.





Każda parafia ma swój charakter. Stare Powązki są wyjątkowe – bo tu obok modlitwy pulsuje pamięć. Tu ludzie przychodzą nie tylko, by się modlić, ale by szukać sensu między grobami, odkrywać historię, dotykać przemijania. Delegaci biskupa zobaczą więc nie tylko parafię, ale także miejsce, które jest duchowym sercem Warszawy.

To wszystko ma przygotować najważniejszy moment – spotkanie z biskupem.

### 3. Dwa dni, w których Chrystus odwiedza swój lud

Wizytacja pasterska nie jest kontrolą. Nie jest egzaminem. Jest spotkaniem.

Program ustalimy wspólnie z księdzem biskupem. Ale najważniejsza chwila wydarzy się przy wejściu do świątyni. Gdy biskup zatrzyma się przy bramie naszego kościoła, a proboszcz – w komży, stule i kapie – poda mu krzyż do ucałowania. To gest,

który mówi jedno: to Chrystus przychodzi do swojego ludu.

Potem biskup dotknie kluczy, pokropi wiernych wodą święconą – jakby otwierał na nowo nasze serca, domy, nasze duchowe powązkowskie ścieżki. I wejdzie do kościoła, gdzie rozpocznie się uroczysta Eucharystia.

Jan Paweł II pisał, że wizytacja pasterska jest „czasem łaski i jedynym w swoim rodzaju momentem dialogu biskupa z wiernymi”. I że biskup wtedy najbardziej zbliża się do swojego ludu – słucha jego trosk, radości, lęków i nadziei.

I tak będzie u nas. 15 i 18 marca 2026 roku biskup nie przyjedzie, aby sporządzić raport, ale aby usiąść przy naszym stole – przy stole naszego życia – i powiedzieć: „Jestem z wami. Jesteście częścią Kościoła. Jesteście ważni”.

### 4. Co będziemy przeżywać?

Nie wydarzenie liturgiczne.

Nie kontrolę.

Nie protokół.

Będziemy przeżywać odnowienie więzi – tej między nami a naszym pasterzem, i tej między nami a Chrystusem. Spotkanie, w którym Kościół – nawet ten najstarszy, z najcichszymi uliczkami otulonymi Powązkami – na nowo poczuje, że żyje.

Wizytacja to chwila, w której Pan przechodzi przez naszą parafię, jak niegdyś przechodził przez miasta Galilei i Judei. Wchodzi, patrzy, rozmawia, pyta, błogosławi. I mówi: „Pokój temu miejscu”.

A my przygotowujemy się na to spotkanie już teraz – modlitwą, troską o piękno świątyni, ale przede wszystkim troską o siebie nawzajem.

Kochani, 15 i 18 marca 2026 roku Pan odwiedzi swój lud na Starych Powązkach. A my zrobimy wszystko, by znalazł nas gotowych – nie idealnych, ale prawdziwych. Przychodzących z wiarą, z nadzieją i z otwartym sercem.





# Religia jako przestrzeń: między ciszą a spotkaniem

Ks. Jacek Laskowski

Wielu ludzi wychowanych w duchu tradycji słyszało kiedyś: „tak trzeba”, „nie wypada nie pójść do kościoła”, „Bóg się obrazi”. Z czasem te słowa, powtarzane bezrefleksyjnie, stają się ciężarem. Rodzą w człowieku subtelny opór, jakby religia była systemem kontroli, a nie drogą wolności. A przecież pierwotnie nie o to chodziło. Wiara nie była nigdy aktem poddaństwa wobec nakazów, lecz **przestrzenią spotkania**. W tej przestrzeni człowiek może oddychać, pytać, milczeć i szukać, nie dlatego, że „musi”, ale dlatego, że **chce być blisko Źródła**.

## Wiara zaczyna się w przestrzeni

Religia – w swym najgłębszym sensie – nie jest zbiorem reguł, lecz otwartym wnętrzem, w którym człowiek i Bóg mogą się spotkać. W tym ujęciu bliżej jej do ogrodu niż do sali sądowej. Człowiek wchodzi w nią nie po to, by udowodnić swoją poprawność, lecz by usłyszeć, kim naprawdę jest.

Teolog Hans Urs von Balthasar pisał, że „Bóg nie potrzebuje od nas doskonałości, lecz prawdy”.

To zdanie odsłania istotę duchowości: wiarę jako **przestrzeń autentyczności**. Można przyjść do Boga nieupiększonym, nieprzygotowanym, nawet z pustymi rękami i to wystarczy. On nie wymaga masek, ale obecności.

Wielu mistyków, od św. Teresy z Ávili po Mer-tona, mówiło, że modlitwa nie jest obowiązkiem, lecz **miejscem zamieszkania serca**. Tam nie trzeba mówić wiele. Wystarczy być.



# Religia jako przestrzeń: między ciszą a spotkaniem

---

## Przestrzeń, która nie boi się pytań

Prawdziwa religijność zaczyna się wtedy, gdy człowiek przestaje udawać, że ma wszystkie odpowiedzi. Gdy pozwala sobie na pytanie, które naprawdę boli. „Dlaczego cierpienie?”, „Czemu Bóg milczy?”, „Co, jeśli nie czuję nic?”.

Tego rodzaju pytania nie niszczą wiary – przeciwnie, oczyszczają ją z ideologii i przywracają jej ludzką temperaturę. Księga Hioba jest przecież poematem pytań, a nie podręcznikiem wyjaśnień. Jezus sam pyta: „Boże mój, czemuś Mnie opuścił?”.

Wiara dojrzewa w przestrzeni, w której można zapytać, nie ryzykując odrzucenia. To przestrzeń **do dialogu, a nie do potępienia**. Gdy Kościół zapomina o tym, staje się instytucją obowiązku. Gdy sobie o tym przypomina – odzyskuje sens: staje się miejscem, gdzie człowiek może być sobą i z tym „sobą” być przyjęty.

## Relacja, nie rytuał

Każdy, kto kiedykolwiek kochał, wie, że miłość nie znosi przymusu. To samo dotyczy Boga. Jeśli religia ma być żywa, musi być **relacyjna**.

Martin Buber pisał, że życie duchowe zaczyna się w momencie, gdy człowiek przestaje mówić „Ja – to”, a zaczyna mówić „Ja – Ty”. Bóg nie jest „rzeczą”, którą można zrozumieć, opisać czy skatalogować. On jest **Ty**, wobec którego można tylko być. Religia staje się wtedy nie tyle zbiorem zasad, ile spotkaniem spojrzeń – człowieka, który szuka sensu, i Boga, który szuka człowieka.

Liturgia, modlitwa, wspólnota – to tylko różne formy tego samego gestu: wychodzenia ku relacji. Ale jeśli zabraknie w nich autentyczności, zamieniają

się w teatr. Bóg nie jest reżyserem, który ocenia nasze role. On raczej czeka, aż przestaniemy grać.

## Przestrzeń, która uczy wolności

Wierzyć to nie znaczy „być posłusznym przepisom”, lecz **zaryzykować bliskość**. Kiedy Bóg wchodzi w historię człowieka, nie narzuca się, nie kolonizuje jego sumienia. Przychodzi z zaproszeniem, nie z przymusem. To zaproszenie zawsze ma kształt wolności.

Papież Franciszek często powtarza, że Kościół musi być „domem otwartych drzwi”. To obraz nie tylko architektoniczny, ale duchowy: przestrzeń, w której można wejść i wyjść bez lęku, gdzie pytania są mile widziane, a wątpliwości nie są grzechem. W takim Kościele nikt nie mierzy wiary termometrem gorliwości. Liczy się tylko jedno: czy człowiek naprawdę spotkał Miłość.

## Religia przyszłości

Być może religia przyszłości nie będzie już wyglądała jak instytucja, lecz jak przestrzeń spotkania – mniej o obowiązku, więcej o więzi. Nie tyle o „chodzeniu do kościoła”, ile o **byciu człowiekiem, który szuka sensu z innymi**. Nie o „poprawności dogmatycznej”, ale o prawdzie serca.

W świecie zdominowanym przez algorytmy, które wiedzą, czego chcemy, zanim my to wiemy – wiara może być jednym z ostatnich miejsc wolności. Przestrzenią, w której człowiek nie jest profilem ani wynikiem, ale tajemnicą.

I może właśnie dlatego religia przetrwa – nie jako system kontroli, lecz jako **przestrzeń spotkania**. Bo dopóki człowiek będzie czuł w sobie głód sensu, dopóty będzie wracał do miejsc, w których można usłyszeć coś więcej niż echo własnych słów.

---

Wiara nie jest więc obowiązkiem, lecz **oddechem duszy**.  
Nie przymusem, lecz przestrzenią, w której człowiek odzyskuje siebie. Nie zadaniem,  
lecz relacją, w której można wreszcie powiedzieć: „Jestem. I Ty też jesteś”.

I to wystarczy, by zaczęła się prawdziwa modlitwa.







# Pięć perspektyw, kiedy ktoś cię rani

Być może masz odruch zgody: wolisz pokój niż spór, ciszę niż awanturę. Ustępujesz, tłumaczysz sobie cudze wybuchy, pakujesz w siebie nie swój ciężar. Aż czujesz, jak inni wycierają buty o próg twojego serca. Dobra wiadomość? Granice można postawić. Czasem wystarczy jedno zdanie, które zamknie stary rozdział i otworzy nowy.

## 1) „Nie chcę już przez to przechodzić” – to wystarczy

Nie musisz spisywać win i uzasadnień. Wewnętrzne: „dość” jest pełnoprawnym powodem, by wyjść z sytuacji, relacji czy schematu, który cię niszczy. Twoje „nie” jest kompletne bez przypisów.

## 2) Dorosłość to prawo do ostatniego razu

Możesz zdecydować: „to było po raz ostatni, kiedy ktoś sprawił, że czuję się tak źle”. Więzy krwi, staż znajomości czy status związku nie unieważniają twojej godności. Granice nie są brakiem miłości; są jej warunkiem.

.....  
*Granice można postawić.*

*Czasem wystarczy jedno zdanie*  
.....

## 3) Grzeczność nie może być alibi dla cudzego braku szacunku

Jeśli łapiesz się na myśli: „przemilczę jeszcze ten jeden raz, żeby nie psuć relacji” – zapytaj: czemu tak bardzo zależy ci na dobrym wrażeniu u kogoś, kto nie dba o twoje uczucia? Uprzejmość jest cnotą, ale nie wtedy, gdy staje się smyczą.

## 4) Opuść kontrolę nad cudzą narracją

Pozwól im mieć swoją opinię, ostatnie słowo, nawet błędną interpretację. Nie musisz prostować wszystkiego. Najważniejsze: pozwól im stracić dostęp do siebie. Oddychaj pełną piersią, wróć do tego, kim jesteś, zanim zaczniesz się tłumaczyć.

## 5) Zamknij drzwi, żeby lekcja mogła się skończyć

Ludzie, którzy ranią, mogą pozostać wyłącznie lekcją – pod warunkiem, że przestaniesz im dawać miejsce w swoim życiu. To twoje życie, nie cudzy poligon, nie ring i nie tablica ogłoszeń na czyjeś frustracje.

Mały krok na dziś: jedno zdanie graniczne. Na przykład: „Nie zgadzam się na takie traktowanie i przerwam tę rozmowę”. Potem konsekwencja. Reszta zacznie się porządkować sama.







# Mur z liści

## Jak Afryka (i nie tylko) rysuje nową mapę świata

Wiktor Zieliński

Wyobraźmy sobie budowlę, której nie widać z betonu ani stali, a jednak zmienia bieg historii. Ma prawie osiem tysięcy kilometrów długości, piętnaście kilometrów szerokości i rośnie dzień po dniu. To nie autostrada, nie rurociąg – to pas zieleni, który ma zatrzymać pochód Sahary. Największa żywa struktura na Ziemi. Brzmi jak science fiction? A jednak to się dzieje.

### Dlaczego w ogóle „mur”?

Sahara nie stoi w miejscu. To ruchomy ocean piasku, który – popychany przez wiatr, nadwyrężony przez susze i błędy ludzi – każdego roku pożera kolejne połacie lądu. Globalnie pustynie „zjadają” ok. sześciu milionów hektarów rocznie. Tylko w XX wieku Sahara rozszerzyła się o obszar mniej więcej dwukrotnie większy niż Polska. Dla mieszkańców Sahelu to nie statystyka, lecz codzienność: mniej pastwisk, krótsze plony, większe migracje, napięcia społeczne.

W 2005 r. afrykańscy przywódcy zdecydowali się zrobić coś, co wcześniej brzmiało jak marzenie: zbudować zieloną barierę przecinającą kontynent. Nie z kolczastego drutu, tylko z rodzimych drzew, krzewów i głębokiej mądrości ludzi pustyni. Cel? Zatrzymać piasek, dać cień, zatrzymać wodę i przywrócić życie.

### Największa żywa konstrukcja świata

Plan jest prosty w definicji, ambitny w wykonaniu: niemal 8000 km długości, ok. 15 km szerokości, docelowo ponad 11 milionów hektarów nowych i odtworzonych ekosystemów – jakby zalesić jedną trzecią Polski. Prace trwają od lat: szczególnie wyraźne efekty widać w Senegal, Nigerii czy Etiopii. Tam, gdzie sadzenie połączono z programami społecznymi – kuchenkami oszczędzającymi opał, małymi spółdzielniemi nasiennymi, szkoleniami dla rolników – drzewa nie trafiają pod siekiere „z konieczności”. Ziemia zaczyna wiązać wodę, wracają ptaki i zapylacze, a między pasami zieleni pojawiają się uprawy odporne na suszę. Las nie jest tu ogrodzony od ludzi – przeciwnie, rośnie razem z nimi.

To ważna lekcja: drzewa same nie zatrzymają pustyni, jeśli przegrają z codziennością. Gdy alternatywą dla drewna jest głód lub zimno, wygrywa ognisko. Dlatego „mur z liści” musi być zarazem programem gospodarczym: mikroirygacja, zbieranie deszczówki, rozwój szkółek, wsparcie dla kobiet (najczęściej opiekunek ziemi i wody), lokalny rynek drewna z plantacji szybko rosnących. Ekologia bez ekonomii jest piękną opowieścią – i krótką.



# Mur z liści – jak Afryka (i nie tylko) rysuje nową mapę świata

## Chińska lekcja ostrożności

Podobny pomysł realizują od dekad Chiny, budując zieloną barierę przeciwko ekspansji pustyni Gobi. Skala imponuje, ale bilans jest mieszany. Tam, gdzie postawiono na monokultury i masowe nasadzenia na bardzo ubogich glebach, część drzewostanów obumarła, a intensywne zalesianie obniżyło poziom wód gruntowych. Wniosek? Zielone mury 2.0 powinny być mozaiką, nie dywanem: pasy drzew przeplatane polami, łąkami, zadrzewieniami śródpolnymi, z retencją i bioróżnorodnością wpisaną w projekt od pierwszego dołu pod sadzonkę. Drzewo drzewu nierówne, a różnorodność to najlepsza polisa ubezpieczeniowa natury.

## Sahara – w stronę przyszłości

Historia Sahary jest opowieścią o zmianach klimatu dłuższych niż ludzkie życie: tysiące lat temu była zieloną krainą jezior. Naukowcy wskazują na cykle orbitalne Ziemi i ich wpływ na monsuny – stąd hipotezy, że w odległej perspektywie część regionu może znów się zazielenić. To jednak geologiczna powolność. Dla mieszkańców Sahelu liczy się teraz: woda w płytkiej studni, cień dla bydła, pasza po deszczu. Zielony Mur to nie „plan B” natury – to plan A ludzi, którzy nie chcą czekać na cud z kosmosu.

## Co działa? Pięć filarów „muru, który rośnie”

- Lokalność ponad wszystko. Sadzonki zebrane z okolicy, gatunki rodzime (akacje, balanity, moringi), znajomy „język” gleby i klimatu.
- Woda to królowa. Proste półksiężycy w ziemi, „zaie” (małe misy na wodę), suche mury spowalniające spływ, dachy łapiące deszcz, ceramiczne dzbany do mikronawadniania – tanie i skuteczne.

- Mozaika zamiast monokultury. Pasy drzew, żywopłoty, krzewy, agroforestry: drzewa z uprawami, które się lubią (np. proso pod akacją).
- Ekonomia przy glebie. Gdy drzewo daje żywicę, owoce, paszę czy miód – staje się inwestycją, nie kosztem. Tam zaczyna się prawdziwa ochrona.
- Technologia, która nie przeszkadza. Satelity i drony do monitoringu, aplikacje do mapowania sadzonek, ale także... tablica w wiosce z listą prac i odpowiedzialnych. High-tech spotyka low-tech.

## Dlaczego to porusza wyobraźnię?

Bo jest konkretne i „sprawdzalne gołym okiem”. W świecie, w którym często słyszymy o klimacie w trybie ostrzegawczym, Wielki Zielony Mur opowiada o odwadze działania. Nie neguje skali problemu, ale też nie kapituluje. Jest czymś więcej niż projektem środowiskowym – to architektura pokoju społecznego: mniej migracji wymuszonych suszą, więcej miejsc pracy, lepsze zdrowie, stabilniejsze szkoły. Drzewo posadzone dziś to cień dla dziecka jutro.

## A my – gdzie w tym jesteśmy?

Europejczycy – także Polacy – potrafią świetnie liczyć drzewa. Czas dołożyć do tego liczenie szans. Udział w Wielkim Zielonym Murze może mieć wiele form: od wsparcia finansowego i technologicznego, przez partnerstwa naukowe (gleboznawstwo, hydrologia, agronomia), po programy edukacyjne i wymianę młodzieży. Nie chodzi o filantropię „z wysokości”, tylko o współpracę: uczymy się razem, bo susze i degradacja gleb nie znają granic. Każda tama z liści po drugiej stronie Morza Śródziemnego zmniejsza także presję migracyjną i stabilizuje regiony, z którymi codziennie handlujemy.





**Mur z liści – jak Afryka (i nie tylko) rysuje nową mapę świata**

Dakar

## **GREAT GREEN WALL – WIELKI ZIELONY MUR**

Bamako

Addis Abeba

### **Nadzieja, która ma liście**

Najpiękniejsze w tej historii jest to, że nadzieja naprawdę ma tu kory, liście i korzenie. W Senegalu wróciły ptaki, w wioskach pojawiły się nowe zasiewy, w szkołach dzieci uczą się, jak chronić wodę. Oczywiście, będą porażki: niektóre nasadzenia uschną, inne zniszczy wiatr czy kozy. Ale projekt, który łączy naturę, gospodarkę i wspólnotę, ma niezwykłą zdolność uczenia się. Drzewo, które nie przetrwa, zostawi lekcję dla następnego drzewa.

Sahara nie zniknie. Nie taki jest cel. Celem jest granica rozsądku: linia, za którą życie ma prawo trwać mimo upału. Wielki Zielony Mur nie jest romantyczną opowieścią o drzewach; to plan rozpisany na lata i pokolenia. Jeśli będziemy go realizować mądrze – z szacunkiem dla wody, różnorodności i ludzi – doczekamy chwili, w której mapa Afryki nabierze nowych, zielonych odcieni.

Kto wie – może kiedyś powiemy, że największą budowlą XXI wieku nie była wieża ze szkła, lecz mur, który oddycha. I że właśnie on zatrzymał marsz pustyni, a nam przypomniał, że przyszłość też da się sadzić – po prostu po jednym drzewie naraz.



# Dobrze kochać siebie

## Droga do autentycznych relacji

Anna Biłyk

*„Są dwa przeciwstawne sposoby kochania siebie: bezinteresowny i egoistyczny. Tylko pierwszy z nich nas chroni, drugi nas niszczy”. (Josef Pieper)*

Jak odróżnić jedno od drugiego? O tym właśnie myślę, wciskając się w tłum, który wypływa z pociągu relacji Warszawa – Gdańsk. Mijam kościół świętej Brygidy i skręcam. Monumentalna ściana historycznego kościoła stanowi jedną z granic ogrodu okalającego kilkupiętrowy dom, który regularnie co kwartał staje się miejscem spotkań młodych dziewczyn. Przychodzą tu ze swoimi historiami, pytaniami, decyzjami i z pragnieniem bycia w autentycznej, radosnej wspólnotie. Tym razem spotykają się, by pracować nad samoakceptacją.

Jezus mówi: „Będiesz miłował bliźniego swego jak siebie samego” (Mt 22,39). Ale jak kochać innych, jeśli nie potrafimy kochać siebie? Odpowiedź tkwi w zrozumieniu naszej prawdziwej wartości. Nie chodzi o egocentryzm, ale o uznanie, że jesteśmy stworzeni na obraz Boga – a każde Jego dzieło jest dobre.

Bóg, przyjmując naturę człowieka, podkreślił wielką godność i przeznaczenie każdego z nas. Aby to przeznaczenie mogło się realizować, potrzebna jest akceptacja siebie. Walter Trobisch mówi, że gdy „zaakceptujemy samych siebie, możemy stać się prawdziwie bezinteresowni i wolni od nas samych. Jeśli jednak nie odnaleźliśmy siebie i nie odkryliśmy naszej własnej tożsamości, to wciąż musimy poszukiwać siebie samych”. A ta droga prowadzi do nadmiernej koncentracji na sobie, zamiast bycia dla innych.

Samoakceptacja bywa błędnie rozumiana jako brak zmian, życie w przekonaniu „taki już jestem”, co czasem pełni funkcję usprawiedliwienia dla braku rozwoju. Przeciwnie – akceptacja samego siebie to punkt wyjścia do zmiany.

To zgoda na bycie osobą ze swoimi talentami i mocnymi stronami, ale także stanięcie w prawdzie z ograniczeniami czy sytuacją życiową. To pokochanie siebie na tyle, by móc pokochać i budować głębsze relacje z innymi. Tak jak w przypadku Jonatana, który dzięki samoakceptacji był w stanie wejść w prawdziwą przyjaźń z Dawidem: „(...) dusza Jonatana przylgnęła do duszy Dawida. Pokochał go Jonatan tak jak samego siebie” (1 Sm 18,1).

Jak więc „dobrze” akceptować siebie?

Wiemy z badań nad relacjami, że potrzebujemy pozwolić innym, by nas kochali, i umieć przyjąć ten dar. W tej drodze towarzyszą dziewczynom Siostry Duszy Chrystusowej – inicjatorki wspomnianych na początku spotkań i gospodynie gdańskiego domu. Tworzą bliską i naturalną relację z dziewczynami, działają regularnie, nie-strudzenie, z troską, ciepłem i nieprawdopodobną pogodą ducha. To dlatego dziewczyny wracają tu regularnie, a inne przyjeżdżają po raz pierwszy, aby doświadczyć atmosfery spokojnej pracy nad sobą i poznawania życzliwych i autentycznych osób.

To tutaj można nauczyć się tej trudnej sztuki – bezinteresownego kochania siebie, które nie niszczy, ale chroni i pozwala prawdziwie kochać innych i Boga.





# Między wczoraj a jutrem

## O Kościele, który uczy się Miłości

Ks. Jacek Laskowski

**Co, jeśli to, co nazywamy kryzysem, jest w istocie dojrzewaniem? Może Kościół właśnie teraz uczy się mówić o Bogu nowym językiem – językiem spotkania, czułości i wolności. Może to nie koniec epoki, lecz początek czegoś, co już od dawna dojrzewało w sercach wierzących.**

Można odnieść wrażenie, że Kościół stoi dziś na progu czegoś nowego. Nie jest to jednak pierwszy taki moment w historii – to raczej **kolejny etap dojrzewania** wspólnoty wiary. Tak jak w ludzkim życiu dorastanie nie oznacza odrzucenia dzieciństwa, ale jego wypełnienie, tak i w życiu Kościoła nowe formy nie unieważniają dawnych, lecz **na-dają im nowy sens**. Ewangelia jest ta sama, lecz serce człowieka dojrzewa w jej przyjmowaniu. I może właśnie teraz, po wiekach, kiedy uczymy się mówić o Bogu językiem zaufania, a nie lęku, **Kościół wchodzi w etap bardziej relacyjny, bardziej ludzki i bardziej duchowy**.

W historii już nieraz tak było. Kiedyś chrześcijanie spotykali się w katakumbach – nie dlatego, że chcieli ukrywać wiarę, ale dlatego, że potrzebowali **być razem w prostocie i bliskości**. Potem, gdy chrześcijaństwo stało się religią publiczną, zrodziła się epoka katedr – pięknych, monumentalnych, które miały mówić

światu o chwale Boga. W średniowieczu duchowość wyraziła się w kontemplacji – w ciszy klasztorów i modlitwie serca. W czasach odrodzenia Kościół zwrócił się ku kulturze, sztuce, pięknu człowieka. Sobór Trydencki przyniósł odnowę liturgii i katechezy, Sobór Watykański II – **powrót do źródła Ewangelii** i otwarcie drzwi na świat.

Każda z tych przemian była **odpowiedzią na pragnienia człowieka epoki** – na jego wrażliwość, pytania, sposób myślenia. I zawsze prowadziła głębiej: od form do treści, od zwyczaju do relacji, od obowiązku do miłości. Także dziś jesteśmy świadkami podobnego ruchu. Nie chodzi o rewolucję, ale o **ewolucję serca**. O przejście od religijności opartej na obowiązku ku religijności opartej na spotkaniu. Nie oznacza to, że poprzednie pokolenia wierzyły źle. Oznacza, że **Duch Święty nadal prowadzi nas dalej** – ku pełniejszemu zrozumieniu miłości Boga.



## Między wczoraj a jutrem – o Kościele, który uczy się Miłości

Papież Franciszek często powtarza, że Kościół nie traci swojej tożsamości, gdy wychodzi ku światu – wręcz przeciwnie, wtedy ją najpełniej realizuje. To samo uczynił św. Franciszek z Asyżu w swoim czasie: nie tworzył nowej doktryny, ale **przypominał o prostocie Ewangelii**, o Bogu, który nie mieszka tylko w świątyniach, ale w sercu człowieka. Św. Teresa z Ávila pokazała, że Bóg może być obecny w codzienności. Jan XXIII otworzył okna Kościoła, by wpuścić świeże powietrze dialogu. Jan Paweł II przypomniał światu o **godności osoby**, Benedykt XVI zachwycił **piękną wiarą myślącą**, a Franciszek zaprasza do Kościoła, który **słucha i towarzyszy**.

Może więc dziś Duch Święty zaprasza nas do kolejnego kroku – ku **Kościółowi spotkania**. Nie chodzi o zmianę dogmatu, ale o pogłębienie doświadczenia. Nie o odejście od sacrum, lecz o jego odkrycie w człowieku. Może to czas, by wiara na nowo stała się **dialogiem**, a nie tylko przekazem; **wspólnotą pielgrzymów**, a nie tylko strukturą; **przestrzenią, gdzie nikt się nie boi**, bo każdy wie, że jest kochany.

Nie ma w tym sprzeciwu wobec przeszłości. Jest wierność Duchowi, który zawsze prowadził Kościół przez zmiany – przez Ojców Kościoła, przez świętych, przez sobory, przez zwykłych ludzi, którzy w prostocie serca wierzyli, że **Ewangelia ma wciąż nowe życie**. To nie jest rewolucja, ale **ciągłość miłości**.

Być może więc właśnie teraz Kościół dojrzewa do nowego języka: nie tyle języka nakazu, ile języka bliskości. Nie tyle o tym, co „trzeba”, ile o tym, co „warto”. Bo człowiek XXI wieku nie przestał szukać Boga – po prostu szuka Go inaczej: bardziej w spotkaniu, mniej w strukturze; bardziej w relacji, mniej w formie.

Kościół przyszłości, który już się rodzi, nie będzie inny w istocie. Będzie wciąż tym samym Kościołem – **Ciałem Chrystusa**, które od dwóch tysięcy lat przechowuje i przekazuje miłość Boga. Ale będzie Kościołem, który umie słuchać, który nie boi się pytań, który potrafi być obok człowieka w jego codzienności.

To, co dzieje się dzisiaj, nie jest więc końcem. To jest **kolejny rozdział tej samej Ewangelii** – może bardziej czuły, bardziej pokorny, bardziej świadomy, że Bóg woli serca otwarte niż doskonałe. I może właśnie dlatego to, co przeżywamy, nie jest kryzysem, ale **łaską dojrzewania**. Jak pszeniczne ziarno, które musi pęknąć, by wydać nowy plon, tak i Kościół przechodzi przez swoje przemiany po to, by **jeszcze pełniej objawić Boga, który jest Miłością**.

Bo historia Kościoła to historia Boga, który **nie przestaje mówić do człowieka w jego własnym języku**. A jeśli dziś mówi do nas językiem spotkania, wolności i czułości – to znaczy, że znów uczy nas kochać dojrzalej.







*Aleksandra Śląska w filmie „Mansarda”  
w reżyserii Konrada Nałęczkiego, 1963*

# Aleksandra Śląska

## Stal i aksamit polskiej sceny

Maria Bryzgalska

Z Katowic wyniosła twardość i godność – z Katowic, gdzie przy ul. Poniatowskiego 34, 4 listopada 1925 roku urodziła się jako Aleksandra Wąsik, córka Edmunda Wąsika, wicedyrektora Okręgu Polskich Kolei Państwowych, powstańca śląskiego i posła II Rzeczypospolitej. Dorastała w domu, gdzie służba publiczna i odpowiedzialność były codziennością. Jej ojciec mierzył wysoko – a ona chciała wznosić się jeszcze wyżej.

Kraków dał jej dyscyplinę rzemiosła. Wstąpiła do krakowskiej Państwowej Szkoły Dramatycznej działającej przy Teatrze im. Juliusza Słowackiego – za namową Wiesława Góreckiego przyjęła pseudonim „Śląska” – znak pochodzenia i zarazem program artystyczny. Pomiedzy nauczycielami przewijają się nazwiska gigantów polskiej sceny: Juliusz Osterwa, Ludwik Solski, Aleksander Zelwerowicz, Jerzy Leszczyński... Debiutowała w 1946 roku jako Róża w „Bartoszu Głowackim”, niedługo potem partnerowała samemu Osterwie w „Fantazym”. W zaledwie kilku sezonach przeszła od ról młodzieńczych – do dramatycznych: Maria Magdalena, Marianna, Paschala – wreszcie Amelia w „Mazepie” (1949) – która symbolicznie pożegnała Kraków.

Warszawa przyniosła legendę: od 1949 roku związana była ze stolicą. W dwóch wielkich teatrach – u Erwina Axera w Teatrze Współczesnym w Warszawie oraz u Janusza Warmińskiego w Teatrze Ateneum – stworzyła kolekcję ról znakomicie skrojonych i bezlitośnie precyzyjnych. We Współczesnym grała m.in. Ruth i Liesel w „Niemcach”, Vivie w „Profesji pani Warren”, Violetę w „Kordianie”. W Ateneum – role, o których mówiło i pisało się latami: Blanche w „Tramwaju zwanym pożądaniem”, Joanna w „Więźniach z Altony”, Matka Joanna od Aniołów w „Demonach”, Inez de Castro w „Martwej królowej”, Charlotte Corday w „Maracie/Sade”, tytułowa „Matka” Witkacego.

W klasyce rosyjskiej zachwycała jako Helena w „Wujaszku Wani”, Arkadina w „Mewie”, Raniewska w „Wiśniowym sadzie”; w dramacie skandynawskim – Alicja w „Tańcu śmierci” i Tea w „Wierzycielach”. W „Don Carlosie” grała Elżbietę de Valois, a w „Fantazym” – Idalię. Każda z tych ról niosła jej znak firmowy: chłód, który potrafił rozgrzać emocje; elegancję, która nigdy nie była pustą pozą; głos – stalowy w precyzji, aksamitny w barwie.





*Kadr z filmu „Ich dzień powszedni”,  
reżyseria: Aleksander Ścibor-Rylski, 1963,  
Aleksandra Śląska i Zbigniew Cybulski*



## Aleksandra Śląska – stal i aksamit polskiej sceny

Jej metoda – perfekcja bez hałasu. Nie znosiła skrótów myślowych i skrótów na scenie. Uczyla, że improwizacja jest wolnością zdobytą ciężką pracą – pojawia się dopiero wtedy, gdy rola jest rozpisana do ostatniego oddechu. Nic dziwnego, że najpełniej rozkwitała w pracy z reżyserami, którzy wymagali wiele: Andrzej Wajda, Jerzy Kreczmar, Konrad Swinarski, Jan Świdorski, Zdzisław Tobiasz i – najczęściej – Janusz Warmiński.

W latach późniejszych poświęciła się także reżyserii i pedagogice: pod koniec lat 70. przygotowała i zagrała monodram Petera Hacksa „Rozmowa w domu państwa Stein o nieobecnym panu von Goethe”, a w latach 80. na Scenie 61 Ateneum prowadziła dyplomy swoich studentów („Lato”, „Madame de Sade”, gdzie sama wystąpiła jako Madame de Montreuil). Jej pedagogiczna droga zaczęła się już znacznie wcześniej: od 1955 roku asystentka na warszawskiej PWST, w 1987 roku uzyskała tytuł profesora nadzwyczajnego. Zajęcia pod jej przewodnictwem słynęły z drobiazgowej analizy roli i bezwzględnej uczciwości wobec tekstu.

Na ekranie telewizji i w radiu – intymność głosu: w Teatrze Telewizji stworzyła około trzydziestu znaczących kreacji: od „Marii Stuart” i „Łagodnej” przez „Mazepę” i „Beatrix Cenci” po tytułową „Hedwę Gabler”. W Polskim Radiu – imponujący dorobek około 150 ról i niezliczonych lektur; wiedziała, jak mówić, by obraz rodził się w wyobraźni słuchacza, a nie na scenografii.

Choć zawsze powtarzała, że przede wszystkim jest aktorką teatralną, kino również zapisało w pamięci widzów jej niezapomniane kreacje: w filmie „Ostatni etap” (1948) w reżyserii Wandy Jakubowskiej stworzyła postać przerażająco prawdziwą *oberaufsehreriny* obozu koncentracyjnego. W obrazie „Pasażerka” (1963) Andrzeja Munka wcieliła się w Lisę – postać niejednoznaczną, pełną napięcia. Była też m.in. Konstancją Gładkowską w „Młodości Chopina”, Hanką w „Piątce z ulicy Barskiej”, Krystyną w „Pętli” i Joanną Orłowską w „Czarnej sukni”.

W 1982 roku przyszedł moment, który dziś bywa nazywany główną reprezentacją jej talentu: w serialu „Królowa Bona” Janusza Majewskiego Śląska zagrała królową Bonę Sforzę – od dwudziestodwuletniej władczyni po schyłek życia królowej. Aristokratyczna powłoka, stalowa wola, pęknięcia sumienia – wszystko brzmiało prawdą. To jedna z najbardziej kompletnych kreacji w historii polskiej telewizji.

W dubbingu i jako lektorka potrafiła dać twarz samym głosem. Tytułowe role w „Teresie Raquin” i „Annie Kareninie”, Martha w „Kto się boi Virginii Woolf?”, liczne filmy dokumentalne – to rozdziały jej mistrzostwa. Za szczyt uchodzi jednak Elżbieta I z serialu „Elizabeth R” – Śląska użyczyła głosu Glendzie Jackson tak, że polska wersja stała się osobnym dziełem.

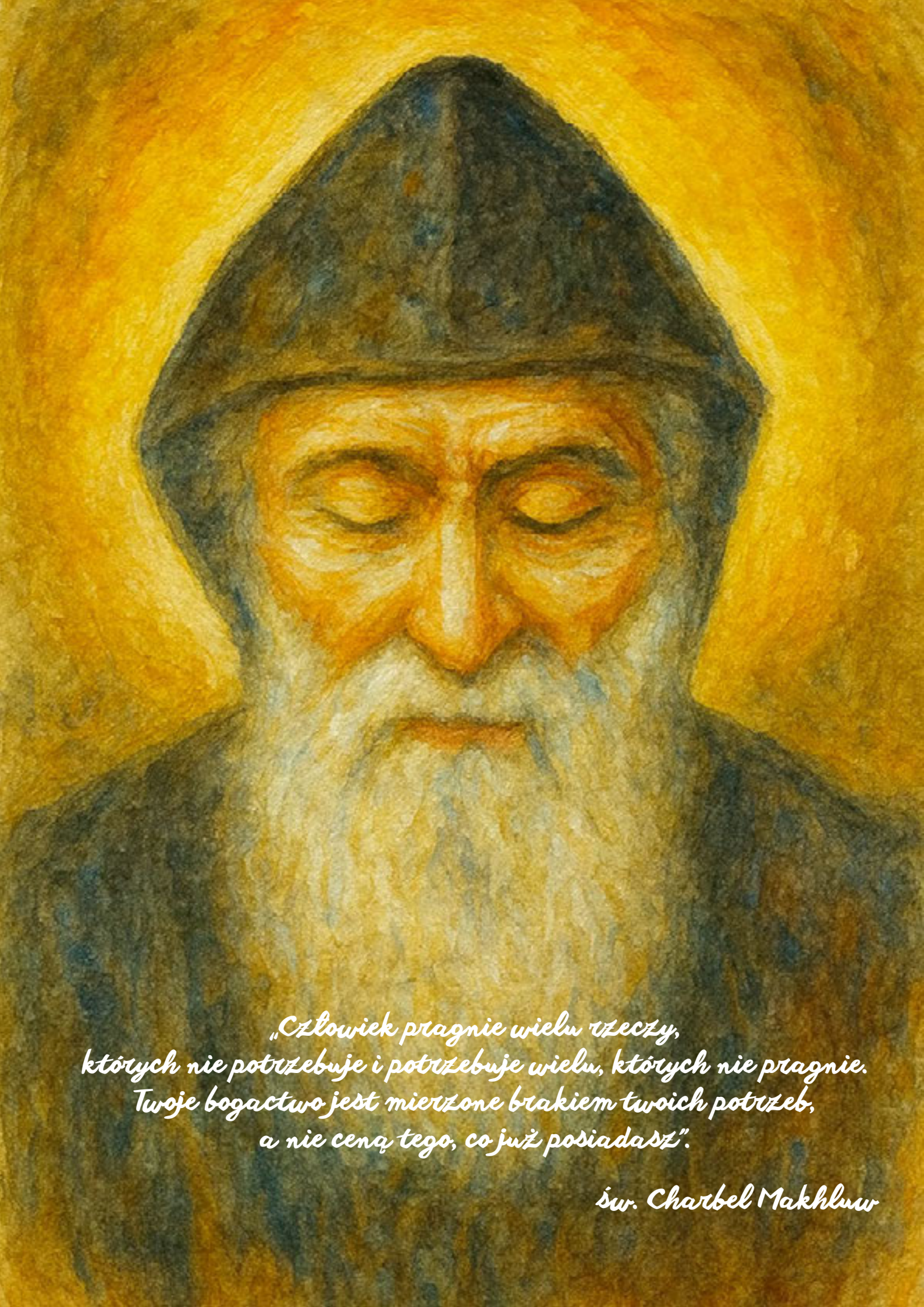
Nagrody i odznaczenia zbierała nie dlatego, że się o nie starała, lecz dlatego, że nie robiła aktorskich kompromisów. Od nagród państwowych, przez wyróżnienie w Cannes za „Pasażerkę” (film był w konkursie festiwalu w Cannes), Złoty Ekran, laury Teatru TV i radiowe, po wysokie odznaczenia państwowe, w tym Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski i Order Sztandaru Pracy.

Jej najtrwalszym partnerstwem było to z Januszem Warmińskim – dyrektorem, reżyserem, mężem. W Warszawie zmarła 18 września 1989 roku. Pochowana na Starych Powązkach – kwatera 339-3-5,6.

Pamięć o niej nie potrzebuje patosu: wystarczy przypomnieć głos, którym potrafiła rozcinać ciśniętą jak brzytwą, i spojrzenie, które unieruchamiało scenę.

*Mogiła na Starych Powązkach  
Kwatera 339-3-5,6*





*„Człowiek pragnie wielu rzeczy,  
których nie potrzebuje i potrzebuje wielu, których nie pragnie.  
Twoje bogactwo jest mierzone brakiem twoich potrzeb,  
a nie ceną tego, co już posiadasz”.*

*św. Charbel Makhlouf*



# Relikwie ukrzyżowania

Ks. Jacek Laskowski



Drogi czytelniku, są takie ślady, które nie krzyczą. Leżą cicho, jakby nie chciały przesłonić Tego, o którym mówią. Do takich śladów należy Całun Turyński. Gdy w 1898 roku po raz pierwszy skierowano na niego obiektyw aparatu, stało się coś zaskakującego: fotografia ujawniła więcej, niż widziały oczy. Aparat nie „wyjaśnił” tajemnicy, ale pozwolił nam **zobaczyć cierpienie i czułość** w jednej, niewiarygodnie delikatnej linii światła.

## 1. Wędrówka płótna: od Blachern do Turynu

Historia Całunu, jak przypomina James Charles Wall w książce „Relikwie ukrzyżowania”, ma w sobie zarówno nitkę faktów, jak i pętelki niewiedzy. Przez pierwsze wieki to milczenie. Dopiero pielgrzymi XI–XII stulecia wspominają w Konstantynopolu „płótno pogrzebowe” ukazywane wiernym w piątki w kościele Matki Bożej w Blachern. Potem wojenne zawieruchy, zmiany właścicieli, spory i powroty. W XIV wieku Całun pojawia się w rękach rodu de Charny, w XVI wieku książąt Sabaudii; przeżywa pożar w Chambéry, zszywany przez klaryski z troskliwością, która sama w sobie jest

modlitwą. Od 1578 roku jest w Turynie. Płótno złożone, strzeżone, pokazywane nie po to, by zaspokoić ciekawość, ale by **przypomnieć miłość większą od śmierci**.

## 2. Rok 1898: kiedy „negatyw” stał się świadkiem

Pozwolenie króla Umberto I na sfotografowanie Całunu okazało się przełomem. Negatyw fotograficzny odsłonił to, czego nie chwytało gołe oko: **portret Złożonego do Grobu** mężczyzny, zranionego, ubiczowanego, przebitego włócznią. Nie była to sensacja dla sensacji, ale ciche potwierdzenie ewangelicznej drogi: pośpiech dnia Przygotowania, wonności przyniesione przez kobiety dopiero „po szabacie”, objęcie płótnem ciała, które nie zostało już obmyte i namaszczone jak zwykle. Między liturgią a życiem widać tu tę samą logikę: **Bóg ocala znaczenie nawet w pośpiechu**.

I gdy technika lubi mieć ostatnie słowo, to tu jest niespodzianka. **Obiektyw stał się pokornym ministrantem tajemnicy**. Uchwycił, co mógł i grzecznie cofnął się o krok.



### 3. Co mówi płótno

Wall opisuje Całun nie jak obraz, lecz jak **odbicie**. Nie farba, lecz ślad. Długa tkanina ułożona pod ciałem i zawinięta ponad głową tworzy „podwójny kadr”: przód i tył, głowami do siebie. Ślady ran są spójne z drogą krzyża: biczowanie pleców i ud, rana włóczni z prawej strony klatki piersiowej, przebicie w nadgarstku (anatomicznie wiarygodne, wbrew utartym schematom). Widać nawet ślad po belce krzyża na barku. Ciężar, który nie jest metaforą.

Wall wskazuje też hipotezę powstania odbicia: ciało, skatowane i spocone, okryte płótnem przesiąkniętym wonnościami mirry i aloesu; krótki czas styku z tkaniną; brak oznak rozkładu. Nie rozstrzygamy tu „jak”. Wierzę i proponuję tę wiarę do namysłu, że **czasem właściwym czasownikiem jest nie „udowodnić”, lecz „uszanować”**.

### 4. Po co nam relikwie ukrzyżowania?

Relikwie nie są po to, by zastąpić Ewangelię, tylko by **podprowadzić** pod Słowo. Nie karmią ciekawości; karmią pamięć serca. Pytają: Czy rozpoznajesz Miłość, gdy nie błyszczy? Czy potrafisz uklęknąć przed śladem, który nie należy do ciebie? Całun niczego nam nie narzuca. On **zaprasza**: popatrz spokojnie, nazwij swoje wątpliwości, potem spójrz jeszcze raz, może tym razem przez „negatyw” własnych uprzedzeń.

I jeszcze jedno: Całun przypomina, że **Bóg upodobał sobie konkret**. Pot, krew, ciężar drewna, pospiech przed szabatem. To wszystko przenika naszą codzienność: szpitalny korytarz, telefon od kogoś w żałobie, ciszę po zamknięciu bramy cmentarza. Relikwie ukrzyżowania nie uciekają od świata; **one nas do świata odsyłają** łagodniejszych, prawdziwszych, bardziej skupionych.

### 5. Epilog: światło, które nie gaśnie

Czy Całun „dowodzi”? Być może nie tego oczekujemy. Ale **świadczy**. O cierpieniu, które nie było teatrem. O śmierci, która nie miała ostatniego słowa. O miłości, która zostawia ślad nie po to, by nas spętać, tylko by **wyprowadzić z lęku**. I jeśli fotografia z 1898 roku nauczyła nas czegośkolwiek, to tego, że **czasem najlepiej widzi się w odwróceniu**, gdy to, co ciemne, nagle świeci, a to, co jasne, prosi o cień.

Niech więc „Relikwie ukrzyżowania” będą dla nas nie eksponatem, lecz **zwierciadłem**. Bo gdy stajemy przed odbiciem Złożonego do Grobu, zaczyna w nas cicho pracować ziarno poranka: „Dlaczego szukacie żyjącego wśród umarłych?”.

I może właśnie wtedy, bez wielkich słów, rodzi się najprostsza modlitwa: **„Jezu, pamiętam”**.





# Kaszkieta

## Czapka z charakterem

### Od przymusu po ikonę stylu

Wiktoria Osmańska

Historia, która zaczyna się od prawa, a kończy na wybiegu mody.

Każdy element garderoby ma swoją opowieść. Jedne powstały z potrzeby, inne z kaprysu, jeszcze inne – z przypadku. Kaszkieta, niepozorna czapka z daszkiem, łączy w sobie wszystkie te początki. Bo któż by przypuszczał, że jego historia zaczęła się... od nakazu wydanego przez Parlament Anglii w XVI wieku?



# Kaszkieta: czapka z charakterem – od przymusu po ikonę stylu

## Zacząło się od przymusu

W 1571 roku, w północnej Anglii, władze postanowiły ożywić rodzimy przemysł wełniany. W tym celu nakazały wszystkim mężczyznom – z wyjątkiem szlachty – noszenie wełnianych czapek w niedziele i święta. Kto zlekceważył nakaz, musiał zapłacić grzywnę.

Prawo szybko uchylono, ale zwyczaj pozostał. Prosty, wełniany „flat cap” stał się symbolem codzienności brytyjskiego mężczyzny: robotnika, rzemieślnika, a później – także dżentelmena w tweedowej marynarce.

Tak oto przepis z księgi ustaw przemienił się w początek wielowiekowej mody. Z Wysp Brytyjskich kaszkiet ruszył w świat – do Włoch, Stanów Zjednoczonych i, oczywiście, do Polski. W XVIII wieku polscy żołnierze nosili czarne kaszkiety z filcu i z kitą, a w czasach zaborów czapka ta pojawiała się również w armii pruskiej.

## Z robotnika w dżentelmena

Kaszkieta szybko przestał być znakiem klasy społecznej. W XIX i XX wieku nosili go wszyscy – od chłopca roznoszącego gazety po właściciela ziemskiego. Był praktyczny, wygodny i, co najważniejsze, pasował każdemu.

W XX wieku stał się nieodłącznym elementem mody ulicznej. Lata 90. ubiegłego wieku to prawdziwa „złota era” kaszkieta. Nosili go David Beckham, Brad Pitt, a także kobiety – Jennifer Lopez, Britney Spears czy Christina Aguilera. Dla jednych był manifestem stylu vintage, dla innych – subtelnym symbolem buntu.

Z czasem kaszkiet przybrał różne formy: klasyczny *Derby*, elegancki *Ivy Cap* czy szerszy, filmowy *Shelby*, znany z serialu *Peaky Blinders*. I tu właśnie pojawia się anegdota – ponoć w dawnych gangach Birmingham członkowie wszywali w daszek brzytwy, by w razie bójki mieć „argument”. Dziś na szczęście nikt już tego nie praktykuje, ale legenda pozostała – jak przyprawa, która dodaje historii smaku.







### **Prostota, która nie przemija**

Współczesny kaszkiet to połączenie tradycji i wygody. Ma główkę z ośmiu kwater, potnik, krótki daszek – i wciąż tę samą elegancję, którą cenią ludzie o wyczuciu stylu. Kiedyś szyty z grubej wełny i tweedu, dziś powstaje z lekkiego lnu czy bawełny, co czyni go idealnym także na lato.

Pasuje niemal do wszystkiego: do płaszcza, kurtki, garnituru w kratę, a nawet do sukienki. Jego siła tkwi w prostocie i uniwersalności – nie wymusza stylu, lecz podkreśla osobowość.

W sklepach znajdziemy dziś całą gamę modeli – od klasycznych kaszkieców Stetsona i Barboura po nowoczesne wersje Fjällrävena. Każdy z nich jest jak inny ton tej samej melodii: trochę brytyjskiej tradycji, odrobina nonszalanckiej, szczypta odwagi.

### **Czapka, która ma duszę**

Kaszkieta to nie tylko modny dodatek. To opowieść o przemianie: z obowiązku w wybór, z przymusu w styl, z przedmiotu codziennego użytku w symbol charakteru.

Nosząc go, człowiek nie tylko osłania głowę – ale jakby mówi: „znam swoją historię i nie boję się jej pokazać”.

I choć przez wieki zmieniały się tkaniny, fasony i konteksty, jedno pozostało niezmiennie: kaszkiet wciąż jest czapką ludzi z charakterem.

### **Postscriptum**

Jeśli więc masz w szafie stary kaszkiet po dziadku – nie chowaj go głęboko. Włóż go na spacer, do płaszcza, do marynarki. Nie dlatego, że to modne.

Dlatego, że w każdym kaszkiecie jest coś więcej niż szew, daszek i materiał. Jest historia – długa, szorstka, czasem romantyczna – i zawsze z klasą.



# Zagrożenia dla rozwoju dzieci we współczesnej rzeczywistości

Bożena Ćwikła – pediatra, specjalista psychiatra dzieci i młodzieży

Świat pędzi do przodu i to coraz szybciej. Tak naprawdę dopiero XIX wiek obudził umysły ludzkie chyba najbardziej i umożliwił realizację wielu pomysłów, oczywiście z korzyścią dla całej ludzkości. Jednakże koniec XX wieku przyniósł wręcz rewolucyjne odkrycia. Na każdym etapie historii nie jest ten postęp obojętny dla dzieci małych i dużych. Oczywiście byłoby najlepiej, aby zawsze służył im i pomagał rozwijać się, ale dobrze wiemy, że plusy nie zawsze zwyciężają minusy.

Jeszcze w XIX wieku i na początku XX wieku dziecko było świetnym, można powiedzieć, „narzędziem” do pracy nierzadko ponad jego możliwości fizyczne. Na szczęście wiek XX przywrócił dzieciom ich godność i właściwe miejsce w społeczeństwie. Oczywiście pomijam kraje tak zwane Trzeciego Świata, gdzie do dzisiaj priorytetem jest chociażby przeżycie. Większość stanowią społeczeństwa wysoko rozwijające się i to one decydują, jak ten świat powinien wyglądać.

Zaczęto mówić o wychowaniu dziecka i dbaniu o jego dobro, co nie jest łatwe, dobrze to wszyscy wiemy. W tej trudnej drodze jednakże niejednokrotnie popełniamy błędy w tak zwanej dobrej wierze. Narzędzia, które mają służyć do rozwoju młodego organizmu, zaczynają w tym rozwoju przeszkadzać.

Internet i najnowsze zdobycze technologii cyfrowej, bo do nich chciałabym się odnieść, są w tym momencie chyba największym wyzwaniem dla młodego pokolenia. To dobrze, że możemy korzystać z niego w każdej chwili jak kiedyś z encyklopedii, że możemy tak łatwo z całym światem komunikować się, ale pamiętajmy, w którym momencie dziecko może w tym uczestniczyć. Niebieskie światło, jakie emitują wszystkie ekrany, nie jest obojętne dla człowieka, a dla rozwijającego się dziecka nawet szkodliwe i może ten rozwój zahamować.





## Zagrożenia dla rozwoju dzieci we współczesnej rzeczywistości

Dlatego do 3. roku życia! dzieci nie powinny mieć kontaktu z ekranem w żadnej postaci, ponieważ niedojrzały mózg zupełnie inaczej odbiera bodźce z niego płynące.

Rozwój emocjonalny dzieci i młodzieży to bardzo złożony i długi proces, więc nie przyspieszajmy go, pozwalając im korzystać z portali społecznościowych. Do 12. roku życia dzieci nie powinny mieć dostępu do portali społecznościowych!

Nadmierne używanie telefonu, tabletu, komputera, telewizora, czyli w ogóle ekranu z niebieskim światłem, hamuje rozwój prawidłowych więzi rodzinnych, społecznych. Świat wirtualny, cyberprzestrzeń to świat bez prawdziwych emocji. Dzieci i młodzież tracą umiejętność nawiązywania relacji w realu, stają się one wręcz dla nich niepotrzebne, uzależniają się. Gry często są agresywne, uczą złych zachowań. Dzieci nie potrafią tak jak dorośli rozdzielać świata realnego od cyberprzestrzeni i łatwo to chłoną. Coraz trudniej jest z tym walczyć.



Siadajmy wspólnie do stołu do posiłków tak często, jak to jest możliwe, to bardzo jednoczy rodzinę, rozwija dzieci, uczy prawidłowych społecznych zachowań. Nie używajmy przy jedzeniu telefonów, odłóżmy je, rozmawiajmy. Nie próbujmy dzieci niejadków zachęcać do jedzenia oglądaniem bajek podczas posiłku. To utrwała złe nawyki, a apetytu nie poprawia. Nie pytajmy szkolnych dzieci tylko o to, czy odczytały lekcje i co było w szkole, ale starajmy się rozmawiać o wszystkim, co oczywiście jest odpowiednie dla wieku dziecka. Nie pozwólmy, aby telewizor był włączony także wtedy, gdy nikt go nie ogląda. Nie próbujmy usypiać dzieci bajkami, bo niebieskie światło daje sygnał „obudź się”, a nie „idź spać”. Czytajmy dzieciom bajki przed snem, one to bardzo lubią, przytulajmy je tyle, ile potrzebują.





## Zagrożenia dla rozwoju dzieci we współczesnej rzeczywistości

Przed snem do 2 godzin każdy z nas powinien mieć przerwę w dostępie do telefonu, telewizora, tabletu czy komputera. Być może dlatego tak wiele osób ma problemy ze snem. Dzieci są rozdrażnione, źle zachowują się, zamykają w swoim świecie i w wirtualnym świecie, nie potrzebują kontaktu z rówieśnikami, a jeśli już, to tylko online. Znikają emocje, zwłaszcza te pożądane: radość, empatia, poczucie wspólnoty. Dzieci zaniedbują swoje obowiązki, nie chcą chodzić do szkoły, mówią, że nie jest fajna.

Nie produkujemy społeczeństwa autystycznego. „Autos” po grecku znaczy sam, a przecież nie chcemy być sami.



Nie zapominajmy, jaka jest strategia właścicieli portali społecznościowych. Światem mimo wszystko rządzi jednak pieniądź. Oglądanie reklam przez dzieci nie rozwija, a komu innemu przynosi korzyści. Jeśli rodzic nadmiernie i przy dziecku korzysta z technologii cyfrowych, to dziecko, dla którego rodzic jest wzorem, będzie robić to samo. Nawet jeśli nas stać na wszystko, nie kupujmy dzieciom wszystkiego w nadmiarze. Najcenniejsza jest nasza obecność, bycie razem, dzielenie się pozytywnymi emocjami, wyjaśnianie nawet najtrudniejszych pytań. Nie pozwólmy, aby dzieci szukały odpowiedzi na swoje pytania w Internecie. Nie zapominajmy, że tam mogą znaleźć wielu „życzliwych”, którzy chcą je wykorzystać w różny, zwykle niebezpieczny sposób.

Mam nadzieję, że te uwagi pomogą wielu rodzicom. Oczywiście są może bardzo ogólne, ale niezwykle ważne i na pewno nie wyczerpują problemów w tym zakresie.



# Międzynarodowy Konkurs Chopinowski

## 100 lat z historią Starych Powązek w tle

Grażyna Kuźma



Zapewne wielu czytelników zapyta, jaki związek z Konkursem Chopinowskim ma nasz wspaniały cmentarz Stare Powązki – wbrew pozorom bardzo dużo... Czy wiecie, drodzy czytelnicy, że na naszym cmentarzu spoczywa prof. Jerzy Żurawlew, pomysłodawca idei Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego i organizator I Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego dla Pianistów, który się odbył w 1927 roku? Co więcej, na naszym cmentarzu spoczywają osoby najważniejsze w życiu wielkiego kompozytora i pianisty, dla pamięci którego powstał Międzynarodowy Konkurs pianistyczny, a także osoby, które troszczyły się o Jego pamięć i sławę po śmierci.

### Kilka słów o Fryderyku ...

Fryderyk Franciszek Chopin urodził się 1 marca 1810 roku we wsi Żelazowa Wola pod Warszawą. Był drugim dzieckiem i jedynym synem Mikołaja (Nicolasa) Chopina, francuskiego emigranta, który został nauczycielem w Warszawie, oraz Justyny Krzyżanowskiej, polskiej szlachcianki. Wychowany w kulturalnym i kochającym domu, młody Fryderyk dorastał u boku trzech sióstr: Ludwiki, Izabeli i Emilii. Od najmłodszych lat wykazywał niezwykle talent muzyczny, był „cudownym dzieckiem fortepianu”. Już w wieku ośmiu lat występował publicznie i komponował własne utwory, będąc jeszcze dzieckiem. Otrzymał doskonałe wykształcenie – w tym studia u renomowanych nauczycieli muzycznych – i szybko zdobył reputację cudownego dziecka w arystokratycznych salonach Warszawy.

W 1829 roku, mając zaledwie dziewiętnaście lat, pojechał do Wiednia i olśnił publiczność swoim występem fortepianowym. Sukces tych koncertów za granicą zapowiadał międzynarodową



kariere, która miała nadejść. Do 1830 roku Chopin ukończył formalne studia w Warszawie i osiągnął znaczną sławę w kraju. Jesienią tego roku, za błogosławieństwem rodziców, dwudziestoletni kompozytor opuścił Warszawę, aby szukać szczęścia za granicą. Wyjechał w listopadzie 1830 roku – zaledwie kilka tygodni przed wybuchem Powstania Listopadowego w Polsce – nie zdając sobie sprawy, że to pożegnanie z ojczyzną stanie się trwałe i już nigdy tutaj nie wróci.



## Rodzice Fryderyka Chopina

### Czy wiecie, że rodzice Fryderyka Chopina spoczywają na Starych Powązkach?

Fryderyk dorastał w rodzinie o polsko-francuskich korzeniach. Jego ojciec Mikołaj (Nicolas) Chopin pochodził z Francji, a matka Tekla Justyna z Krzyżanowskich Chopin była Polką. Fryderyk był jedynym synem i drugim z czworga dzieci Chopinów – miał trzy siostry: najstarszą Ludwikę, a także dwie młodsze, Justynę Izabelę oraz Emilię (zmarłą w wieku 14 lat, prawdopodobnie na gruźlicę). Rodzina Chopina odznaczała się patriotyzmem i kultywowała tradycje muzyczne, to bez wątpienia wywarło istotny wpływ na rozwój młodego kompozytora.

**Tata Fryderyka** – Mikołaj Chopin – co o nim wiemy? Urodził się w Lotaryngii we Francji. W wieku 16 lat przybył do Polski i z czasem całkowicie się tutaj zadomowił, możemy śmiało pokusić się o stwierdzenie, że stał się Polakiem z wyboru. Początkowo pracował jako guwerner w majątku Żelazowa Wola należącym do hrabiny Ludwiki Skarbek. Tam poznał Teklę Justynę Krzyżanowską, która była krewną Skarbków pełniącą funkcję opiekunki dworu. Mikołaj poślubił Teklę Justynę 2 czerwca 1806 roku. W październiku 1810 roku, pół roku po narodzinach Fryderyka, cała rodzina Chopinów przeprowadziła się do Warszawy, ponieważ Mikołaj otrzymał posadę nauczyciela języka francuskiego w Liceum Warszawskim mieszczącym się w Pałacu Saskim – przypomnijmy tutaj na marginesie, że chodzi o ten pałac, który został celowo zburzony przez Niemców w 1945r. i którego część znamy współcześnie jako Grób Nieznanego Żołnierza. Pałac Saski ma zostać odbudowany – ciekawe, czy wraz z Pałacem Saskim powróci także Liceum Warszawskie, w którym wykładał tata Fryderyka. Mikołaj Chopin pracował jako nauczyciel do 1833 roku, zyskując opinię cenionego pedagoga. Wiemy, że był gorliwym patriotą, z oddaniem wychowywał dzieci w duchu polskim – mimo francuskiego pochodzenia. W domu Chopinów

kładziono nacisk na posługiwanie się językiem polskim. Zmarł w 1844 roku w Warszawie w wieku 73 lat i został pochowany na naszym cmentarzu – na Starych Powązkach.





# Międzynarodowy Konkurs Chopinowski

## 100 lat z historią Starych Powązek w tle

**Mama Fryderyka** – Tekla Justyna Chopin z domu Krzyżanowska, wywodziła się ze zubożałej szlachty kujawskiej. W młodości pracowała jako guwernantka, czyli nauczycielka domowa i opiekunka do dzieci w dworach ziemiańskich. Była przy tym osobą utalentowaną muzycznie – grała na fortepianie i została pierwszą nauczycielką muzyki swojego syna Fryderyka. Po przeprowadzce rodziny do Warszawy Justyna Chopin prowadziła w domu pensjonat dla chłopców uczących się w Liceum Warszawskim, wspierając tym samym działalność męża-nauczyciela. Stworzyła ciepłe, kulturalne środowisko domowe, w którym rozwijały się talenty dzieci, organizowała różne spotkania, m.in. rodzinne muzykowanie. Tekla Justyna Chopin zmarła 1 października 1861 roku w Warszawie w wieku 79 lat i została pochowana obok męża na naszym cmentarzu – na Starych Powązkach.



## Siostry Fryderyka Chopina

**Fryderyk Chopin miał trzy siostry, z którymi łączyły go bardzo bliskie więzi. Najstarszą z rodzeństwa była Ludwika, natomiast dwie młodsze siostry Fryderyka to Justyna Izabela oraz Emilia.**

### Ludwika Jędrzejewicz (z domu Chopin)

Ludwika Chopin była najstarszym dzieckiem Mikołaja i Justyny oraz jedyną starszą siostrą Fryderyka. Od młodych lat przejawiała talent artystyczny, interesowała się literaturą i muzyką. Uczyla małego Fryderyka języka polskiego i francuskiego, a także podobnie jak on pobierała lekcje gry na fortepianie u Wojciecha Żywnego. Brat i siostra wspólnie muzykowali, m.in. grywali na cztery ręce na domowym fortepianie. W listopadzie 1832 roku Ludwika poślubiła Józefa Kalasantego Jędrzejewicza. Mimo wstąpienia w związek małżeński nadal pozostawała w bliskim kontakcie z bratem. Fryderyk i Ludwika prowadzili ze sobą intensywną korespondencję. Ludwika wspierała brata na odległość podczas jego emigracji. Gdy stan zdrowia Fryderyka gwałtownie się pogorszył, na jego prośbę Ludwika przybyła latem 1849 roku do Paryża

razem z mężem i córką, aby zaopiekować się chorym bratem. Była przy nim do końca, do jego śmierci 17 października 1849 roku – podobno to właśnie Ludwika trzymała rękę Fryderyka w ostatnich chwilach jego ziemskiego życia. Spełniła też jego ostatnią wolę – przewiozła serce kompozytora z Paryża do Warszawy. O szczegółach tego brawurowego przedsięwzięcia dowiedzie się poniżej, bo historia serca Chopina także o dziwo łączy się z historią naszego cmentarza. Ludwika zmarła 29 października 1855 roku i została pochowana w grobowcu rodziny Jędrzejewiczów na Starych Powązkach.

### Justyna Izabela Barcińska (z domu Chopin) – młodsza siostra Fryderyka

Justyna Izabela Chopin, nazywana w domu Izabelą, była o rok młodsza od Fryderyka, urodziła się w 1811 roku. W 1832 roku w wieku 21



lat wyszła za mąż i przyjęła nazwisko Barcińska. Mieszkała przez całe życie w Polsce, będąc świadkiem zarówno sławy brata, jak i bolesnych wydarzeń narodowych powstań XIX wieku: listopadowego i styczniowego oraz ich upadków. Izabela wraz z Ludwiką intensywnie działały społecznie i patriotycznie, obie siostry należały do warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności Dam Polskich, które niosło pomoc rodzinom zubożałym wskutek carskich represji po powstaniach. Wiele polskich rodzin, których bliscy brali udział w powstaniach, było pozbawianych majątku. Rekwirowano całe pałace, domy oraz kamienice, a uczestników powstań rosyjski zaborca zsyłał na Syberię. Siostry Chopin aktywnie podtrzymywały ducha polskości w tych trudnych czasach represji. Izabela zajmowała się także działalnością literacko-edukacyjną – wspólnie z Ludwiką napisała dwutomowy poradnik dla rzemieślników pt. „Pan Wojciech”. Justyna Izabela przeżyła Fryderyka o ponad trzy dekady; zmarła 3 czerwca 1881 roku, mając 70 lat i została pochowana w grobowcu rodziny Barcińskich na Starych Powązkach.

#### **Emilia Chopin – najmłodsza siostra Fryderyka**

Emilia Chopin (1812–1827) była najmłodszą z siostr i ukochaną beniaminką rodziny. Urodziła się 9 listopada 1812 roku w mieszkaniu Chopinów w Pałacu Saskim. Fryderyk był od niej starszy zaledwie o dwa lata. Fryderyk i Emilia spędzali razem wiele czasu w dzieciństwie, dzieląc zabawę i domową edukację. Emilia uchodziła za dziecko uzdolnione literacko i o żywej wyobraźni. Niestety, od młodości miała problemy zdrowotne. W wieku 14 lat zmarła (najprawdopodobniej na gruźlicę płuc), co było ogromnym ciosem dla całej rodziny Chopinów. Jej przedwczesna śmierć 10 kwietnia 1827 roku głęboko dotknęła nastoletniego Fryderyka, a także, co oczywiste, jego rodziców – była to pierwsza tragedia, jaka spotkała najbliższych kompozytora. Emilia także jest pochowana na Starych Powązkach w grobowcu rodzinnym rodziny Jędrzejewiczów.





## Międzynarodowy Konkurs Chopinowski

### 100 lat z historią Starych Powązek w tle



#### **Stare Powązki – miejsce spoczynku rodziny Fryderyka Chopina, ale serce wielkiego kompozytora spoczywa w innym miejscu**

Cała rodzina Fryderyka Chopina, a więc jego rodzice – Mikołaj Chopin i Justyna (Tekla) Chopin – oraz wszystkie trzy siostry kompozytora, czyli Ludwika Jędrzejewiczowa, Izabela Barcińska i najmłodsza Emilia Chopin, pochowani są na naszych Starych Powązkach. Natomiast sam Fryderyk Chopin, który zmarł na emigracji w Paryżu, spoczywa na cmentarzu Père-Lachaise we Francji.

Powróćmy do porzuconego przy okazji opowiadania o Ludwice, wątku losów serca Fryderyka Chopina, które zgodnie z ostatnią wolą kompozytora, zostało przewiezione do Polski i zamurowane w filarze Kościoła Świętego Krzyża w Warszawie, gdzie spoczywa do dziś jako symboliczna część jego obecności w ojczyźnie. Jak do tego doszło...

Umierający Chopin poprosił czuwającą przy nim siostrę Ludwikę, by po śmierci otwarto jego ciało i wyjęte z niego serce przewieziono do Polski, do Warszawy. Wypełniając wolę swojego ukochanego brata, Ludwika w tajemnicy przywiozła słój z sercem Fryderyka, zatopionym w alkoholu, do Warszawy.

W Warszawie Ludwika podobno początkowo przechowywała serce brata przez jakiś czas we własnym mieszkaniu. Potem przekazała pojemnik z sercem księżom misjonarzom w kościele Świętego Krzyża – ten Kościół był bowiem kościołem parafialnym rodziny Chopinów. Najpierw serce Fryderyka Chopina było przechowywane w tzw. dolnym kościele Kościoła Św. Krzyża, a w roku 1880 zostało umieszczone w lewym filarze nawy głównej świątyni.

Na umieszczenie serca Chopina w filarze Kościoła Świętego Krzyża zezwolił Ksiądz Biskup Jan Dekert. Mało kto wie, że grób Księdza Biskupa Jana Dekerta ze wspinałym nagrobkiem w postaci popiersia Księdza Biskupa znajduje się w starej części alei, położonej wzdłuż katakumb Starych Powązek.

W czasie Powstania Warszawskiego urnę z sercem ewakuowano do podwarszawskiego Milanówka. Do kościoła Św. Krzyża urna z sercem powróciła po wojnie, a dokładnie 17 października 1945 r., w 96. rocznicę śmierci Fryderyka Chopina. Wówczas odbyło się uroczyste wmurowanie urny z sercem w filar kościoła, gdzie pozostaje do dziś.



# Zagadka serca Fryderyka Chopina

Ks. Jacek Laskowski



Wędrowało przez granice i wojny, ukrywane w fałdach sukni, w słoju z koniakiem, wśród ruin i lęków epoki. Serce Fryderyka Chopina – najcenniejsza z polskich relikwii – przemierzyło Europę, by po latach odnaleźć schronienie w murach kościoła Świętego Krzyża. Ale czy ta długa podróż, pełna tajemnic, naprawdę już się skończyła?





# Zagadka serca Fryderyka Chopina

Być może to najbardziej znane serce w historii polskiej kultury. Niewielki kryształowy słój, od środka wyłożony aksamitem, wypełniony alkoholem – koniakiem lub spirytusem. W nim – serce człowieka, który nigdy nie wrócił do ojczyzny, ale który całym swoim życiem i muzyką o niej snuł. Fryderyk Chopin.

## I. Przesyłka, której nie można było nadać

Październik 1849 roku, Paryż. Umierający Fryderyk zwraca się do swojej siostry Ludwika Jędrzejewiczowej:

„Wiem, iż wam Paskiewicz nie pozwoli przewieźć mnie do Warszawy, więc zabierzcie przynajmniej moje serce”.

To nie był poetycki gest. To był testament. Konkretna prośba człowieka, który wiedział, że jego ciało zostanie w obcej ziemi. Że jedynie częśćka niego może jeszcze wrócić tam, gdzie bije jego duch.

I tak zaczyna się ta opowieść – bardziej przypominająca śledztwo niż biografię.

Zmarł 17 października 1849 roku. W paryskim kościele Madeleine zabrzmiało Requiem Mozarta, a w sercach przyjaciół echo słów pożegnania: „Choć opuszczasz nasze kraje, lecz serce twoje pośród nas zostaje...”.

Nie wiedzieli, jak bardzo prorocze będą te słowa.

## II. Kobieta z kontrabandą

1850 rok. Granica. Kobieta w czerni, Ludwika Jędrzejewiczowa, trzyma dłonie nerwowo splecione na brzuchu. W fałdach jej sukni ukryty jest słój z sercem brata, zatopionym w alkoholu.

Nie wie, czy uda się przejechać. Bo przewozi nie tyle organ, ile symbol. Zakazany towar: polskość. Celnicy nie domyślają się niczego. A ona – z mieszaniną ulgi i bólu – wjeżdża do Warszawy. Serce spoczywa przez jakiś czas w jej mieszkaniu na Podwalu. Potem trafia do księży misjonarzy w kościele Świętego Krzyża.

Ale i tam nie od razu znajdzie spokój.

## III. Relikwia, której nikt nie chciał

Księża przyjmują dar z rezerwą. Chopin? Ten od George Sand? Od tej francuskiej skandalistki?

Warszawa plotkuje, Kościół się waha. I tak relikwia wędruje do... rupieciarni. Do piwnic, obok zapomnianych świeczników i zakurzonych mszałów.

Tam przetrwa. Może właśnie dlatego.

Bo gdy wybuchnie powstanie styczniowe, Rosjanie przeszukają świątynie, a to, co było ukryte – ocaleje.

W 1880 roku serce zostaje wmurowane w filar kościoła. Na tablicy napis:

„Fryderykowi Chopinowi – rodacy”

i cytat z Ewangelii wg św. Mateusza:

„Gdzie skarb twój, tam serce twoje”.

Nikt nie mógł dobrać lepszych słów.

## IV. Urowadzenie i powrót

Warszawa, 1944. Miasto w płomieniach.

W świątyni przy Krakowskim Przedmieściu trwa dramatyczna operacja: ewakuacja serca Chopina.

Kto to zrobił – do dziś nie wiadomo. Jedne źródła mówią o żołnierzach Armii Krajowej, inne o Niemcach. Faktem jest, że generał SS Erich von dem Bach-Zelewski przekazał relikwię arcybiskupowi Antoniemu Szlagowskiemu, a ten wywiózł ją do Milanówka.

Rok później, 17 października 1945, dokładnie w 96. rocznicę śmierci kompozytora, serce wraca do Warszawy.

Uroczystość, tłumy ludzi, sztandary. A jednak – ironia historii – także propaganda. Komunistyczne władze próbują ogrzać się przy blasku Chopina.

Ale serce pozostało nie dla nich.

Zostało dla nas.



### V. Sekret w szkle

Noc z 14 na 15 kwietnia 2014 roku. Kościół Świętego Krzyża.

W ciszy i półmroku grupa naukowców i duchownych dokonuje oględzin.

Kard. Nycz, ks. Berdychowski, prof. Dobosz, dr Szklener. Odkręcają tablicę, wydobywają skrzynkę, potem drugą, ołowianą. Otwierają wieczko.

Wewnątrz – aksamit i kryształowy słój.

Serce. Białe, duże, zachowane znakomicie. Czas nie zdołał go zniszczyć.

Badania wskazują na gruźlicę jako przyczynę śmierci.

Raport zostaje zamknięty w niszy obok relikwii z prośbą do przyszłych pokoleń: otworzyć ponownie za pięćdziesiąt lat.

Zegarek tyka. Rok 2064 czeka.

### VI. Ostatnia zagadka

A jednak – najpiękniejsza zagadka tej historii nie tkwi w chemii alkoholu ani w analizie tkanek.

Tkwi w pytaniu: czy serce Chopina jest naprawdę tam, gdzie chciał?

Bo jego pragnieniem było spocząć na Starych Powązkach, przy rodzicach – Mikołaju i Justynie – i przy siostrze Ludwice. Tam, gdzie dziś bije pamięć Warszawy. Tam, gdzie cisza jest modlitwą, a każdy grób opowiada historię.

Czy zatem filar kościoła Świętego Krzyża to ostateczny przystanek?

A może tylko przesiadka – pośredni adres serca, które wciąż wraca do domu, na Powązki?

### Epilog

Być może Fryderyk Chopin wiedział coś, czego my nie wiemy.

Że serce – prawdziwe serce – nigdy nie daje się zatrzymać.

Ono zawsze wraca tam, gdzie jest jego skarb.

A jego skarb był prosty:

Polska. Rodzina. Muzyka.

I może właśnie dlatego, gdy dziś stajemy przy filarze w kościele Świętego Krzyża, słyszymy coś więcej niż ciszę.

Słyszymy echo nokturnu.

I bicie serca, które – choć przebyło pół Europy – wciąż bije dla Warszawy.



# Stare Powązki i Père-Lachaise

## Dwie dusze pamięci

Ks. Jacek Laskowski

**Są takie miejsca, w których historia nie śpi, lecz czuwa. Ich cisza nie jest martwa, lecz pełna głosów – ludzi, którzy stworzyli kulturę, muzykę, słowo i wiarę. Warszawskie Stare Powązki i paryski Cimetière du Père-Lachaise należą właśnie do tych wyjątkowych przestrzeni. Dzielą ich setki kilometrów, ale łączy wspólny duch – duch pamięci, prestiżu i sztuki.**



Powstały niemal w tym samym czasie – pod koniec XVIII wieku – gdy Europa zaczynała rozumieć, że cmentarz to nie tylko miejsce pochówku, lecz również świadectwo epoki. Zarówno Powązki, jak i Père-Lachaise miały być poza centrum miasta, z dala od zgiełku. Dziś są jego sercem – nie tylko geograficznie, lecz duchowo. W ich alejach spotykają się przeszłość i teraźniejszość, sacrum i codzienność, sztuka i wiara.

Na obu nekropoliach spoczywają najwybitniejsi synowie i córki swoich narodów. W Paryżu – Balzac, Piaf, Proust, Wilde, Morrison. W Warszawie – Moniuszko, Niemen, Osiecka, Kiepura. Jedni i drudzy stworzyli to, co można nazwać duszą miasta – zapisaną w dźwiękach, słowach i kamieniu.

Jest jednak postać, która symbolicznie łączy obie te świątynie pamięci – Fryderyk Chopin.

On sam spoczywa w Paryżu, wśród artystów i poetów. Jego serce – dosłownie i duchowo – wróciło do Warszawy. Na Starych Powązkach natomiast spoczywają jego rodzice – Mikołaj i Justyna – oraz siostry Emilia i Ludwika, jakby jego paryska cisza

miała w polskiej ziemi swój dom rodzinny. W ten sposób między obiema nekropoliąmi biegnie niewidzialny most – most miłości, pamięci i sztuki.

I tu, i tam, każdy nagrobek to dzieło sztuki. Rzeźby, epitafia, kolumny i obeliski tworzą muzeum pod gołym niebem, w którym marmur mówi, a czas nie niszczy, lecz nadaje patynę znaczeniu.

Spacerując ich alejami, trudno nie odnieść wrażenia, że oto człowiek, który tworzył piękno za życia, znalazł je także po śmierci – w formie, która przetrwa wieki.

Warszawa i Paryż – dwa miasta, dwa cmentarze, jedna idea: że pamięć jest najwyższą formą miłości, a sztuka jej nieśmiertelnym językiem.





# Zwyczajność to nie plan B

Ks. Jacek Laskowski



Świat nieustannie powtarza: „Bądź wyjątkowy! Zaskocz!” – jakby wartość człowieka zależała od tego, ile śladów zostawi po sobie w internecie. Tymczasem większość życia to rzeczy ciche, powtarzalne, mało „instagramowe”. I całe szczęście. Bo to właśnie w zwyczajności Bóg najchętniej zostawia swój podpis.

Nie chodzi o bylejakość ani rezygnację z marzeń. Zwyczajność to sztuka bycia wiernym temu, co naprawdę moje – ludziom, którzy są obok, obowiązkom, które już się zaczęły, łasce, którą już otrzymałem.

Psychologowie zauważają, że prawdziwe szczęście nie przychodzi z ekscytacji, lecz z poczucia sensu. Prof. Martin Seligman, twórca psychologii pozytywnej, pisał: „Sens nie wynika z suk-

cesu, lecz z wierności temu, co uznajemy za ważne”. A to właśnie codzienność jest tą wiernością w praktyce – powtarzalną, a jednak twórczą.

.....

***W zwyczajności Bóg najchętniej  
zostawia swój podpis***

.....

Trzydzieści lat ukrytego życia Jezusa w Nazarecie to nie przypis do Ewangelii, ale jej fundament. Tam, między warsztatem Józefa a stołem w domu Maryi, dokonał się cud zwyczajności: Bóg zamieszkał w rytmie pracy, modlitwy i sąsiedztwa. Święty Józef niczego nie napisał, a jednak poprowadził Kościół najcichszą metodą: odpowiedzialnością dnia powszedniego.

Podobnie św. Teresa z Lisieux odkryła, że świętość nie potrzebuje fajerwerków – wystarczy miłość, która mieści się w zmywaniu naczyń i w uśmiechu do kogoś, kogo łatwiej byłoby ominąć. W świecie napięć to właśnie te dyskretne gesty podtrzymują świat: rodzina, która je razem kolację; parafia, która naprawdę się modli; wspólnota, która pamięta o chorych sąsiadach. Stabilność serca rodzi się bez kamer.

.....

***Jeśli szukasz drogi na wprost  
do Boga, idź do kuchni***

.....

Zwyczajność nie jest planem awaryjnym dla tych, którym „nie wyszło”. To przestrzeń działania łaski. Eucharystia – najwyższa tajemnica – przychodzi przecież w formie chleba, najbardziej zwykłego z pokarmów. Sakrament małżeństwa rozlewa się nie tylko w dniu ślubu, ale w tysiącu drobnych gestów: w podaniu herbaty, w powrocie z pracy, w cichym „przepraszam”, które nie potrzebuje efektu. Nawrócenie rzadko przypomina piorun na niebie. Częściej – ciepło kaloryfera po długiej zimie: coś wreszcie zaczyna grzać.



## Zwyczajność to nie plan B

Codziennność ma w sobie teologiczną godność. Kuchnia staje się miejscem modlitwy, gdy proszę o chleb nożem i deską; tramwaj – szkołą pokory, kiedy ustępuję miejsca; a cmentarz – lekcją niepowtarzalności, bo każdy życiorys, choć utkany z podobnych dni, jest jedyny w swoim rodzaju.

Jezuickie magis bywa mylone z ambicją. Tymczasem chodzi nie o „więcej efektu”, ale o „więcej wierności”: mniej oklasków, więcej stałości; mniej fajerwerków, więcej ognia pod garnkiem. To magis św. Józefa – wstać wcześniej, bo anioł przemówił we śnie. To magis Maryi – powiedzieć „fiat”, a potem prac pieluszki Boga.

Jak pisał Viktor Frankl, „Człowiek nie znajduje sensu w wielkości swoich czynów, ale w głębokości swojej odpowiedzi na życie”. Oryginalność nie rodzi się więc z kalkulacji, ale z uczciwego wyboru tego, co zwykle i naprawdę moje.

Chrześcijańska nadzieja nie wyrasta z prognoz, ale z obecności. „Jestem z wami przez wszystkie dni” – także te najbardziej szare. Kiedy świat przyspiesza, Kościół nie musi krzyczeć głośniej –

.....

***Każdy życiorys, choć utkany z podobnych dni, został wyrzeźbiony jedynym w swoim rodzaju pociągnięciem miłości***

.....

wystarczy, że będzie bardziej sobą: modlitwą, sakramentem, troską o słabych. Najtrafniejszą odpowiedzią na czasy bez precedensu pozostaje precedens Nazaretu.

Dlatego nie czekam na idealny nastrój, by się modlić – pięć minut wierności jest więcej warte niż pięćdziesiąt minut nastroju. Nie szukam wielkich postanowień – wybieram jeden konkretny gest miłości dziennie: telefon, wiadomość z podziękowaniem, modlitwę za kogoś, kto mnie drażni. Uporządkuję drobiazg, który mnie goni, bo zwyczajność składa się z małych zwy-



cięstw nad bylejąkością. I mówię jedno stanowcze „nie” presji porównywania się – moja droga nie musi wyglądać jak cudza. Bóg nie tworzy seryjnie.

Może to, co dziś najważniejsze, wydarzy się nie na scenie, ale przy twoim biurku, w rozmowie po Mszy, na klatce schodowej, w pytaniu: „Jak się masz?”, które zadasz naprawdę.

Zwyczajność nie jest planem B dla przeciętnych. To pierwszy wybór świętych.

A jeśli szukasz drogi na wprost do Boga – idź kuchnią. Tam króluje codzienność.

A On od dawna lubi panować właśnie tam, gdzie nikt nie robi zdjęć.



# Zespół, który rośnie razem z nami

Ks. Jacek Laskowski

Każdy numer „DeNews” to nie tylko złożone strony i zdjęcia, ale przede wszystkim ludzie – ci, którzy piszą, myślą, rozmawiają i wlewają w te teksty swoje serce. Dziś możemy już z radością powiedzieć: mamy stałych autorów. Nasze grono redaktorskie to osoby, które nie tylko kochają słowo, ale przede wszystkim czują jego sens.

Pan Tomasz Nasiłowski, pani Grażyna Kuźma, ks. Piotr Hejna, ks. Łukasz Wawro, pani Maria Bryzgalska i pan Karol Gądzik – to właśnie oni tworzą duchową i intelektualną tkankę naszego magazynu. Każdy z nich wnosi coś wyjątkowego: głębię refleksji, uważność na codzienność, humor, poetyckość, pasję. Ich teksty są jak różne instrumenty, które razem tworzą harmonię – niepowtarzalny ton DeNews.

Jestem im ogromnie wdzięczny. Nie tylko za to, że piszą. Ale że współtworzą wspólnotę – tę redakcyjną, parafialną, ludzką. Bo „DeNews” nie jest gazetą do przeczytania i odłożenia. To przestrzeń spotkania.



A skoro o spotkaniu mowa...

Chcemy, by było nas więcej.

By ktoś nowy odważył się napisać pierwszy tekst, podzielić myślą, opowiedzieć historię. Może ktoś z młodszych parafian marzy, by kiedyś pisać zawodowo, a tu znajdzie swoje pierwsze redakcyjne kroki? Może ktoś z dorosłych chciałby po prostu spróbować – nie dla kariery, ale dla radości tworzenia?

Drzwi są otwarte. Zawsze.

Do „DeNews” nie trzeba „wejściówki”. Wystarczy chęć, odrobina odwagi i serce do ludzi.

A gdy już zbudujemy stałe grono redaktorów, zorganizujemy spotkanie – prawdziwe, przy stole, nie przez ekran. Porozmawiamy o tekstach, podzielimy się spostrzeżeniami, zainspirujemy nawzajem. Bo „DeNews” to nie tylko magazyn. To rozmowa, która trwa.

Jeśli więc czujesz, że coś w Tobie drży na myśl o pisaniu – nie czekaj.

Przyjdź. Napisz. Odezwiij się.

Być może to właśnie Twój głos sprawi, że kolejne strony naszego magazynu zabrzmiały jeszcze piękniej.







# Myśli Papieskie

Na podstawie noty doktrynalnej Dykasterii Nauki Wiary:  
**„Una caro. Elogio della monogamia” – „Jedno ciało. Pochwała monogamii”**

Opracowanie: ks. Jacek Laskowski

**„Jedno ciało” – dlaczego Kościół wciąż upiera się przy jednym „tak” na całe życie?**

## **1. Gdy miłość ma odwagę powiedzieć „na zawsze”**

Świat proponuje dziś wiele wersji „miłości”: relacje na próbę, związek „otwarty”, poliamorię, życie „bez zobowiązań”. W tym gąszczu możliwości Kościół robi rzecz, która dla wielu brzmi wręcz prowokacyjnie: przypomina, że miłość na serio to wciąż małżeństwo jednego mężczyzny i jednej kobiety – na zawsze, wiernie, wyłącznie. Temu właśnie poświęcona jest nowa nota doktrynalna Dykasterii Nauki Wiary: „Una caro. Elogio della monogamia” – „Jedno ciało. Pochwała monogamii”.

To nie jest dokument o tym, „czego nie wolno”, ale opowieść o tym, co w małżeństwie naprawdę jest najpiękniejsze.

## **2. Nie kontrakt, lecz przymierze dwóch serc**

Małżeństwo w ujęciu Kościoła to nie tylko podpisany akt i wspólne nazwisko, ale – jak podkreśla dokument – „nierozrwalna jedność” i „wzajemna przynależność”. Chodzi o dar z siebie, który jest pełny tylko wtedy, gdy jest skierowany do jednej osoby. Jeśli próbujemy ten dar podzielić, staje się niepełny, a człowiek łatwo zamienia się w „opcję” w czymś życiu zamiast być kimś jedynym.

Taka wyłączna więź nie jest wymysłem surowej moralności, ale odbiciem miłości samego Boga: jedności Trójcy Świętej i relacji Chrystusa z Kościołem. Małżeństwo to nie układ: „będzie dobrze, dopóki się dogadamy”, ale powołanie do wspólnej drogi – ramię w ramię, w pogodę i niepogodę.

## **3. Między „wolnymi związkami” a wolnością do wierności**

Na tym tle widać wyraźniej, dlaczego Kościół krytycznie ocenia poligamię i poliamorię. Nie chodzi o potępienie konkretnych osób, ale o obronę godności człowieka. Człowiek nie jest stworzony do tego, by być „współdzielonym zasobem” w kilku równoległych relacjach. Nota przypomina, że pełnego daru z siebie nie da się rozdzielić na wiele osób bez zranienia tej jedności, do której jesteśmy stworzeni.

W świecie, który lubi wszystko „sprawdzać” i testować, Ewangelia brzmi jak kontrpropozycja: lepiej jest uczyć się kochać jedną osobę coraz dojrzalej, niż zaczynać wciąż od nowa z kimś kolejnym.



### 4. Małżonek to nie plaster na moje rany

Serce dokumentu można streścić w jednym zdaniu: drugi człowiek nie może być środkiem do zaspokojenia moich niezaspokojonych potrzeb. To znaczy, że w małżeństwie nie chodzi o znalezienie „rozwiązania” na własną samotność, lęk czy głód akceptacji. Jeśli współmałżonek staje się lekarstwem na wszystkie moje rany, bardzo szybko zamieniam go w narzędzie – a nie osobę.

Stąd mocne słowa potępiające przemoc fizyczną i psychiczną, manipulację, kontrolę, duszącą zazdrość. Miłość małżeńska ma w sobie coś z „świętej bojaźni”: boję się nie tego, że druga osoba ode mnie odejdzie, ale tego, że mógłbym zranić jej godność.

### 5. „My dwoje” bez pożerania się nawzajem

Cennym wątkiem dokumentu jest przypomnienie, że zdrowe „my” rodzi się z dojrzałego „ja” i „ty”. Małżonkowie mają prawo do przestrzeni, ciszy, czasu dla siebie, do chwili samotności przed Bogiem. Małżeństwo nie polega na całkowitym stopieniu się w jedną masę, ale na spotkaniu dwóch wolnych osób, które wybierają siebie nawzajem – właśnie jako wolne.

Kościół realistycznie przyznaje: nawet w najlepszym małżeństwie człowiek nie zostanie uwolniony od doświadczenia pewnej samotności. Tę przestrzeń może wypełnić tylko Bóg. Jeśli próbujemy wymusić na współmałżonku, by był dla nas „Bogiem zastępczym”, kończy się to rozczarowaniem i krzywdą. Gdy jednak dystans między małżonkami staje się zbyt częsty, rozwiązaniem nie jest ucieczka, ale szczerza rozmowa o przyczynach tego oddalenia.

### 6. Seks, który mówi prawdę o miłości

Sporo miejsca poświęcono również płciowości i płodności. Seksualność nie jest tu traktowana jako wstydlivy temat ani jako techniczny środek do prokreacji, ale jako „wspaniały dar Boga”, który prowadzi do wzajemnego daru z siebie – ciała i serca. Małżeństwo pozostaje prawdziwym małżeństwem także wtedy, gdy jest bezdzietne; jednocześnie relacja z natury jest otwarta na życie.

Dokument przypomina, że nie każdy akt małżeński musi skutkować poczęciem dziecka, ale cała miłość małżeńska ma charakter płodny: otwiera na drugiego, uczy przyjmować, szanować, troszczyć się. Płodność to nie tylko liczba dzieci, ale też zdolność, by życie i miłość „rozmnażać” w świecie.

### 7. Miłość silniejsza niż scrollowanie

W tle tego wszystkiego stoi pytanie: jak być wiernym w świecie social mediów i kultury natychmiastowości? Gdy ciało staje się towarem, a relacje można „wyklikać”, potrzebna jest – jak podkreśla nota – nowa pedagogia miłości. Wychowanie do małżeństwa monogamicznego nie jest archaizmem, ale wprowadzeniem w wielką sztukę miłości, która nie kończy się na emocjach.

Chodzi o to, by nauczyć młodych, że miłość to nie tylko „chemia”, ale także decyzja, odpowiedzialność i zdolność trwania przy kimś, nawet gdy pojawi się zmęczenie, kryzys, nuda. To nie jest „mniej życia”, to jest głębsza jego wersja.

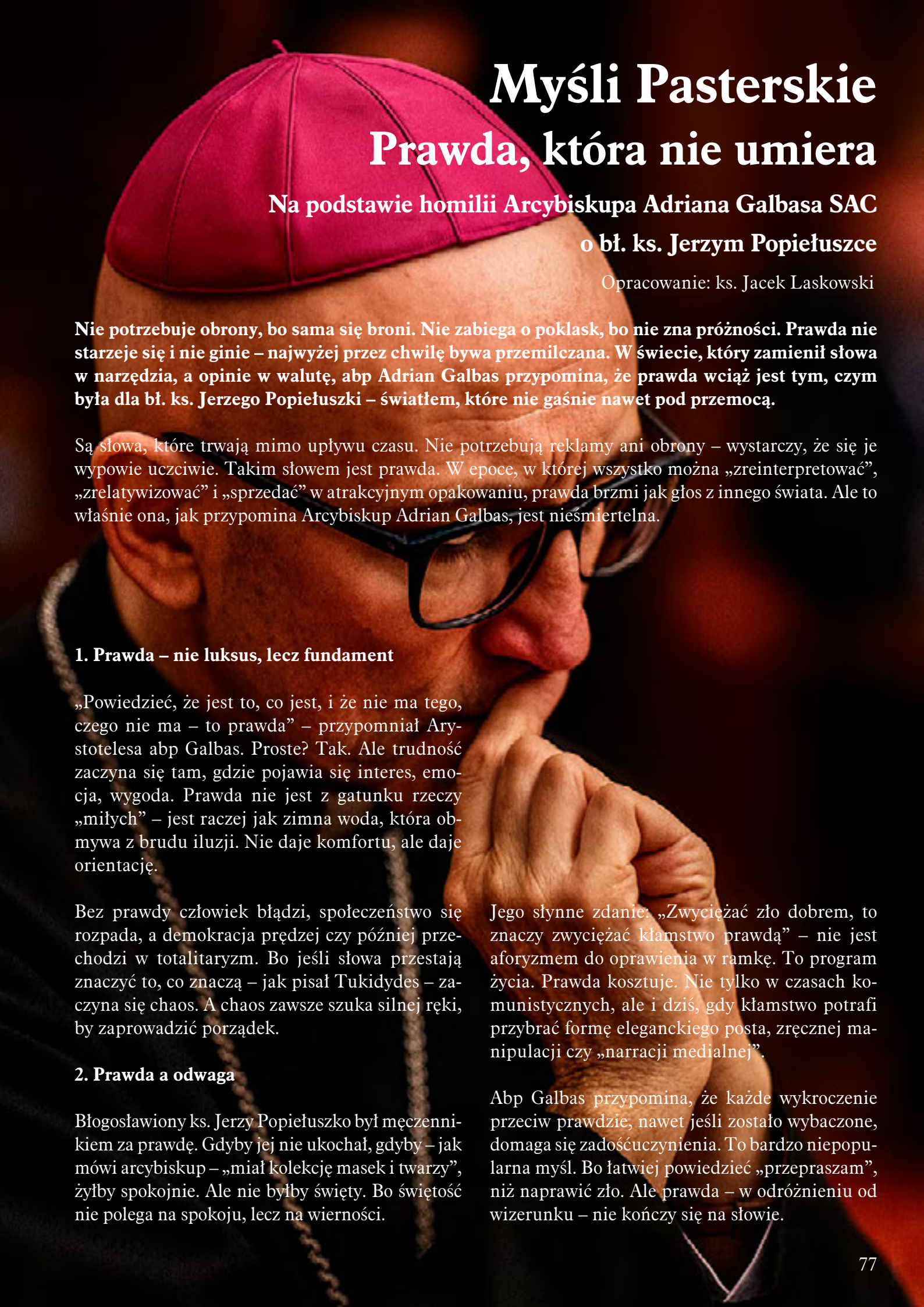
### 8. Dom, który przestaje kręcić się tylko wokół siebie

Na koniec dokument przypomina, że małżeństwo nie jest zamkniętym klubem dwojga szczęśliwych. Miłość małżeńska z natury jest misyjna: chce dobra dzieci, sąsiadów, wspólnoty, ubogich. Papież mówi pięknie, że biedni są „sprawą rodzinną” chrześcijanina, a nie tylko problemem społecznym. Małżeństwo, które otwiera się na innych, przestaje krążyć jedynie wokół własnych trosk i staje się małym domowym Kościołem – miejscem, w którym można doświadczyć troski Boga w bardzo konkretny sposób.

### 9. Monogamia – mniej opcji, więcej miłości

Można by tę naukę streścić tak: monogamia nie jest ograniczeniem, ale przestrzenią, w której miłość ma szansę naprawdę dojrzeć. Kto raz odważy się powiedzieć „tak” aż do końca – i potem to „tak” codziennie odnawia – ten odkrywa, że nie ma większej przygody niż wspólne życie we dwoje z Bogiem pośrodku.





# Myśli Pasterskie

## Prawda, która nie umiera

Na podstawie homilii Arcybiskupa Adriana Galbasa SAC

o bł. ks. Jerzym Popiełuszce

Opracowanie: ks. Jacek Laskowski

Nie potrzebuje obrony, bo sama się broni. Nie zabiega o poklask, bo nie zna próżności. Prawda nie starzeje się i nie ginie – najwyżej przez chwilę bywa przemilczana. W świecie, który zamienił słowa w narzędzia, a opinie w walutę, abp Adrian Galbas przypomina, że prawda wciąż jest tym, czym była dla bł. ks. Jerzego Popiełuszki – światłem, które nie gaśnie nawet pod przemocą.

Są słowa, które trwają mimo upływu czasu. Nie potrzebują reklamy ani obrony – wystarczy, że się je wypowie uczciwie. Takim słowem jest prawda. W epoce, w której wszystko można „zreinterpretować”, „zrelatywizować” i „sprzedać” w atrakcyjnym opakowaniu, prawda brzmi jak głos z innego świata. Ale to właśnie ona, jak przypomina Arcybiskup Adrian Galbas, jest nieśmiertelna.

### 1. Prawda – nie luksus, lecz fundament

„Powiedzieć, że jest to, co jest, i że nie ma tego, czego nie ma – to prawda” – przypominał Aristotelesa abp Galbas. Proste? Tak. Ale trudność zaczyna się tam, gdzie pojawia się interes, emocja, wygoda. Prawda nie jest z gatunku rzeczy „miłych” – jest raczej jak zimna woda, która obmywa z brudu iluzji. Nie daje komfortu, ale daje orientację.

Bez prawdy człowiek błądzi, społeczeństwo się rozpada, a demokracja prędzej czy później przechodzi w totalitaryzm. Bo jeśli słowa przestają znaczyć to, co znaczą – jak pisał Tukidydes – zaczyna się chaos. A chaos zawsze szuka silnej ręki, by zaprowadzić porządek.

### 2. Prawda a odwaga

Błogosławiony ks. Jerzy Popiełuszko był męczennikiem za prawdę. Gdyby jej nie ukochał, gdyby – jak mówi arcybiskup – „miał kolekcję masek i twarzy”, żyłby spokojnie. Ale nie byłby święty. Bo świętość nie polega na spokoju, lecz na wierności.

Jego słynne zdanie: „Zwyciężać zło dobrem, to znaczy zwyciężać kłamstwo prawdą” – nie jest aforyzmem do oprawienia w ramkę. To program życia. Prawda kosztuje. Nie tylko w czasach komunistycznych, ale i dziś, gdy kłamstwo potrafi przybrać formę eleganckiego posta, zręcznej manipulacji czy „narracji medialnej”.

Abp Galbas przypomina, że każde wykroczenie przeciw prawdzie, nawet jeśli zostało wybaczone, domaga się zadośćuczynienia. To bardzo niepopularna myśl. Bo łatwiej powiedzieć „przepraszam”, niż naprawić zło. Ale prawda – w odróżnieniu od wizerunku – nie kończy się na słowie.



## 3. Prawda i miłość

„Prawda zawsze prowadzi do odkrycia dobra” – pisał Benedykt XVI. Dla Arcybiskupa Galbasa to klucz: prawda nie jest narzędziem w walce, nie jest pałą, lecz światłem. To, co jest prawdziwe, nigdy nie stoi w sprzeczności z miłością. Kłamstwo zaś – nawet jeśli „w słusznej sprawie” – zawsze jest zaprzeczeniem Ewangelii.

Dlatego chrześcijanin nie może usprawiedliwiać nienawiści argumentami religijnymi. „Byłby wtedy bluźniercą” – mówi arcybiskup wprost. Nie można bronić wiary, łamiąc jej pierwsze przykazanie: przykazanie miłości.

## 4. Prawda a język

Abp Galbas poświęca wiele miejsca psuciu mowy – procesowi, który zaczyna się od słów, a kończy na rozpadzie wspólnoty. Gdy sens słów zostaje wypaczony, nie można się już porozumieć. Znika „wspólnota języka i wartości”, a społeczeństwo zamienia się w zbiór samotnych monad.

„Wolność mówienia” – przypomina za Norwidem – nie jest tym samym, co „wolność słowa”. Bo można mówić dużo, głośno i nienawistnie, a jednak nie powiedzieć nic prawdziwego. Wolność słowa zakłada odpowiedzialność za sens. Słowo powinno służyć prawdzie, a nie ją przemycać pod postacią propagandy.

## 5. Prawda subiektywna – choroba epoki

„Nie istnieją fakty, istnieją tylko interpretacje” – pisał Nietzsche. Dziś ten cytat wydaje się hasłem reklamowym współczesności. Wszystko jest „moją prawdą”. Moja prawda o Kościele, o człowieku, o historii. W świecie płynnej prawdy człowiek traci grunt pod nogami. Już nie wie, w co wierzyć, bo wszystko „można zrozumieć inaczej”.

Abp Galbas widzi w tym duchowe zagrożenie. Bo jeśli prawda zależy od nastroju, nie ma już miejsca na nawrócenie. Zostaje jedynie autoafirmacja – błyskotliwa, dobrze ubrana, ale pusta.

## 6. Prawda nieśmiertelna

„Prawda jest nieśmiertelna” – to nie hasło kampanii. To diagnoza. Kłamstwo ma krótkie nogi, ale potrafi biegać szybko. Prawda chodzi wolno, ale nie umiera. Taki jest sens męczeństwa ks. Jerzego Popiełuszki: zło może zabić ciało, ale nie potrafi zabić prawdy.

Dlatego Kościół – mówi Arcybiskup – musi być miejscem prymatu prawdy. Wolnym od dwulicowości, pochlebstw, służalczości i brudnych zysków. Bo tylko wtedy może być świadkiem, a nie aktorem.

Prawda wymaga odwagi, cierpliwości i pokory. Ale w zamian daje wolność. „Tylko prawda uczy ni was wolnymi” – przypomina Chrystus.

I może właśnie to jest największym cudem ks. Jerzego – że w świecie, w którym prawdą manipuluje się jak kursami giełdowymi, on nadal uczy nas jednej rzeczy: że prawda, choć cicha i krucha, nie potrzebuje obrońców.

Wystarczy, że ktoś ją powie – i już zaczyna żyć.





# Cichy renesans wiary

Ks. Jacek Laskowski



*Młodzi nie chcą być tylko  
„chrześcijanami z przyzwyczajenia”*

Jeszcze kilka lat temu wydawało się, że młode pokolenie odwraca się od religii. Statystyki nie pozostawiały złudzeń: coraz mniej osób uczestniczyło w nabożeństwach, coraz więcej deklaroowało brak przynależności wyznaniowej. Jednak najnowsze badania pokazują coś zupełnie innego – **wiara nie znikła**, a wśród młodych ludzi widać oznaki duchowego przebudzenia.

Według badania przeprowadzonego przez Amáarach Research na zlecenie Iona Institute w Irlandii Północnej, to właśnie najmłodsza grupa badanych – osoby w wieku od 18 do 24 lat – najczęściej deklaruje **pozytywny stosunek do chrześcijaństwa**. Aż 17 proc.

młodych Irlandczyków wyraża „bardzo pozytywny” stosunek do Kościoła, a tylko 4 proc. mówi o postawie „bardzo negatywnej”. Co ciekawe, w tej grupie znaczną część stanowią mężczyźni – zjawisko, które jeszcze niedawno wydawało się nie do pomyślenia.

Wyniki sondażu pokazują też, że **40 proc. katolików w Irlandii Północnej regularnie uczestniczy w Mszy Świętej**. To dwa razy więcej niż w samej Irlandii, gdzie wskaźniki praktyk religijnych od lat systematycznie spadały. Jeszcze ważniejsze jest jednak to, że młodzi ludzie coraz częściej sami mówią o potrzebie duchowości, modlitwy i poszukiwania sensu.



Badacze podkreślają, że Irlandia Północna nie jest już krajem jednoznacznie podzielonym na katolików i protestantów. Obok tradycyjnych wspólnot rośnie liczba osób określających się jako „bezwyznaniowcy”, co z jednej strony świadczy o przemianie religijnej mapy regionu, a z drugiej – o potrzebie nowego języka, w którym można mówić o wierze. Warto przy tym zauważyć, że podobne zjawiska odnotowuje się również w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych.

Z raportów brytyjskich ośrodków badawczych wynika, że w ciągu ostatnich pięciu lat odsetek młodych ludzi w wieku 18-24 lat, którzy przyznają, że „wierzą w Boga lub w wyższą siłę”, wzrósł z 29 proc. do prawie połowy badanych. W tym samym czasie wzrosła także liczba osób uczestniczących w nabożeństwach – z 4 proc. w 2018 r. do 16 proc. w 2024 r. Wśród młodych mężczyzn ten wskaźnik sięga już nawet 20 proc.

Eksperti zwracają uwagę, że **młodzi nie chcą być tylko „chrześcijanami z przyzwyczajenia”**. Nie interesuje ich religia rozumiana jako obowiązek, ale raczej jako przestrzeń autentyczności, pytań i relacji. Jak zauważa David Quinn z Iona Institute, sukces duszpasterstwa w nowych warunkach nie przyjdzie sam – potrzebna jest rzetelna refleksja, odejście od myślenia o Kościele jako o instytucji schyłkowej i otwarcie na dialog z młodym pokoleniem.

„Pomimo dobrych sondaży nie można popadać w entuzjazm bez pokrycia” – ostrzega Quinn. „Wiara rośnie tam, gdzie Kościół wychodzi z mentalności obronnej i zaczyna naprawdę słuchać młodych. Nie wystarczy mówić o nadziei – trzeba ją dawać w praktyce”.

Badania pokazują, że młodzi częściej niż starsze pokolenia sięgają po treści religijne w Internecie, oglądają filmy i podcasty o tematyce duchowej, a także chętniej uczestniczą w spotkaniach wspólnotowych o luźniejszej, mniej instytucjonalnej formule. Część z nich modli się regularnie, choć nie zawsze utożsamia się z konkretnym wyznaniem. To sygnał, że duchowość wśród mło-

dych przybiera **nowe formy** – bardziej indywidualne, ale wciąż zakorzenione w potrzebie sensu i transcendencji.

Wbrew pesymistycznym prognozom, które jeszcze kilka lat temu przewidywały całkowite odwrócenie młodych od religii, dziś coraz więcej danych wskazuje, że **wiara nie zanika**. Być może nie zawsze przybiera ona postać tradycyjnej re-

.....

### *Zaczyna się cicha*

#### *odnowa duchowa*

.....

ligijności, ale w głębi serca młodego pokolenia rodzi się pragnienie czegoś więcej niż tylko konsumpcyjnego życia.

Można powiedzieć, że zaczyna się **cicha odnowa duchowa** – nie spektakularna, lecz autentyczna. Jeśli Kościoły i wspólnoty potrafią ją dostrzec i mądrze odpowiedzieć na jej potrzeby, to właśnie młode pokolenie może stać się jej największym świadectwem.





# Zmieniamy Powązki

Lera Ferlij

Każdy dzień na Starych Powązkach to swoista burza mózgów – codzienne poszukiwanie nowych sposobów, by to niezwykle miejsce tętniło życiem, pamięcią i kulturą. Zastanawiamy się: co jeszcze odrestaurować? Którą alejkę odnowić, który pomnik przywrócić do dawnej świetności? Jak zaprosić młodych ludzi, by odkryli, że spacer po Powązkach to nie lekcja historii z podręcznika, ale spotkanie z ludźmi, którzy tę historię tworzyli? I wreszcie – jak przenieść ducha tej nekropolii w świat wirtualny, nie gubiąc jej ciszy, godności i tajemnicy?

Nie wszystko udaje się od razu. Jedne pomysły dojrzewają w szufladach, inne trzeba odłożyć na lepszy moment, a z niektórych – z bólem serca – zrezygnować. Ale jedno pozostaje niezmiennie: nie poddajemy się. Fundacja Stare Powązki działa, pracuje, tworzy – krok po kroku, metr po metrze, dzień po dniu.

Spójrzmy na przykład. Aleja katakumbowa – wczoraj i dziś. Jeszcze niedawno wymagała troski, a dziś odzyskuje dawny blask. Wspólnie z firmą pana Adriana udało się odnowić kolejne setki metrów kwadratowych alejek – starannie, z poszanowaniem historii i zgodnie z zaleceniami Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. To żmudna, ale piękna praca: jak układanie mozaiki, w której każdy kamień ma swoje znaczenie.

Nie robimy tego dla statystyk ani dla uznania. Robimy to, bo wierzymy, że Stare Powązki zasługują na to, by żyć dalej – nie tylko w kamieniu i bruku, ale też w sercach ludzi, którzy tu przechodzą.

Dlatego chcemy się tym z Wami dzielić. Pokazywać efekty naszej pracy w magazynie, na wystawach, w internecie. Zapraszać do współtworzenia. Bo Powązki to nie tylko cmentarz – to żywa księga pamięci, w której wciąż dopisujemy nowe rozdziały. A każdy z Was może w tej historii postawić swój przecinek, dopisać swoje zdanie, zostawić ślad.





# Pochowani na Starych Powązkach

## Stanisław Lilpop

### (1817–1866)

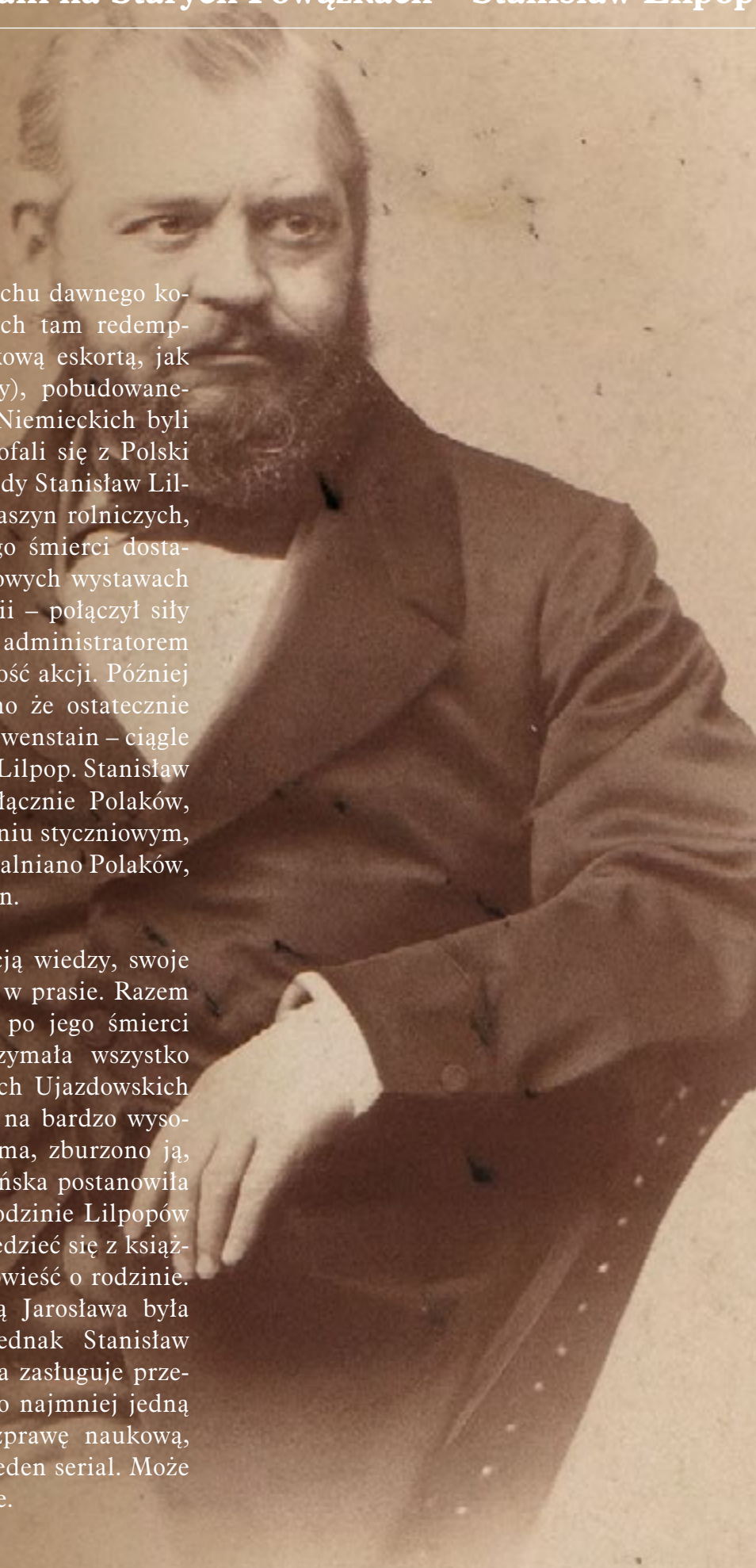
Maria Bryzgalska

„W 1870 roku zdobył miesięczne zatrudnienie (...) jako robotnik u Lilpopa nosił niebieską, płócienną bluzę i zjawiał się w fabryce o szóstej rano” – poinformowała w książce „Prus. Śledztwo biograficzne” Monika Piątkowska. Kiedy Aleksander Głowacki został robotnikiem, Stanisław Lilpop już nie żył. Pozostawił wdowę z ośmiorgiem dzieci (pięciu synów i trzy córki) oraz majątek o wartości 320 000 rs. Stał się jednym z największych autorytetów i wzorem dla pozytywistów polskich, nie tylko dla autora „Lalki”. Stanisław Lilpop i jego rodzina nie była „arystokracją pieniądza” i nie hołdowała czysto kupieckim ideałom. Może gdyby dawny pracownik pożył dłużej, powstałaby saga nie mniej głośna od „Buddenbrooków”, ale o zupełnie innej wymowie. Wielu członków warszawskiego mieszczaństwa wywodziło się z kręgu artystów rzemieślników, często pracujących dla królów polskich lub ich najbliższego otoczenia. Niewiele też mieli wspólnego z twórcami Manchesteru czy Łodzi. Przodkowie Stanisława przybyli do Warszawy pod koniec XVIII wieku z Gruzji i byli zegarmistrzami. Zegarmistrzostwo wymaga ogromnej precyzji i uzdolnień zarówno technicznych, jak i manualnych oraz wyrobionego smaku artystycznego. Nic więc dziwnego, że Stanisław zgromadził ogromną kolekcję malarstwa polskiego pierwszej połowy XIX w. Co istotne, jak współpracujący z nim Andrzej Zamoyski, wspierał polskich artystów, co w owych czasach nie było częste, snobowano się na cudzoziemców.

Wykształcenie też otrzymał odpowiednie. Najpierw uczył się w kolegium pijarów, później został stypendystą Banku Polskiego, dzięki czemu praktykował w fabrykach metalurgicznych, między innymi w Londynie, Berlinie, Manchesterze. Po powrocie nie mógł dostać pracy, ponieważ chętniej zatrudniano techników cudzoziemców, najwięksi producenci różnego rodzaju maszyn







rezydujący początkowo w gmachu dawnego kościoła św. Benona (pracujących tam redemptorystów Napoleon pod wojskową eskortą, jak więźniów, odwiózł do granicy), pobudowanego przez Bractwo Katolików Niemieckich byli Anglikami. Bracia Evans wycofali się z Polski w czasie wojny krymskiej. Wtedy Stanisław Lilpop – wybitny konstruktor maszyn rolniczych, które jeszcze wiele lat po jego śmierci dostawały nagrody nawet na światowych wystawach w Wiedniu, Paryżu i Filadelfii – połączył siły z Wilhelmem Rauem, byłym administratorem Braci Evans, i wykupił większość akcji. Później rozwinęli firmę, która – mimo że ostatecznie nazywała się Lilpop, Rau i Loewenstain – ciągle potocznie funkcjonowała jako Lilpop. Stanisław starał się zatrudniać tam wyłącznie Polaków, zwłaszcza w okresie po powstaniu styczniowym, kiedy z posad państwowych zwalniano Polaków, a zatrudniano wyłącznie Rosjan.

Zajmował się też popularyzacją wiedzy, swoje naukowe artykuły publikował w prasie. Razem ze swoją żoną Joanną, która po jego śmierci współzarządzała spółką i trzymała wszystko żelazną ręką, w willi w Alejach Ujazdowskich urządzali wieczory muzyczne na bardzo wysokim poziomie. Willi już nie ma, zburzono ją, ponieważ Ambasada Amerykańska postanowiła wybudować sobie gmach. O rodzinie Lilpopów już pisano, sporo można dowiedzieć się z książki Ludwika Włodek „Pra. Opowieść o rodzinie. Iwaszkiewiczowie”, gdyż żoną Jarosława była Anna Lilpopówna. Wciąż jednak Stanisław Lilpop jest zbyt mało znany, a zasługuje przecież na naszą wdzięczność i co najmniej jedną obszerną i opublikowaną rozprawę naukową, jedną powieść biograficzną i jeden serial. Może ktoś się wreszcie tego podejmie.





## Cytaty – Tomasz à Kempis

### *O naśladowaniu Chrystusa*

*Wszędzie spokoju szukałem i nie znalazłem nigdzie,  
jak tylko w kącie z książką.*

*Z równą chęcią powinniśmy czytać księgi pobożne i proste,  
co wzniosłe i głębokie. Niech cię nie zraża autorytet piszącego:  
czy był to człowiek mało czy bardzo wprawny literacko, lecz  
do czytania niech cię pociąga umiłowanie czystej prawdy.  
Nie dociekaj, kto to powiedział, lecz zwracaj uwagę na to,  
co zostało powiedziane.*



# Inteligencja emocjonalna

## Umiejętność, która zmienia codzienność

Ks. Jacek Laskowski

Kiedyś mówiono, że o sukcesie decyduje IQ – szybkie myślenie, logiczne wnioski, dobre wyniki. Ale im dłużej żyjemy, tym wyraźniej widać, że równie ważne jest coś mniej mierzalnego: sposób, w jaki radzimy sobie z emocjami – swoimi i cudzymi. To właśnie inteligencja emocjonalna (EQ): zdolność rozumienia uczuć, zarządzania nimi i reagowania tak, by służyło to relacjom i decyzjom.

Nie trzeba być psychologiem, żeby ją rozwijać. Wystarczy odrobina uważności i chęć, by słuchać siebie i innych nie tylko rozumem, ale i sercem.

### 1. Emocje – sygnały, które warto odczytywać

Każde uczucie to komunikat.

- Strach mówi: „zatrzymaj się, sprawdź, czy jesteś bezpieczny”.
- Złość: „ktoś przekroczył twoje granice”.
- Smutek: „coś ważnego się kończy, potrzebujesz pożegnać”.
- Radość: „to miejsce jest dla ciebie dobre”.

Kiedy nauczysz się je rozpoznawać, przestają tobą rządzić. Możesz reagować, zamiast wybuchać. Na przykład zamiast krzyczeć, że ktoś cię nie słucha, możesz powiedzieć: „Złości mnie, gdy przerywasz. Chcę, żebyś usłyszał, co mam do powiedzenia”.

### 2. Jak rozmawiać, by się rozumieć, a nie ranić

W codziennych rozmowach często zdradzamy, czy mamy wysoki poziom EQ.

- Kiedy mówimy: „Taki już jestem, nie zmienię się” – to nie siła, lecz ucieczka. Inteligencja emocjonalna to gotowość, by korygować kurs, gdy coś nie działa.
- „Nie obchodzi mnie, jak się czujesz” – to sygnał braku empatii. A empatia nie oznacza zgody na wszystko, tylko próbę zrozumienia drugiego człowieka.
- „To twoja wina, że tak się czuję” – oddaje stery komuś innemu. Emocje są nasze, to my decydujemy, co z nimi zrobimy.

Wysokie EQ to także umiejętność zatrzymania się przed oceną. Zamiast: „Oszalałeś!” – można powiedzieć: „Widzę, że jesteś wzburzony. Trudno mi teraz z tobą rozmawiać”. To zupełnie zmienia atmosferę.



## 3. Małe ćwiczenia na każdy dzień

EQ nie rozwija się na wykładach, tylko w praktyce.

Oto kilka prostych ćwiczeń:

- Trzy razy dziennie nazwij, co czujesz. To jak sprawdzenie pogody w sercu: „jestem spięty”, „czuję wdzięczność”, „jestem zmęczony”. Już samo nazwanie emocji ją porządkuje.
- Zrób pauzę przed reakcją. Trzy oddechy zanim odpiszesz na wiadomość, zanim odpowiesz z irytacją. To mikrosekunda, w której rodzi się mądrość.
- Mów o sobie, nie o innych. Zamiast „doprowadzasz mnie do szału” – powiedz „złoszczę się, gdy to robisz”.
- Pytaj ciekawie, nie oskarżaj. Zamiast „dlaczego to zrobiłeś?” – „co było dla ciebie najtrudniejsze?”

Te małe zmiany potrafią rozbroić największe konflikty.

## 4. Uczymy się emocji przy innych

Najlepszy trening EQ to kontakt z ludźmi. Uczymy się empatii od tych, którzy nas słuchają. Spokoju – przy spokojnych. Granic – przy tych, którzy je szanują.

Warto wprowadzić małe rytuały:

- w rodzinie: „jak się dziś czujesz – jednym słowem?”
- w pracy: krótkie podsumowanie po spotkaniu – nie żeby się rozliczać, ale żeby zrozumieć, co działa, a co nie.

To nie są „miękkie fanaberie”, lecz inwestycja w kulturę relacji.

## 5. Inteligencja emocjonalna to nie teoria, tylko codzienna praktyka

Można robić testy EQ, ale najlepszy „wynik” to reakcje ludzi wokół: czy po rozmowie z tobą mają w sobie więcej spokoju, czy napięcia. Czy po konflikcie zostaje przestrzeń, czy mur.

EQ to odwaga, by powiedzieć „nie wiem, ale chcę zrozumieć”, mądrość, by przyznać „przepraszam”, i siła, by dodać „spróbujmy jeszcze raz”.

To codzienna gimnastyka serca – oddech przed słowem, prośba zamiast żądania, ciekawość zamiast oceny. Dzięki temu nasze rozmowy przestają być walką na argumenty, a zaczynają brzmieć jak wspólne strojenie instrumentów przed koncertem.

Bo dopiero wtedy naprawdę da się grać razem.



# Algorytmy wychowują?

## Ideologizacja mediów społecznościowych i jej skutki dla młodych

Bogdan Więckiewicz

### Jak media cyfrowe kształtują nasze poglądy i dzielą społeczeństwo?

Pojawienie się smartfonów w 2007 roku zmieniło życie niemal każdego (podobnie jak era internetu w latach 90. XX wieku). Media informują, a informując, kształtują życie społeczne, realnie wpływają na jego ideowe oblicze i bieg. Wiek dwudziesty dowiódł, że kto ma media w ręku, ten kształtuje teraźniejszość społeczną i wytycza jej przyszłość. Człowiek jest funkcją ideologii, która obecnie przybiera formę nowego totalitaryzmu, także pod osłoną współczesnej demokracji! Wiedza jest rezultatem poznania, na które składa się opis faktu oraz jego wyjaśnienie. Możemy wyróżnić fakty przyrodnicze oraz fakty społeczne. Nas najbardziej interesuje fakt społeczny, który jest faktem kulturowym, a więc ma on swe źródło w działaniu ludzkim. Jest on obrazem naszej wiedzy o świecie. Zatem ostatecznym poznaniem jest nasza wiedza. Dziś ten fakt jest podważany! W tworzeniu nowych faktów zasłużyły się ideologie. Nie dbają one o prawdę, lecz o skuteczność w realizacji własnego celu, dlatego kreują one fakty społeczne. Nie budują one kultury, lecz antykulturę, a media w ich ręku to antymedia: nie źródło wiedzy o świecie, lecz narzędzie indoktrynacji i terroru duchowego, czyli przemocy strachu!

### Czym jest ideologizacja?

To proces wprowadzania i wzmacniania ideologii w przekazach medialnych. Treści przestają być neutralne – promują określony światopogląd, wartości, politykę. Często mają nieświadomy wpływ na odbiorcę. Szczególną rolę w tym procesie odgrywają media społecznościowe, jak X (Twitter), TikTok, YouTube, Instagram. Wynika to z faktu, że media społecznościowe to dziś główne źródło informacji – zwłaszcza dla

osób młodych. Algorytmy najczęściej promują treści emocjonalne, kontrowersyjne lub zgodne z naszymi poglądami[1]. Można wyróżnić podstawowe mechanizmy ideologizacji: **bańki informacyjne** (*filter bubbles*), tj. ograniczony dostęp do odmiennych opinii, **echa ideologiczne** (*echo chambers*) – wzajemne utwierdzanie się w przekonaniach, **dezinformacja i propaganda**, czyli *fake newsy*, *deepfake* oraz **polaryzacja** – pogłębianie podziałów społecznych i politycznych. Przykłady ideologizacji, to chociażby polityka: kampanie sterowane algorytmami. Algorytmy wpływają na to, co użytkownicy widzą w sieci, a to z kolei kształtuje ich decyzje, np.: zakupowe, wybory polityczne, poparcie społeczne. Innym przykładem ideologizacji są ruchy społeczne: MeToo, Strajk Kobiet, Black Lives Matter, Ostatnie Pokolenie. W sposób szczególnie podatne na ideologizację są młode osoby. Wynika to z faktu, że nie mają one jeszcze utrwalonego systemu wartości. Młodzi na ogół są bardziej liberalni w swoich postawach i podglądach od swoich rodziców, częściej negują zastany świat, istniejące instytucje, reagują bardziej emocjonalnie niż starsze pokolenie. Z tego względu stosunkowo łatwo podlegają wpływom różnych grup i manipulacji, w tym ideologicznej. Współczesne pokolenie młodych to iGen. To osoby urodzone po roku 1995, nazwa wywodzi się z większego dostępu do Internetu, urządzeń elektronicznych. Jest to pierwsze pokolenie, które dorastało z niemalże nieograniczonym dostępem do Internetu[2]. Pokolenie to można podzielić na dwie kategorie: **Z** (młodzi urodzeni w latach 1995–2010/2012 r.) oraz **Alfa** (urodzeni po 2010/2012 r.). Internet jest stałym elementem ich życia. Mają telefon zawsze przy sobie, nawet w nocy (polskie nastolatki w sieci są średnio prawie 6 godzin dziennie – co nie znaczy, że nie wykonują aktywności offline, po prostu telefon jest zawsze obok: online miesza się z offline.



## Algorytmy wychowują?

### Ideologizacja mediów społecznościowych i jej skutki dla młodych

Wiedzę o świecie czerpią głównie z social mediów. Internet często zastępuje telewizję. Czytają mniej książek niż poprzednie pokolenie w ich wieku. Zwykle korzystają z sieci w celach egoistycznych. Konsekwencje tych praktyk najczęściej mają charakter negatywny. Jak wykazują badania socjologiczne oraz psychologiczne, nastolatki, które

i wzrost agresji w sieci, dezinformacja wpływająca na decyzje wyborcze, spadek zaufania do mediów i instytucji. Media społecznościowe silnie wpływają na poglądy nie tylko młodych osób, ale także i starszych. Należy pamiętać, że ideologizacja to zagrożenie dla demokracji i ładu społecznego.



spędzają więcej czasu online, są mniej szczęśliwe niż ich rówieśnicy, którzy poświęcają więcej czasu na aktywności pozaekranowe (ta różnica powiększa się w przypadku młodszych nastolatków). Więcej młodych ludzi niż w poprzednim pokoleniu przejawia symptomy depresji, a ich zdrowie psychiczne systematycznie się pogarsza. Z badań przeprowadzonych w wielu krajach wynika, że pokolenie, które przeszło proces wychowania ze smartfonami, stało się bardziej lękliwe, cierpiące na depresję, dokonujące samookaleczeń i nękane myślami samobójczymi. Fala tych stanów mocniej dotyka dziewcząt niż chłopców. Nadmierne korzystanie z mediów społecznościowych generuje także negatywne skutki społeczne, czego efektem są chociażby: radykalizacja postaw

Jak temu zaradzić? Tylko świadomy użytkownik może się przeciwstawić tym negatywnym wpływom mediów. Przede wszystkim poprzez: krytyczne myślenie – sprawdzanie źródła informacji, kontakt z różnorodnymi treściami – poznawanie różnych punktów widzenia, edukację medialną – rozpoznawanie manipulacji.

Media społecznościowe gorzej wpływają na dziewczęta niż chłopców. Powodów jest kilka. Dziewczęta częściej i dłużej niż chłopcy korzystają z mediów społecznościowych. Częściej też zaniedbują obowiązki domowe i szkolne[3]. Dziewczęta są bardziej podatne na porównania wizualne i perfekcjonizm (np. wygląd zewnętrzny – idealne ciało). Dziewczęta, zwłaszcza w okresie dojrzewania, częściej konfrontują się ze standardami piękna, które mogą być dla wielu nieosiągalne. Dziewczęta są szczególnie narażone na krzywdy wyrządzone z powodu ciągłych porównań społecznych, gdyż cierpią często na pewną odmianę perfekcjonizmu, zwanego perfekcjonizmem przypisanym społecznie. Przekonanie, że nie spełnia się własnych wysokich standardów, powoduje u nich stany lękowe. Bycie perfekcjonistą wzmacnia lęk, ponieważ zwiększa obawę przed wstydem wynikającym z publicznej porażki. Agresja dziewcząt jest bardziej relacyjna. Odczuwają potrzebę bycia członkiem grupy. Najdotkliwiej można skrzywdzić koleżankę, atakując jej relacje. Rozsiewa się plotki, zaniża się wartość drugiej osoby w oczach innych, a to prowadzi do stanów lękowych. Dziewczęta łatwiej dzielą się emocjami i zaburzeniami, np. depresja koleżanki ma wpływ na depresję innych znajomych dziewcząt. Wzrost dysforii płciowej często związany jest z trendami mediów społecznościowych[4].



# Algorytmy wychowują?

## Ideologizacja mediów społecznościowych i jej skutki dla młodych



Od 2017 roku możemy mówić o wzrostach aktywności studenckiej na uczelniach w negatywnym tego słowa znaczeniu, na pewno o samotności, ale też o problemach z „mental health” – zdrowiem psychicznym. W ciągu ostatnich lat obserwuje się znaczny wzrost problemów psychicznych niezależnie od płci. U mężczyzn odsetek ten wzrósł 2-krotnie, u kobiet 2,5–3-krotnie.

Media społecznościowe w sposób istotny zmieniły funkcjonowanie młodych osób. Przyczyniły się do zmiany ich systemu wartości, osłabienia autorytetu rodziców, nauczycieli, instytucji – w tym Kościoła katolickiego. Autorytetami dla dzieci i młodzieży stają się osoby wypromowane w mediach społecznościowych. Media te powodują także upowszechnienie niskiej jakości kultury masowej, bylejakości stylu życia, konsumpcjonizmu, w którym największą aktywnością staje się robienie zakupów, przebywanie w centrach handlowych i posiadanie dóbr materialnych. Dominującą rolę w hierarchii wartości odgrywiają wartości hedonistyczne – przyjemnościowe, natomiast tracą na znaczeniu te wyższe, czyli

duchowe i religijne. Aby zapobiec negatywnemu wpływowi mediów społecznościowych na młode pokolenie, rodzice muszą poświęcić więcej czasu swoim dzieciom, jak również w większym stopniu kontrolować ich, z jakich treści korzystają w mediach społecznościowych.

### Przypisy

[1] G. Lukianoff, J. Haidt, *Rozpieszczony umysł. Jak dobre intencje i złe idee skazują pokolenie na porażkę*, Poznań 2023, s. 197.

[2] G. Lukianoff, J. Haidt, *Rozpieszczony umysł. Jak dobre intencje i złe idee skazują pokolenie na porażkę*, Poznań 2023, s. 220.

[3] A. Ładna, K. Kamiński, K. Roślaniec, A. Wrońska, M. Błażej, A. Jankiewicz, F. Konopczyński, M. Nawrot, *Nastolatki. Raport z ogólnopolskiego badania uczniów i rodziców. Suplement. NASK*. Warszawa 2025, s. 33.

[4] J. Haidt, *Niespokojne pokolenie. Jak wielkie przeprogramowanie dzieciństwa wywołało epidemię chorób psychicznych*, Poznań 2025, s. 230.



WPROST

50



# Stan Duszy

Iwona Czajkowska

Wschód słońca nad Połoniną Wetlińską był jak obietnica. Złote promienie nieśmiało przedzierały się przez poranne mgły, otulając szczyty i doliny Bieszczadów ciepłym światłem. Staliśmy na drewnianej platformie, oparci o plecak i patrzyliśmy na bezkres gór, które wydawały się nie mieć końca.

Przyjechaliśmy zmęczeni hałasem miasta, wypaleniem w pracy i ludźmi, którzy ciągle czegoś od niej chcieli. Marzyliśmy o miejscu, gdzie czas płynie inaczej – wolniej, łagodniej, z większym sensem. Znajomy powiedział nam kiedyś:

**„W Bieszczadach nie szukasz niczego – one same dają ci to, czego naprawdę potrzebujesz”.**

W ciągu kilku dni przeszliśmy Małą i Wielką Rawkę, Tarnicę, szliśmy przez ciszę Bukowego Berda i wieczorami siadywaliśmy na tarasie przy herbacie. Poznaliśmy ludzi, którzy zamieszkali

tu na stałe – był stary rzeźbiarz z Cisnej, który rzeźbił anioły „na złe dni”, młoda artystka malująca góry farbami zrobionymi z ziemi i liści, a także samotny przewodnik, który znał każdą ścieżkę i każdą historię tych gór.

Jednej nocy, kiedy niebo rozświetliły miliony gwiazd, zrozumieliśmy, że prawdziwa wolność to nie brak obowiązków, ale wewnętrzny spokój. A ten znaleźliśmy właśnie tutaj – w bieszczadzkiej ciszy, w zapachu mokrego lasu, w uśmiechu nieznajomych, w prostocie.

Kiedy wracaliśmy do domu, wiedzieliśmy, że jeszcze tu przyjedziemy. Może na dłużej.

Bo Bieszczady nie są tylko miejscem na mapie.

To stan duszy.





# Młode wino i stare bukłaki

## Kościół – naród – rodzina

### nie przetrwają bez otwartego dialogu

Tomasz Nasiłowski

#### Dialog jako fundament wspólnoty

W czasach, gdy debata publiczna staje się coraz bardziej powierzchowna, a różnice poglądów traktowane są jak zagrożenie, warto przypomnieć sobie prostą, choć wymagającą prawdę: to właśnie trudne rozmowy stanowią fundament każdej autentycznej wspólnoty. Tylko tam, gdzie jest miejsce na szczere dzielenie się – także przekonaniami kontrowersyjnymi, niewygodnymi – może dojrzewać zaufanie, współodpowiedzialność i zdolność do budowania relacji, umacniania wspólnoty oraz wspólnego szukania Prawdy, czyli samego Boga: „Ja jestem drogą, prawdą i życiem” (J 14,6).

Bez dialogu nie ma dojrzałych relacji, mądrego rozeznania ani owocnych decyzji; nie ma też żywej więzi z Bogiem. W jego braku stajemy się samotni – i nie jest przypadkiem, że samotność należy dziś do najpoważniejszych chorób współczesności. Pismo mówi wprost: „Biada samotnemu, gdy upadnie, a nie ma drugiego, który by go podniósł” (Koh 4,10). A tylko naiwność albo świadoma ignorancja, czyli biblijna ślepotą („Mają oczy, a nie widzą” – Ps 115,5), każe upatrywać przyczyn tej choroby w zdobyczach technologii. Nie oszukujmy się: to nie technologie są winne. Jezus mówi jasno: „Nic nie wchodzi z zewnątrz w człowieka, co mogłoby uczynić go nieczystym; lecz to, co wychodzi z człowieka” (Mk 7,15).

To brak umiejętności rozmowy, dialogu i komunikacji jest prawdziwym źródłem tej ciężkiej i śmiertelnej choroby – SAMOTNOŚCI.

#### Różnorodność – dar, nie zagrożenie

W każdej grupie – od rodziny, przez parafię, aż po wspólnotę narodową i Kościół – pojawiają się różnice poglądów. Nie są one słabością, lecz czymś naturalnym, a nawet dobrem, którym sam Bóg obdarza swoje stworzenia: „Różne są dary łaski, lecz ten sam Duch” (1 Kor 12,4). Sztuką nie jest unikanie tych różnic ani ich ukrywanie, lecz mądre nimi zarządzanie. Oznacza to zdolność do wzajemnego słuchania, gotowość do otwartego dialogu oraz uznanie, że nikt nie ma monopolu na prawdę. Chrześcijańska tradycja zna to dobrze – przecież słowo komunია, czyli wspólnota, wyrasta z komunikacji: rozmowy, słuchania i dzielenia się.

Wspólnota nie jest strukturą organizacyjną, która narzuca swoim członkom zestaw zasad czy wymagań, lecz dynamiczną przestrzeń spotkania i budowania wzajemnych relacji. Jej siła nie polega na





jednomyślności, ale na zdolności do utrzymywania więzi mimo różnic – a nieraz właśnie dzięki nim. Bo jak przypomina Apostoł: „Z nich zaś największa jest miłość” (1 Kor 13,13), a miłość zawsze zakłada relację, nie identyczność. Taka jedność nie oznacza rezygnacji z własnych przekonań, lecz gotowość do współodpowiedzialności i szukania wspólnego dobra. To w różnorodności można odkrywać bogactwo sensu, zamiast upraszczać go do jednej, zamkniętej wizji świata.

### **Kościół jako wspólnota ucząca się i rozeznająca**

Kościół nie jest tu wyjątkiem. Jak przypomina Lumen gentium – Konstytucja dogmatyczna o Kościele – Kościół to „Lud Boży”, wspólnota wielu osób, nie zawsze jednomyślnych, lecz połączonych wiarą i wspólną drogą ku zbawieniu. Dokładnie tak ukazują to Dzieje Apostolskie: „Trwali oni w nauce Apostołów i we wspólnocie, w łamaniu chleba i w modlitwach” (Dz 2,42).

Historia Kościoła zna zarówno momenty błędów, jak i późniejszych korekt. To w gruncie rzeczy zgodne z logiką Ewangelii, bo „sąd zaczyna się od domu Bożego” (1 P 4,17). Zmiany te nie były zdradą Ewangelii, lecz owocem coraz głębszego jej rozumienia – możliwym często dzięki odwadze prowadzenia trudnych rozmów. Przypomina o tym choćby przypadek Galileusza, przez wieki postrzeganego jako symbol konfliktu Kościoła z nauką. Jego rehabilitacja pokazuje, że Kościół potrafi uczyć się w czasie i z czasem.

### **Święty Karol Boromeusz – odwaga reformy mimo sprzeciwu**

Historia Kościoła pokazuje, że prawdziwa odnowa nigdy nie dokonuje się bez trudnych rozmów, oporu i napięć. Doskonałym świadectwem jest postać św. Karola Boromeusza – patrona naszej parafii – który po Soborze Trydenckim stał się jednym z najwybitniejszych reformatorów Kościoła.

Wprowadzał zmiany głębokie i wymagające: od odnowienia formacji kapłańskiej, przez reorganizację diecezji, aż po uporządkowanie liturgii i ży-

cia sakramentalnego. Domagał się od duchownych transparentności, odpowiedzialności i świętości życia; przypominał, że kapłan ma być pasterzem, a nie urzędnikiem. W wielu parafiach nakazywał prowadzenie katechizacji, wizytował diecezję osobiście, tworzył seminaria duchowne, egzekwował normy Soboru Trydenckiego.

Jednak jego reformy spotkały się z gwałtownym sprzeciwem – nie ze strony „świata”, lecz od ludzi Kościoła, którzy czuli się zagrożeni wymaganiami nowej dyscypliny. To właśnie oni doprowadzili do zamachu na jego życie. Podczas modlitwy w kaplicy zamachowiec z zakonu Humiliatów oddał do niego strzał z broni palnej. Kula przeszła szaty arcybiskupa, lecz – w sposób niewytłumaczalny – nie zraniła go. Zamach, który miał uciszyć reformatora, stał się symbolem, że odnowa Kościoła zawsze budzi opór, a nawet wrogość.

Boromeusz jednak nie zatrzymał się. Uczył, że kapłan musi być pierwszym, który daje świadectwo odpowiedzialności, pokory i gotowości do zmiany. Po zamachu nie szukał zemsty ani politycznej walki. Wybrał drogę, którą wskazuje Ewangelia: „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości” (Mt 5,10). I to właśnie cierpienie – przyjęte w duchu służby – stało się źródłem siły jego reform.

Jego życie przypomina, że Kościół naprawdę odnawia się wtedy, gdy ma odwagę słuchać, rozeznawać i podejmować zmiany – nawet jeśli oznacza to ryzyko niezrozumienia, sprzeciwu, a także konieczność korekty praktyk zakorzenionych w ówczesnej, liczącej niemal 1500 lat tradycji (pisanej małym „t”). Świętość Boromeusza nie polegała na funkcjonowaniu w świecie wolnym od konfliktów, lecz na tym, że w samym centrum sporów pozostał wierny misji Ewangelii. Dzięki takim świadkom Kościół nie jest muzeum przeszłości, lecz żywą wspólnotą, która nieustannie uczy się kochać dojrzałe.

### **Jezus – Mistrz dialogu i zadawania pytań**

Również sam Jezus nie nauczał poprzez gotowe odpowiedzi. Według biblistów w Ewangeliiach



## Młode wino i stare bukłaki

zadano Mu około dwustu pytań, a tylko na nie-liczne z nich odpowiedział wprost. Zdecydowanie częściej odpowiadał pytaniem na pytanie, przy- powieścią albo w sposób niejednoznaczny, skła- niający do refleksji. Jego styl nauczania zakładał dialog, pobudzanie myślenia, osobistą refleksję i wzajemne słuchanie. Co więcej, sam Jezus zadał uczniom około trzystu pytań. Nie przemawiał jak nauczyciel pouczający, lecz jak Mistrz w drodze: wchodzący w rozmowę, inspirujący do poszuki- wania i pozostawiający przestrzeń na dojrzewanie odpowiedzi we wspólnocie. Wystarczy przypo- mnąć spotkanie z uczniami idącymi do Emaus, gdy zapytał ich: „Cóż to za rozmowy prowadzicie ze sobą w drodze?” (Łk 24,17). A chwilę później – „wyjaśniał im, co we wszystkich Pismach odnosiło się do Niego” (Łk 24,27). Nie narzucał żadnej ide- ologii, nie wskazywał konkretnych przepisów, nie formułował nakazów typu: „macie robić to” czy „nie wolno wam robić tamtego”.

Ta metoda – pytania zamiast gotowych rozwiązań – ukazuje, jak ważne jest szukanie prawdy w spo- tkaniu i relacji. Jezus uczył, że prawda nie jest zbiorem tez, przepisów, przykazań, zasad, reguł ani ideologią, lecz drogą, a każda droga wyma- ga wędrówki, słuchania i rozważania. Był to styl pokory, który również dziś może być wzorem dla wspólnot rodzinnych, parafialnych, narodowych i Kościoła. Pokory rozumianej nie jako słabość, lecz jako gotowość, by słuchać – nie narzucać, ale zapraszać.

### Kryzys dialogu w społeczeństwie, narodzie i Kościele

Współczesny świat zмага się z brakiem tej pokory. Dobitym przykładem może być sytuacja Polski, gdzie od dwóch dekad trwa napięta walka między dwoma dominującymi obozami politycznymi. Każdy z nich próbuje zawłaszczyć prawdę i narzu- cić własną wizję rzeczywistości, marginalizując głosy pośrednie i podważając możliwość dialogu. Przeciwnik polityczny przestaje być partnerem w debacie, a staje się wrogiem, którego należy po- konać. A przecież Jezus ostrzegał: „Każde króle- stwo rozdarte wewnątrznie pustoszeje” (Mt 12,25).

Taka polaryzacja nie tylko niszczy przestrzeń roz- mowy, ale prowadzi do rozkładu więzi społecz- nych i osłabienia wspólnoty narodowej; w Kościele zaś – do jego wewnętrznego pęknięcia i słabnięcia, a w skrajnych przypadkach nawet do schizmy, co nieraz potwierdzała historia.

W życiu społecznym i politycznym coraz wyraź- niej dominuje ton walki. Przeciwnik nie jest kimś, kto myśli inaczej, lecz kimś, kogo trzeba poko- nać. W efekcie tracimy zdolność do rozmowy – a bez rozmowy nie ma wspólnoty. Także w Koście- le – nawet w naszej małej parafialnej wspólnocie – coraz częściej brakuje odwagi do podejmowania tematów trudnych, niewygodnych i kontrowersyj- nych. Widać to szczególnie w oporze niektórych środowisk wobec wszelkich prób reformy, a nawet wobec samej próby dialogu, który w języku Kościo- ła nazywany jest synodalnością.

### Młode wino potrzebuje nowych bukłaków

Część wierzących zdaje się traktować Kościół jako niezmienny system, który powinien pozostać taki sam „od wieków” – niezależnie od zmieniających się realiów życia, rozwoju wiedzy, kultury czy po- trzeb wiernych. Tymczasem sam Jezus przestrze- gał przed zamykaniem się na nowość i przemianę. Mówił: „Nie wlewają też młodego wina do starych bukłaków” (Mt 9,17), podkreślając, że nowe życie i nowe treści wymagają nowych form – gotowości do przemiany.





Ten obraz nie traci na aktualności. Kościół, jeśli ma pozostać żywy, musi umieć przyjmować „młode wino” Ducha Świętego – a to oznacza także gotowość do zmiany struktur, konkretnych reguł i zasad, sposobu aplikowania przykazań w życiu codziennym, a także języka i podejścia duszpasterskiego. Nie chodzi o rewolucję, lecz o stałe nawracanie się wspólnoty, które zawsze powinno dokonywać się przez dialog: uważne słuchanie, wspólne rozeznawanie oraz otwartość na pytania i wątpliwości. Jezusowe ostrzeżenie, że „nie wlewa się młodego wina do starych bukłaków”, przypomina, iż zamknięcie na zmiany grozi rozerwaniem wspólnoty. Lęk przed zmianą nie powinien dominować nad odwagą Ewangelii.

### Przemiana Kościoła – logika Ducha, nie lęku

Wbrew pozorom Kościół wcale nie był przez wieki jednolity i niezmienny. Zmieniał się stopniowo, dostosowując formy do głębszego rozumienia treści objawienia, bo to sam Chrystus obiecał Kościołowi: „Duch Prawdy doprowadzi was do całej prawdy”. (J 16,13). Modyfikowano liturgię, kształt modlitwy powszechnej, język Mszy Świętej; zmieniano także podejście do kwestii moralnych i duszpasterskich. Przez wieki odmawiano katolickiego pogrzebu osobom, które popełniły samobójstwo – dziś Kościół, lepiej rozumiejąc cierpienie psychiczne, dopuszcza je do pełnego pochówku i modlitwy. Niegdyś akt rozgrzeszenia był zarezerwowany niemal na całe życie – udzielano go bowiem jedynie po długiej, publicznej pokucie, którą można było podjąć tylko raz w życiu – dziś natomiast dostęp do sakramentu pokuty jest powszechny. Te zmiany nie osłabiły Kościoła; przeciwnie, pozwoliły mu pełniej realizować jego misję.

Dlatego właśnie przemiana winna dokonywać się nie z lęku, lecz w duchu mądrego i wspólnotowego dialogu, który pozwala rozeznawać, co dziś służy Wierze, Nadziei i Miłości. To trudne, niewygodne i kontrowersyjne pytania najczęściej kryją w sobie potencjał duchowego wzrostu – jeśli tylko podejmuje się je we wspólnym i cierpliwym dialogu.

### Metafora latarni i odpowiedzialność za rozeznanie

W tym świetle trudno uznać metaforę Kościoła jako niezmiennej „latarni” za wystarczający model rozeznania życiowych decyzji. Jej interpretacja jako jedynej „prawdziwej” recepty na życie może prowadzić do uproszczonego myślenia: „robie, co mówi Kościół, więc nie muszę już nic sam analizować”. Ale przecież pozostaje pytanie: kto konkretnie w tym Kościele siedzi w owej „najprawdziwszej latarni”, której należy słuchać, by bezpiecznie dopłynąć do portu zbawienia?

Nie chodzi przecież o zwolnienie się z odpowiedzialności za własne decyzje. Raczej o to, by w Kościele – jako wspólnocie – rozeznawać, słuchać, myśleć i szukać razem. „Gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich” (Mt 18,20).

### Nowa nawigacja: dlaczego stare latarnie nie wystarczą

A jeśli uaktualnić metaforę latarni, warto zauważyć, że dziś są one już niemal wyłącznie małowalnymi zabytkami – świadectwami dawnej epoki. Już sto lat temu zaczęły je stopniowo zastępować tzw. latarnie radiowe, a współczesna nawigacja opiera się niemal wyłącznie na systemach satelitarnych. To one zapewniają bezpieczeństwo i precyzję – znacznie większą niż tradycyjna, „latarniowa” nawigacja oparta na sygnałach świetlnych. Ci, którzy wciąż posługują się jedynie starymi latarniami, niosą dziś ogromne zagrożenie dla swoich pasażerów – choć jeszcze dwieście lat temu było dokładnie odwrotnie. Mając większy, pełniejszy wgląd w rzeczywistość, czynimy wielką krzywdę, gdy go lekceważymy, powołując się jedynie na wierność dawnym zasadom. Świat się zmienił, bo lepiej go poznaliśmy – a wraz z nim zmieniły się także sposoby, w jakie poruszamy się ku celowi. **Bo młode wino rzeczywiście potrzebuje nowych bukłaków.** Ci, którzy nie zgodzili się na zmiany we wspólnocie wiary judaistycznej czasów Jezusa, nie zostali chrześcijanami. Źródłem



chrześcijaństwa była przecież odważna zmiana, głęboka reforma – a nawet radykalne nawrócenie całej wspólnoty, której członkowie musieli indywidualnie podjąć decyzję wbrew ówczesnym religijnym autorytetom. Dlaczego dziś miałoby być inaczej?

### **Bezrefleksyjne posłuszeństwo a groźba duchowego paraliżu**

Gdyby idea podążania za autorytetem religijnym niczym za latarnią – bez osobistego rozeznania i bez refleksji – miała być drogą wiary, oznaczałoby to, że w tamtych czasach należałoby odrzucić Jezusa. A tego przecież nikt nie chciałby powtórzyć. Wiara nie rodzi się z automatycznego posłuszeństwa, lecz z osobistego spotkania, wewnętrznej decyzji i gotowości do odważnej drogi we wspólnocie budowanej poprzez dialog.

### **Wspólnota jak drzewo – siła w korzeniach relacji**

Warto uważnie rozejrzeć się wokół i zauważyć, że wszelkie grupy, w których z czasem pojawia się zakaz rozmowy, brak przestrzeni na wymianę poglądów, stają się jak drzewa z podciętymi korzeniami. Jezus używa podobnej metafory: „Każdą latorośl, która nie przynosi we Mnie owocu, odcina” (J 15,2). Bez życiodajnego soku relacji wspólnota usycha. Na początku z zewnątrz wszystko może wyglądać w porządku – co najwyżej uschnie jakiś liść. Ale z czasem tych uschniętych liści jest coraz więcej, aż w końcu zaczynają masowo opadać. Wtedy pozostaje tylko suchy kikut – martwa struktura pozbawiona życiodajnych soków.

Bywa jednak, że taka wspólnota – jak roślina – ma wiele rozgałęzień i niektóre jej korzenie usychają szybciej, inne wolniej. Część z nich może wciąż czerpać wodę i składniki potrzebne do życia. To daje nadzieję, że dzięki zdrowszym fragmentom całość może się jeszcze odrodzić – pod warunkiem, że zostanie podjęty świadomy wysiłek regeneracji. Potrzebne są do tego życiodajne soki, a tym, co odżywia każdą wspólnotę, jest właśnie rozmowa: komunikacja, dzielenie się myślami i szczerą wymianą poglądów.

### **Rozmowa jako życiodajny obieg – podlewanie wspólnoty**

Otwarta rozmowa jest jak podlewanie i użyźnianie gleby: pozwala systemowi korzeniowemu odzyskać siły, wzmocnić to, co jeszcze żywe, i z czasem przywrócić zdolność całej wspólnocie do owocowania. Jak pisał Apostoł: „Apollos podlewał, lecz Bóg dał wzrost” (1 Kor 3,6). Wspólnota wzrasta tam, gdzie przepływa między ludźmi słowo – słuchane i wypowiedane. To właśnie w zaniku rozmowy wielu dostrzega dziś źródło problemów zarówno naszej ojczyzny, jak i Kościoła. Dlatego warto rozmawiać – szczególnie wtedy, gdy pojawiają się różnice zdań. Wymiana poglądów nie jest zagrożeniem, lecz drogą do budowania komunii we wspólnym poszukiwaniu prawdy oraz źródłem duchowej odnowy.

Tymczasem każda wspólnota potrzebuje rozmowy – także tej bolesnej, ryzykownej i nieoczywistej. To właśnie dzięki niej można zrozumieć motywacje drugiej strony, doprecyzować własne przekonania i odkryć nowe światło. A także – co nie mniej ważne – uniknąć osamotnienia, frustracji i rozłamu. Bez rozmowy nawet najlepiej zorganizowana struktura przekształca się w martwy mechanizm. Kościół, naród, parafia – każda wspólnota, by pozostać żywa, musi być miejscem spotkania.

### **Synodalność, słuchanie i odpowiedzialne przywództwo**

Papież Franciszek nieustannie przypominał, że Kościół musi uczyć się słuchania. Synodalność – droga, którą wskazał – nie oznacza demokracji w decyzjach, ale wspólne rozeznawanie. A tego nie da się osiągnąć bez rozmowy. Dobry pasterz nie podejmuje decyzji w oderwaniu od głosu wspólnoty, lecz właśnie dzięki niemu. W tym tkwi różnica między odpowiedzialnym przywództwem a autorytaryzmem.

Nie inaczej jest w rodzinie. Rodzice, podejmując decyzje, mogą narzucać swoją wolę – albo próbować rozumieć dzieci, słuchać ich i wspólnie



rozeznawać. Ostateczna decyzja i tak należy do dorosłych, ale sposób jej podjęcia decyduje o tym, czy rodzina staje się autentyczną wspólnotą, czy jedynie strukturą podporządkowania. Podobnie jest w małżeństwie: prawdziwe porozumienie nie rodzi się z jednostronnych deklaracji, lecz z wytrwałego dialogu, cierpliwego wsłuchiwania się i gotowości do korekty swoich przekonań.

### **Zaufanie rodzi się z rozmowy – w rodzinie, parafii, społeczeństwie, Kościele**

Wspólnoty lokalne, grupy duszpasterskie, rady parafialne, a nawet grupa księży posługująca w tej samej parafii – wszędzie tam, gdzie decyzje podejmowane są w atmosferze rozmowy, otwartości, uczestnictwa i szczerości, łatwiej jest o wzajemne zaufanie i współodpowiedzialność. Ludzie, którzy czują się wysłuchani, są gotowi angażować się, brać odpowiedzialność i trwać mimo trudności. To właśnie rozmowa – często niedoskonała, czasem chaotyczna – staje się narzędziem budowania trwałych więzi. A nawet jeśli więź osłabnie, rozmowa może stać się początkiem jej odbudowy. Jak drzewo z usychającymi liśćmi, które dzięki nawodnieniu odzyskuje siły – tak i wspólnota może ożyć, gdy wraca do szczerego dialogu i wspólnego rozeznawania.

### **Uczyć się dialogu na nowo**

Nie trzeba od razu reformować świata. Warto jednak uświadomić sobie, że dzisiejsze systemy edukacyjne rzadko uczą prawdziwej sztuki dialogu. Uczniowie uczą się odtwarzać i powtarzać – a niekoniecznie samodzielnie myśleć, stawiać pytania, słuchać innych czy argumentować z szacunkiem. W efekcie wielu dorosłych nie ma doświadczenia rozmowy, w której mogą spokojnie wyrazić odmienne zdanie i jednocześnie wsłuchać się w drugiego człowieka.

Dlatego musimy sami uczyć się tej sztuki – w praktyce, cierpliwie, codziennie. I musimy być czujni: ograniczanie przestrzeni rozmowy, tłumienie głosu sprzeciwu, zakazywanie dyskusji czy odmowa rozmowy to zawsze sygnał ostrze-

gawczy. Tak rozpoznajemy osoby i grupy o skłonnościach despotycznych. To oni, zamykając przestrzeń dla pytań, różnicy zdań i wspólnego rozeznawania, dążą nie do budowania wspólnoty, lecz do jej podporządkowania własnej wizji. Gdy nie ma miejsca na dialog, pojawia się struktura dominacji, nie relacji – a w niej nie sposób zbudować zaufania ani dojrzewać w prawdzie.

### **Zacząć od własnego otoczenia**

Dlatego warto zacząć od własnego otoczenia: prowadzić rozmowy w rodzinie, parafii, grupie lektorskiej, ruchu Solaris, miejscu pracy, klubach zainteresowań, kółku teatralnym czy szkolnej radzie. Nie unikać tematów trudnych. Pytać, słuchać, dzielić się przemyśleniami. Bo nawet jeśli nie od razu pojawi się zgoda, sam proces rozmowy buduje wzajemne zaufanie – a ono jest fundamentem każdej trwałej wspólnoty.

Każdy z nas ma realny wpływ na jakość relacji, których jest częścią. I każdy z nas ponosi odpowiedzialność za to, jakimi słowami i w jakim duchu kształtuje wspólnotę wokół siebie – w domu, Kościele, miejscu pracy i sąsiedztwie. Zaczyna się od rozmowy. I to właśnie ona – nie przymus ani sztucznie wymuszana jednomyślność czy hierarchia – tworzy przestrzeń, w której możemy czuć się bezpieczni, wysłuchani i potrzebni.





### Dialog – warunek jedności i pokoju

Otwarta i szczerza rozmowa – zwłaszcza w sytuacjach napięcia – pozwala unikać uproszczonych osądów i błędnych decyzji. Daje szansę na zrozumienie złożoności problemów, pozwala podejmować mądre decyzje i dostosowywać się do zmieniającej się rzeczywistości. A przede wszystkim – sprawia, że każdy członek wspólnoty może czuć się naprawdę potrzebny, wysłuchany i ważny, zgodnie ze słowami Apostoła: „Wy przeto jesteście Ciałem Chrystusa i poszczególnymi [Jego] członkami” (1 Kor 12,27). To nie luksus, ale konieczność duchowego i społecznego zdrowia.

Tylko wspólnota, która rozmawia, może być żywa. I tylko w takiej wspólnocie można znaleźć przestrzeń do wzrostu, nawrócenia i wspólnego szukania dobra. Dialog nie jest dodatkiem do życia chrześcijańskiego – jest jego warunkiem: „Usiłujcie zachować jedność Ducha dzięki więzi, jaką jest pokój” (Ef 4,3). To w dialogu objawia się dojrzałość wiary, miłość bliźniego i nadzieja, że nawet z najbardziej zawilej sytuacji można znaleźć drogę, jeśli idzie się nią razem.

### Trudne rozmowy budują wspólnotę

Wspólnota, która potrafi rozmawiać – szczególnie o tym, co trudne – buduje nie tylko wewnętrzne więzi, ale również trwałą pokój. A przecież ostatecznie właśnie o to chodzi: o wspólne dojście do prawdy, w której każdy może poczuć się u siebie.

Wspólnota buduje się w trudnych rozmowach – nie w zgodzie za wszelką cenę. To nie unikanie konfliktów, lecz umiejętność ich przeżywania w duchu wzajemnego szacunku pozwala nam dojrzywać jako osoby, jako wspólnota wierzących i jako społeczeństwo. Jezus mówi wprost: „Gdy brat twój zgrzeszy przeciw tobie, idź i upomnij go w cztery oczy” (Mt 18,15) – czyli rozmawiaj. To zaproszenie, by szukać porozumienia w rozmowie – nie z pozycji wyższości, nie agresywnie, nie z gotowym potępieniem, lecz w duchu braterstwa. Tam, gdzie jest przestrzeń na pytania, wątpliwości i szczerłość, tam możliwe jest wspólne rozeznanie, odnowienie i nadzieja. I tam właśnie zaczyna się prawdziwe życie Wspólnoty.





# Biblioteka Powązkowska

## Jak pokochać siebie

Są książki, które nie pouczają, tylko rozmawiają. „Girls’ Guide. Miłość i seks” to jedna z nich – ciepła, mądra i potrzebna. Piszą ją wspólnie lekarze, psychologowie i rodzice, ale czyta się jak rozmowę z kimś, kto naprawdę rozumie. To przewodnik po tym, co najtrudniejsze i najpiękniejsze jednocześnie: dorastaniu, emocjach, bliskości i szacunku do siebie.

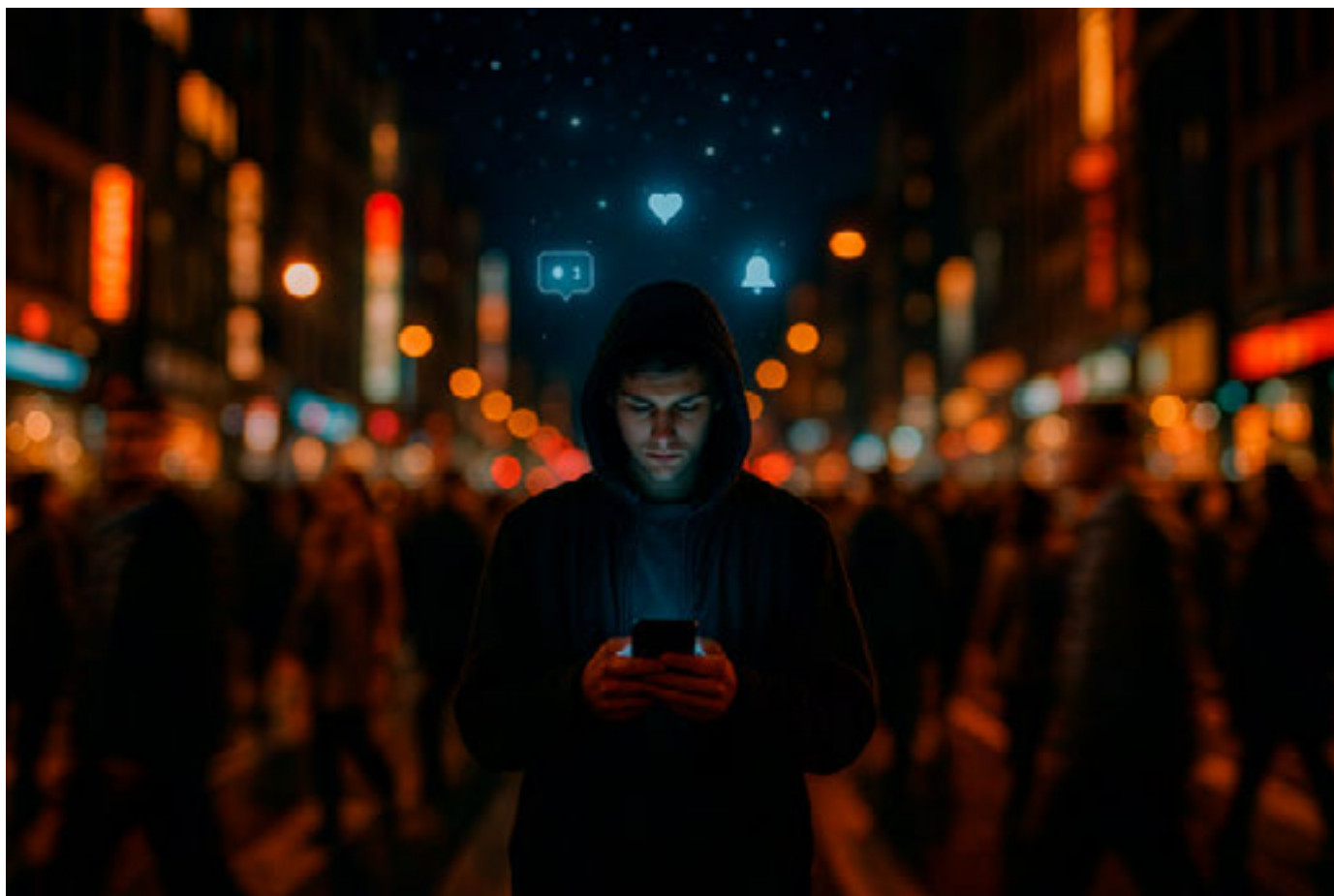
Nie ma tu moralizowania ani gotowych recept. Jest za to szczerść, humor i język, który buduje most między pokoleniami – między nastolatką a jej mamą, nauczycielką, ciocią. Ta książka uczy, że dojrzewanie nie musi być labiryntem, jeśli masz w ręku dobry kompas.

Warto przeczytać. Bo zanim nauczysz się kochać świat – dobrze jest nauczyć się kochać siebie.



# Samotność 5G

Ks. Jacek Laskowski



Żyjemy w epoce stałego połączenia. Ekrany świecą do późna, powiadomienia spadają jak deszcz meteorów, a mimo to wielu z nas zasypia z uczuciem, że nikt obok naprawdę nie słyszy naszego oddechu. To nie jest ta sama samotność, co kiedyś. Ma nowe maski, nowe filtry i nowy język.

„Online” nie znaczy „razem”. Wystarczy kilka sekund, by wysłać emotikon, serduszek czy krótką wiadomość. Technicznie – jesteśmy w sieci. Emocjonalnie – często poza zasięgiem. Dzisiejsza samotność rzadko polega na pustym domu; częściej na braku kogoś, kto nas naprawdę widzi i rozumie. To paradoks naszych czasów: rekordowa liczba kontaktów, a jednocześnie poczucie, że nie ma do kogo zadzwonić o trzeciej w nocy.

Media społecznościowe stworzyły iluzję bliskości. To galeria kadrów z życia „z najlepszej strony” – śniadania w idealnym świetle, uśmiechy bez kłótni, podróże bez opóźnionych lotów.

Patrzmy i mamy wrażenie, że cały świat śmieje się głośniejsze niż my. Ta bliskość bywa „przez szybę”: wiemy, co ktoś jadł, ale nie wiemy, co przeżywa. I im dłużej przewijamy, tym łatwiej wpaść w pytanie: „skoro wszyscy są szczęśliwi, czemu ja czuję pustkę?”. Odpowiedź bywa prosta – porównujemy naszą całość do cudzego fragmentu.

Warto przy tym odróżnić samotność od izolacji. Izolacja to fakt – mało kontaktów, puste kalendarze, milczący dom. Samotność to przeżycie – można stać w zatłoczonym tramwaju, rozmawiać

.....

***„Online” nie znaczy  
„razem”***

.....

na rodzinnej imprezie, mieć tysiące „znajomych” i czuć się niewidzialnym. Bywa też trzeci wymiar – samotność egzystencjalna: świadomość, że nikt,



choćby najbliższy, nie zajrzy do końca w nasze wnętrze. To element ludzkiej kondycji. Internet nie usunął tej prawdy, jedynie ją podświetlił.

.....

***Cisza to nie pustka;***

***to przestrzeń, w której dojrzewa sens***

.....

Samotność rzadko przychodzi sama. W jej ślad pojawia się głos wewnętrznego krytyka: „nie odpowiadają – pewnie jestem nieważny”, „mam mało reakcji – coś ze mną nie tak”. Mechanizm porównań społecznych robi swoje. Codziennie stajemy przed cyfrowym lustrem, które wyolbrzymia nasze braki, a pomniejsza mocne strony. To nie diagnoza naszej wartości, lecz efekt ekspozycji na cudze „highlighty” – kolorowe wycinki, które nie pokazują tła codzienności.

A jednak samotność może być także sygnałem, nie wyrokiem. Pełni rolę alarmu – jak ból, który chroni ciało. Mówi: „brakuje więzi, poszukaj spotkania”. Kłopot w tym, że nauczyliśmy się ten sygnał zagłuszać. Scroll działa jak tabletki przeciwbólowa: na moment łagodzi, ale nie leczy przyczyny. Po odłożeniu telefonu echo wraca. Zamiast posiłku – słodki napój; chwilowa ulga, zero odżywienia.

Istnieje też dobra, twórcza samotność – ta, którą wybieramy świadomie. To chwile, gdy milknie świat, a my zaczynamy słyszeć własne myśli. Cisza, która nie boli, ale koi. W takich chwilach rodzą się najlepsze pomysły, dojrzewają decyzje, powraca sens. Różnica jest subtelna, ale zasadnicza: nie uciekamy od siebie – uczymy się ze sobą rozmawiać.

Jak zatem dbać o higienę relacji w epoce przewijania? Zacząć można od drobiazgów. Krótkie, regularne przerwy od aplikacji – choćby 30 minut dziennie – potrafią zauważalnie obniżyć poczucie osamotnienia. Rytuały ciszy – spacer bez słuchawek, trzy głębokie oddechy przy oknie, pięć minut z długopisem i kartką. Cisza to nie pustka; to przestrzeń, w której dojrzewa sens. Warto też

praktykować życzliwość wobec siebie: zamiast „jestem beznadziejny”, powiedzieć „mam trudny dzień – i to normalne”. Ton wewnętrznego dialogu kształtuje nas bardziej niż liczba lajków.

Relacje wymagają jakości, nie ilości. Jedna szczerza rozmowa jest więcej warta niż setka reakcji. Bliskość rodzi się tam, gdzie można milczeć bez wstydu. Pomaga w tym mikroodwaga – napisać pierwszemu, zaprosić na kawę, podziękować, zainteresować się naprawdę. Bliskość lubi pierwszy krok – nawet niezgrabny. I jeszcze jedno: ogranicz porównywanie. Jeśli już porównujesz – rób to do swojej wczorajszej wersji, nie do cudzego feedu.

.....

***Nie potrzebujemy więcej kontaktów.***

***Potrzebujemy więcej obecności***

.....

Twórz. Muzyka, ogród, kuchnia, sport, modlitwa, tekst – cokolwiek, co zamienia chaos w sens i zostawia ślad poza ekranem. Bo wtedy życie odzyskuje wymiar dotyku, zapachu, oddechu – wymiar obecności.

Samotność w epoce powiadomień bywa jak echo: im głośniejsze wołamy w sieć, tym mocniej wraca cisza. Ale echo nie dowodzi, że nikogo nie ma – przypomina, by zmienić kierunek. Od ekranu do twarzy, od przewijania do rozmowy, od reakcji do relacji. Jedno prawdziwe spojrzenie, wspólne cappuccino i rozmowa „o wszystkim i o niczym” potrafią działać więcej niż tysiąc serduszek.

Nie potrzebujemy więcej kontaktów. Potrzebujemy więcej obecności. I od tego właśnie można zacząć dziś – od jednej wiadomości, jednego telefonu, pięciu minut ciszy i odwagi, by być naprawdę z kimś, a nie tylko obok.





*„Mówienie o Bogu nie jest aż tak ważne.  
Muszę go rozdawać”*

*bt. Chiara Luce Badano*



# COATLAXOPUEH

*TA, KTÓRA DEPCZE GŁOWĘ WĘŻA*

## MATKA NIENARODZONYCH

Matka Boża ukazana w ciąży

JUAN DIEGO

KĄT NACHYLENIA ZIEMI

23.5

## MARYJA PANNA Z GUADALUPE

Najczęściej odwiedzane sanktuarium Maryjne na świecie



# Pielgrzymka do Guadalupe

Ks. Jacek Laskowski

Mexico City nie przypomina żadnego innego miasta na świecie. Wjeżdża się do niego jak do oceanu życia: falującego, nieprzewidywalnego, pięknego w swoim chaosie. Ulice są tu jak rzeki – wąskie, szerokie, zakorkowane, krzyczące klaksonami, pełne kolorów i zapachów, które potrafią zachwycić i znużyć w tym samym momencie. Ściany domów – jedne obdrapane i kruche, inne świejące jak szkło – stoją obok siebie tak blisko, jakby mówiły: „Meksyk nie segreguje historii. Meksyk ją kolekcjonuje”.

Na chodnikach sprzedawcy ustawiają prowizoryczne stoiska z owocami, brelokami, kawą parzoną w aluminiowych czajniczkach. Ktoś gra na gitarze, ktoś inny śpi zawinięty w koc, ktoś sprzedaje różańce za pięć pesos. A ludzie... ludzie są tu jak żywe promienie słońca: ekspresyjni, serdeczni, hałaśliwi, a jednocześnie pełni ukrytej melancholii. Każdy nosi historię – a większość z tych historii ma w sobie nutę wiary. Właśnie z tych ulic zaczęło się nasze spotkanie z Meksykiem.

Nie od sanktuarium, ale od patrzenia na świat, w którym codzienność i mistyka przenikają się szybciej, niż zdążysz zrobić zdjęcie. W mieście, gdzie bieda nie jest końcem opowieści – jest początkiem nadziei. I w mieście, które – choć głośnie – ma wewnątrz pełne cichej tęsknoty za Bogiem.

.....

***Bóg lubi wybierać tych, którzy  
nigdy by siebie nie wybrali***

.....

To z tych ulic wyrósł Juan Diego.

Prosty. Cichy. Pokorny. Jedna z tysięcy niewidzialnych postaci w ciasnych uliczkach Tlatelolco. Indianin, którego świat nigdy nie uznałby za bohatera – gdyby nie to, że Bóg lubi wybierać tych, którzy nigdy by siebie nie wybrali.

Rankiem 9 grudnia 1531 roku szedł na Mszę. Jego krok był zmęczony, a serce – jak to serce ubogiego



człowieka – pełne trosk, które dźwiga się samotnie. I wtedy na wzgórzu Tepeyac zatrzymało go światło. Nie światło, które oślepia, ale światło, które otwiera oczy tak, że nie da się ich już zamknąć.

Matka Boża przemówiła do niego językiem Nahuatl, językiem serca jego ludu. Uśmiechała się tak, jakby znała go od zawsze. Nie przyszła po to, by zmienić religię. Przyszła, by zmienić ludzi – nie siłą, ale czułością.

A Juan Diego, zawstydzony i drżący, nie wiedział, co zrobić z tak wielkim darem. Mówił: „Nie jestem godzien”, jakby powtarzał historię Mojżesza i Dawida w jednym zdaniu. A Ona odpowiedziała słowami, które od tamtej chwili są jak puls całego narodu:

„Czyż nie jestem tutaj Ja, która mam zaszczyt być twoją Matką?”

W tamtym czasie Indianie nazywali Ją jeszcze inaczej. Słowem, które brzmiało jak *coatlxopeuh*. To słowo w języku Nahuatl znaczy: „Ta, która miażdży węża”.



Węża jako symbol zła, przemocy, strachu, a także jako symbol pogańskich wierzeń, które przez wieki odbierały ludziom nadzieję.

Gdy hiszpańscy misjonarze usłyszeli idiom *coatla-xopeuh*, zrozumieli go jako Guadalupe.

Dwie kultury spotkały się więc nie w konflikcie, ale w imieniu Matki.

I to właśnie ta Matka, ukazana na tilmie, jest brzemienna.

To nie jest ozdobna szarfa – to tradycyjny indiański znak cięży.

Jej ręce są ułożone tak, jak kobiety w stanie błogostawionym trzymały dłonie.

Jej tunika pulsuje światłem życia.

Dlatego Guadalupe nazywa się też Matką Nienarodzonych.

Na wzgórzu, gdzie składano kiedyś ofiary z dzieci, objawia się Ta, która niesie Dziecko.

W miejscu, gdzie śmierć była codziennością, pojawia się Ikona Życia.

W kulturze, która drżała przed bogami, przychodzi Matka, która mówi:

„Nie bój się. Jestem z tobą”.

A jest w tym obrazie jeszcze coś, co przekracza zwykłą ikonografię.

Głowa Maryi jest pochylona dokładnie o 23,5 stopnia.

To nie jest przypadkowe – to kąt nachylenia osi Ziemi.

Jakby Jej postać była wpisana nie tylko w historię narodu, ale w konstrukcję kosmosu.

Jakby Bóg chciał powiedzieć:

„To nie jest prywatna wizja.

To jest znak dla całej Ziemi – dosłownie”.

I to jest największa tajemnica Guadalupe: objawienie nie skończyło się na Juanie Diego.

Trwa. Dokonuje się za każdym razem, gdy człowiek staje przed jej obliczem – zmęczony jak on, niepewny jak on, pełen tęsknoty jak on.

Tak zaczęła się jego historia.

A potem – zaczęła się nasza.

Przyjechaliśmy tu małą grupą, dwanaście osób, trochę zmęczonych podróżą, ale jednocześnie



przepełnionych oczekiwaniem. Z ulic Mexico City weszliśmy w alejki sanktuarium, gdzie od razu czuć inną atmosferę – jakby powietrze było cięższe od modlitw, a ziemia pamiętała więcej łez niż deszczu.

Zanim jednak stanęliśmy przed Matką, weszliśmy do pierwszej świątyni – tej najstarszej, wzniesionej po objawieniu. Skromnej. Surowej. Bez ozdób. Bez zapachów kadzidła, bez uroczystej oprawy.

Tam sprawowaliśmy Mszę Świętą. To nie była liturgia, która miała zachwycić.

To była liturgia, która miała nas ogołocić.

Zostawić ambicje, zmęczenia, to, co przeszkadza patrzeć.

Msza była jak kamień – ciężka, prosta, pierwotna. I była jak otwarcie serca – nagłe, głębokie, bolesne, piękne.



# Pielgrzymka do Guadalupe

Nie było wielkich słów – było spotkanie.  
Nie było efektów – była obecność.  
Nie było pytań – była cisza, która uczy słuchać.

Dopiero wtedy byliśmy gotowi.  
Kiedy wyszliśmy z tej pierwszej kapliczki i weszliśmy do bazyliki, poczuliśmy, że stajemy na progu czegoś większego niż nasze oczekiwania. Taśma elektryczna przesuwająca nas powoli, jakby chciała dać czas, ale jednocześnie nieubłaganie przypominała: „To jest dar, nie twoja zasługa”.

Sekundy stawały się krótkie.  
Pragnienie – wielkie.  
Każde z nas patrzyło na Matkę jak dziecko na długo niewidzianą kochającą osobę.

Dlatego wróciliśmy jeszcze raz.  
Tym razem nie stojąc – ale klęcząc.  
Bo kiedy serce mięknie, kolana idą za nim.

W tej ciszy ks. Jarek wyciągnął z kieszeni obrączkę. Przyniosła ją kobieta w Polsce, prosząc tylko:



„Zawieź ją Matce. Ona zrozumie wszystko, czego nie umiem powiedzieć”.

Obrączka została złożona w sanktuarium. Nie jako symbol utraconej historii – ale jako gest ufności. Jako prośba. Jako oddanie. Jakby tam, przed Jej spojrzeniem, człowiek mógł oddać wszystko: radości, ból, rozstania, marzenia, winy, wdzięczność.

Guadalupe jest miejscem, gdzie spotyka się wiara i rozum.

I to nie w słaby sposób, nie w stylu „powierzchownej pobożności”.

Tutaj rozum jest zmuszony klęknąć – a wiara jest zmuszona myśleć.

.....

***Nie było wielkich słów –***

***było spotkanie***

.....

Bo obraz na tilmie wymyka się nauce:

- materiał, który nie powinien przetrwać pięciu lat – przetrwał pięć wieków;
- barwniki, których nikt nie potrafi zidentyfikować;
- oczy, które odbijają postacie z chwili objawienia;
- temperatura tkaniny identyczna z temperaturą żywego ciała;
- a głowa, pochylona nieprzypadkowo – dokładnie o 23,5°, jak pochylenie Ziemi.

Jeśli ktoś nie wierzy – trudno.

Ale wtedy musi nazwać to inaczej.

Może przypadkiem.

Może zbiegiem okoliczności.

Może fenomenem kulturowym.

Ale niech będzie konsekwentny – niech spróbuje policzyć, ile przypadków musi się nagromadzić, aby powstało jedno z najbardziej niepojętych zjawisk w historii świata.

To jeśli to jest tylko zbieg okoliczności, to jest to najbardziej uporządkowany, precyzyjny i konsekwentny przypadek, jaki kiedykolwiek widziało oko ludzkie.

.....

***Czyż nie jestem tutaj ta, która mam***

***zaszczyt być twoją Matką?***

.....

Nasze spotkanie z Matką było krótkie.

Za krótkie.

Ale wystarczyło, by człowiek odszedł innym, niż przyszedł.

Wracaliśmy alejkami sanktuarium, patrząc jeszcze raz, raz ostatni, raz ukradkiem, raz z czułością. A w sercu brzmiało zdanie, które Juan Diego usłyszał pięć wieków temu:

„Czyż nie jestem tutaj Ja, która mam zaszczyt być twoją Matką?”

W tym zdaniu mieści się wszystko.

I Meksyk, i jego biedne ulice.

I Matka, i Jej czułość.

I wiara, i rozum.

I nasze spojrzenie, i jej odpowiedź.

I *coatlxopeuh* – Ta, która miażdży węża.

I Dziecię, które nosi pod sercem.

I nienarodzeni, których Ona strzeże.

I Nachylenie Ziemi wpisane w Jej pochyloną głowę.

Dokładnie tak.

Tak jak wtedy.

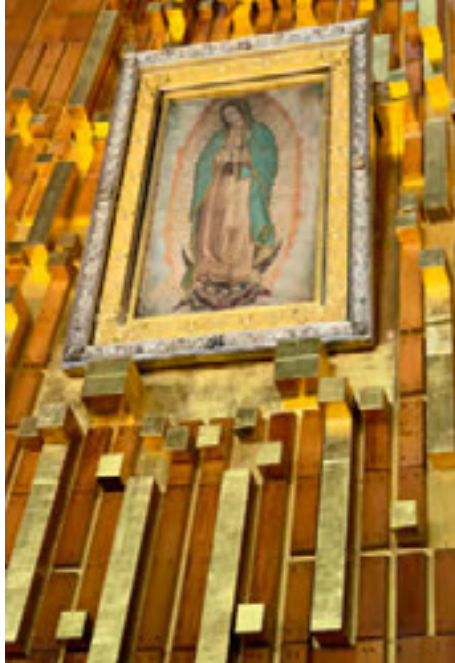
Tak jak dziś.







## *Matka Boża z Guadalupe*







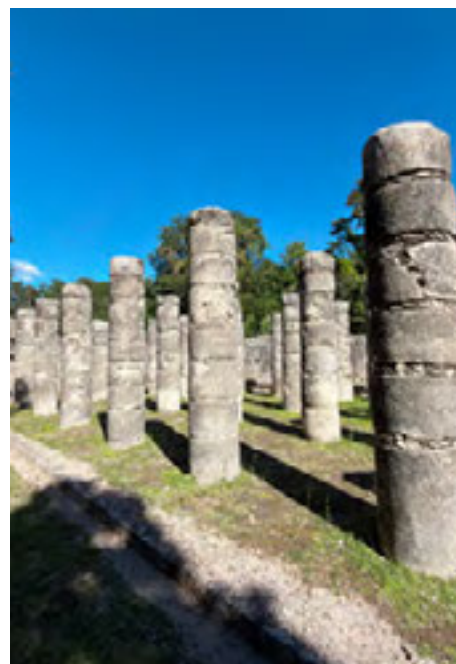
## *Ludzie Meksyku*



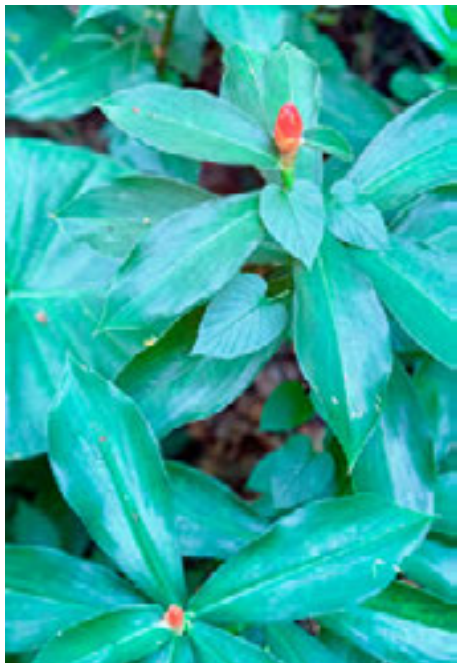




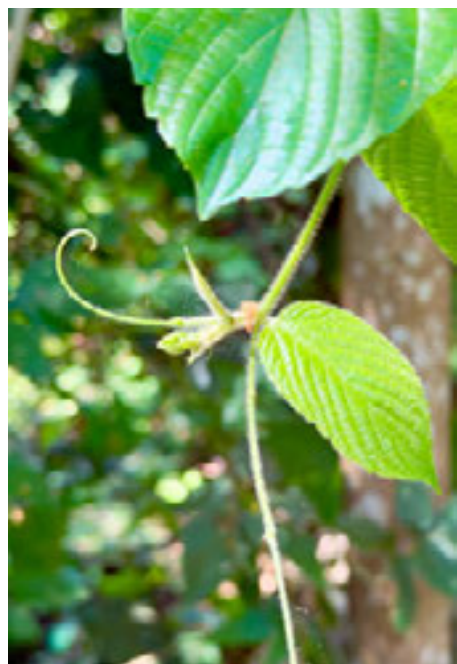
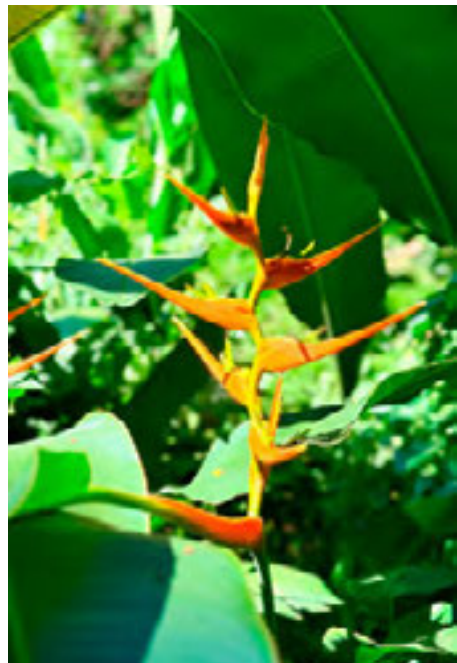
*Olmekowie*  
*Majowie*







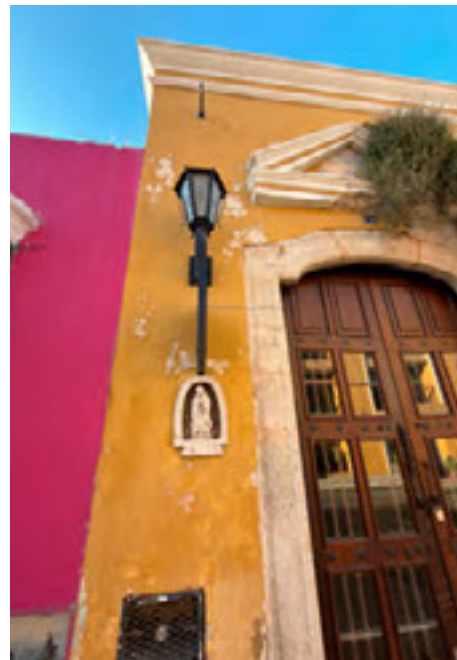
*Przyroda  
Meksyku*







## *Ulice Meksyku*







# **Tajemnica, której nie da się wyjaśnić**

## **Obraz, którego nie namalowała ręka ludzka**

Ks. Jacek Laskowski

W świecie, który wszystko bada, waży i mierzy, istnieje obraz, który wymyka się nauce. Nie zbladł, choć powinien zniknąć. Nie został namalowany, choć ma kolory żywsze niż jakiekolwiek płótno mistrzów. W jego oczach odbijają się ludzie – tak, jak w żywym oku. Obraz Matki Bożej z Guadalupe pozostaje jednym z największych cudów w historii chrześcijaństwa. Ale czy to naprawdę cud? Czy może doskonała tajemnica?



# Tajemnica, której nie da się wyjaśnić

## Obraz, którego nie namalowała ręka ludzka

**Czy można zobaczyć cud?**

**Czy można dotknąć tajemnicy, która przetrwała pięć wieków, mimo że nie powinna przetrwać nawet dwudziestu lat?**

**Czy możliwe, by spojrzenie Maryi naprawdę było żywe – tak żywe, że odbija się w nim człowiek?**

**W sercu Meksyku, w sanktuarium na wzgórzu Tepeyac, wisi obraz, który od wieków zaskakuje naukowców, artystów i wierzących. Obraz, którego nie sposób wytłumaczyć. Wizerunek Matki Bożej z Guadalupe. Nie został namalowany, nie został wydrukowany, nie został utkany. Po prostu... jest.**



### **I. Płótno, które nie powinno istnieć**

Zacznijmy od materiału – indiańskiego płaszcza z włókien agawy, tzw. tilmy. Tkaniny, która po dwudziestu latach zwykle rozsypuje się w proch. A tu – cud: ponad czterysta osiemdziesiąt lat później sploty są nienaruszone.

Jak to możliwe? Nie ma gruntu, nie ma farb, nie ma nawet pociągnąć pędzla. A jednak postać Maryi jest pełna blasku, jakby światło wypływało z wnętrza tkaniny.

W 1936 roku noblista Richard Kuhn badał kolory Obrazu. Wynik? Barwniki nieznane nauce. Nieorganiczne, nieminerálne, niemożliwe do powtórzenia.

W 1963 roku eksperci firmy Kodak orzekli: obraz ma cechy... fotografii.

A w 1979 roku badania w podczerwieni pokazały, że różowy pigment przepuszcza promienie, choć nie powinien. Jakby natura ustąpiła miejsca nadprzyrodzoności.

Naukowcy badali, analizowali, objaśniali – ale każda ich hipoteza kończyła się jednym słowem: niewytłumaczalne.

### **II. Oczy, które patrzą**

A potem przyszło coś jeszcze bardziej zdumiewającego.

W 1929 roku pewien okulista, przyglądając się fotografii Obrazu, nagle krzyknął i upuścił lupę. W źrenicach Maryi zobaczył... ludzi.

Nie jeden raz. W obu oczach.

Widział twarz Indianina Juana Diego, tego, któremu Maryja się objawiła. Widział biskupa Zumarragę, jego tłumacza, kobiety, dziecko, brodatego Hiszpana i czarnoskórą służącą. Trzydzieści postaci, odbitych w źrenicach jak w żywym oku.

Badania powtarzano dziesiątki razy, z użyciem oftalmoskopów, mikroskopów, cyfrowych kamer NASA. Efekt zawsze ten sam: źrenice reagują na światło, odbijają obraz zgodnie z prawami optyki.



## Tajemnica, której nie da się wyjaśnić

### Obraz, którego nie namalowała ręka ludzka

Zjawisko znane nauce jako efekt Purkyniego-Samsona – możliwe tylko w żywym oku.

Jak to możliwe, że płótno, które nie ma farby, ma oczy, które „żyją”?

Czy to tylko iluzja? Czy może Bóg postanowił pokazać światu, że Jego Matka naprawdę widzi człowieka?

### III. Wizerunek, który nawrócił naród

Ale największy cud wydarzył się nie w laboratorium, lecz w ludzkich sercach.

W ciągu kilku lat po objawieniach z 1531 roku ochrzczili się wszyscy Indianie w Meksyku – dziewięć milionów dusz. W ciągu siedmiu lat!

To nie była tylko zmiana religii. To było pojednanie dwóch światów: zwycięzców i zwyciężonych, Hiszpanów i Azteków. Narodu, który składał ofiary z ludzi, i narodu, który przyniósł krzyż.

I nagle – przestali walczyć. Znikła nienawiść.

Dlaczego? Bo Matka Boża z Guadalupe przemówiła do nich w ich języku – języku symboli.

Słońce za Jej plecami mówiło: „nie jestem bogiem”.

Księżyc pod stopami – „został pokonany”.

Złożone dłonie Maryi – „jestem służebnicą, nie boginią”.

A czterolistny kwiat na Jej sukni – dla Indian symbol Boga – wskazywał na Tego, którego nosi w łonie: Jezusa Chrystusa.

Ten obraz był Ewangelią bez słów.

I ta Ewangelia przemieniła naród.

### Pytanie, które zostaje

W świecie, który wszystko chce zważyć i zmierzyć, ten obraz pozostaje cichym sprzeciwem wobec racjonalizmu.

Nie mieści się w formule, nie poddaje się analizie, nie pozwala się skopiować.

Jakby sam Bóg chciał powiedzieć: „Nie wszystko, co prawdziwe, da się wyjaśnić”.

Można więc pytać:

Czy to tylko legenda?

Czy może znak – że Niebo naprawdę zostawiło swój ślad na ziemi?

A może najgłębszy cud z Guadalupe nie znajduje się na płótnie...

...ale w sercu człowieka, który po pięciu wiekach nadal klęka przed obrazem i czuje, że Ktoś naprawdę patrzy na niego z miłością.







# Miłość w trzech językach

## Wywiad: Tania Prado i Robert Kornecki

Ks. Jacek Laskowski

Tania i Robert. Są małżeństwem od 25 lat i od ćwierć wieku łączą w codzienności dwa światy – polski i meksykański. W tej rozmowie opowiadają, jak różnice stały się ich bogactwem, a dwie kultury jednym wspólnym domem.



*Jacek: Gdy ktoś was pyta, jak to jest być polsko-meksykańskim małżeństwem – co odpowiedzieć?*

**Tania:** Gdy ktoś nas pyta, jak to jest być polsko-meksykańskim małżeństwem, odpowiadam: to jest jak mieszkać w dwóch światach naraz... i w końcu odkryć, że można z nich zbudować jeden dom.

**Robert:** A ja dodaję, że ten dom stoi w Mexico City. Czyli w miejscu, gdzie nawet cisza ma klakson, a „zaraz wracam” może oznaczać wszystko od dwóch minut do dwóch epok geologicznych.

*Jacek: Jak zaczęła się wasza wspólna droga? To „mieszkanie w dwóch światach” pewnie nie przyszło od razu.*

**Tania:** (śmiech) Tak, mieszkamy na stałe w Meksyku. Małżeństwem jesteśmy od 2007 roku. Ale zanim powiedzieliśmy sobie „tak”, mieliśmy siedem lat takiego... adaptowania się. To był nasz długi prolog.

**Robert:** Długi i bardzo uczący. Bo różnice nie dotyczyły tylko tego, co jemy albo jak świętujemy. One dotyczyły sposobu myślenia: wychowania, historii, kontekstu kulturowego. W pewnym momencie zobaczyliśmy, że te różnice nie znikają jak plamy po wybielaczu.

**Tania:** Tylko raczej... przekształcają się w coś nowego. Powstała synteza. Nowa forma relacji. Jakbyśmy stworzyli własny mały „kraj”, w którym obowiązują nasze zasady.

*Jacek: Mówicie o „własnym kraju”. A jak to wygląda językowo? Jeden język? Dwa? Trzy?*

**Robert:** I nasz własny język. Na początku rozmawialiśmy po angielsku.

**Tania:** Potem ty nauczyłeś się hiszpańskiego...

**Robert:** A ty polskiego. I dziś bywa tak, że rozmowa jest trójjęzyczna. Zależy od tematu. I od emocji.

**Tania:** Bo są rzeczy, które łatwiej powiedzieć po polsku. A są takie, które po hiszpańsku brzmią jak kocyk na sercu.

**Robert:** Tyle że szybko odkryliśmy coś ważnego: znajomość języka nie kasuje różnic kulturowych.

*Jacek: No właśnie – różnice kulturowe. Macie jakiś prosty przykład z życia?*

**Tania:** W ogóle. Przykład najprostszy: „Spotkajmy się o 19:00”.

**Robert:** O, to jest temat rzeka. Dla Polaka 19:00 znaczy 19:00. Najlepiej 18:58, żeby nie było wstydu przed własnym sumieniem.

**Tania:** A dla Meksykanki 19:00 znaczy: „spotkajmy się wieczorem i bądźmy szczęśliwi, że w ogóle żyjemy”. (śmiech) Oczywiście przesadzam, ale wiesz, o co chodzi: u nas ważniejsze jest spotkanie niż wskazówka zegara.



**Robert:** I jeszcze słowo „nie”.

**Tania:** Tak. Dla Polaka „nie” jest normalne, jasne, uczciwe. Dla Meksykanki potrafi być jak zamknięte drzwi.

**Robert:** W Meksyku komunikacja jest bardziej łagodna. Jest dużo „proszę”, „czy mógłbyś”, „byłoby miło”. Czasem człowiek okrąża temat, żeby nikogo nie zranić.

**Tania:** A Polacy są często bardziej bezpośredni. I kiedy ja to poczułam, zrozumiałam, że to nie jest brak serdeczności. To jest inny sposób bycia prawdziwym.



## Miłość w trzech językach

**Robert:** A ja zrozumiałem, że łagodność nie jest unikaniem prawdy. Tylko troską o drugiego.

*Jacek: Żeby to tak zobaczyć, trzeba było pewnie czasu. Ile lat zajęło wam „wejście w kraj” tej drugiej osoby?*

**Tania:** Tego nie da się nauczyć w miesiąc. Trzeba w kraju pomieszkać wiele lat, żeby zacząć rozumieć, skąd to wszystko wynika. Ja od 2001 roku przyjeżdżam do Polski co roku na trzy miesiące.

**Robert:** I to zrobiło ogromną różnicę. Z czasem zaczęłaś mówić po polsku płynnie, ale ważniejsze było to, że zaczęłaś rozumieć Polaków „od środka”.

*Jacek: Jaką rolę odegrały wasze rodziny? To bywa delikatny temat w związkach międzynarodowych.*

**Tania:** Pomogła mi też polska rodzina. Oni mnie naprawdę zaadoptowali jak swoją. Dziś czuję, że jestem częścią rodziny polskiej.

**Robert:** A ja jestem integralną częścią rodziny meksykańskiej. I to jest dla mnie chyba jedna z najpiękniejszych rzeczy: że nasze rodziny nie walczyły o nas jak o trofeum.

**Tania:** Tylko nas przyjęły. Bo dla nas rodzina była od początku wartością nadrzędną. Wydaje nam się, że to był ten wspólny punkt, który trzymał nas razem.

**Robert:** Bo mimo różnic kulturowych, relacje w naszych rodzinach są podobne: bliskość, miłość, lojalność, troska.

*Jacek: A jak wygląda wasz rok liturgiczno-rodzinny? Święta to idealne miejsce, żeby zobaczyć miks kultur.*

**Tania:** I to się potem przeniosło na święta. U nas święta są jak mapa dwóch kontynentów na jednym stole.

**Robert:** Na Boże Narodzenie są polskie potrawy: czerwony barszcz, pierogi, ryby...

**Tania:** ...i meksykańskie: *bacalao a la vizcaína*, *romeritos*. To nie jest kompromis „po trochu”, tylko prawdziwa radość, że można mieć oba światy.

**Robert:** A opłatek? To było dla mnie niesamowite.

**Tania:** Moja rodzina przyjęła zwyczaj dzielenia się opłatkiem od pierwszego razu. I co ciekawe,

oni natychmiast zrozumieli, o co w tym chodzi – emocjonalnie. Że to jest o życzliwości, o pojednaniu, o tym, że człowiek chce drugiemu dobrze.

**Robert:** A Wszystkich Świętych? To dopiero jest piękne przemieszanie.



**Tania:** Idziemy na cmentarz, czyścimy groby, składamy kwiaty, zapalamy świece – jak w Polsce.

**Robert:** A w domu robimy mały ołtarzyk, jak w Meksyku: zdjęcia bliskich, ich ulubione jedzenie, pomarańczowe aksamitki *cempasúchil*, wycinanki z kolorowego papieru...

**Tania:** I Katrinę. Nie po to, żeby „robić folklor”, tylko dlatego, że w Meksyku pamięć o zmarłych jest też świętem życia. I my chcemy pamiętać pełnym sercem.

**Robert:** Na Wielkanoc gotujemy biały barszcz i robimy koszyczek do święcenia. I bywamy jedyną parą w kościele w Meksyku z takim koszyczkiem.

**Tania:** Wtedy czuję się trochę jak ambasadorka białego barszczu. (śmiej)

**Robert:** A ja czuję dumę, że mamy odwagę być sobą. To jest w ogóle ważne: w tej mieszance kulturowej przyjęliśmy najlepsze elementy z dwóch kultur.





**Tania:** Mogą być bogactwem. Jak Mexico City: głośnie, intensywne, czasem chaotyczne...

**Robert:** ...ale pełne życia. I pełne serca.

**Tania:** A nasz dom jest dokładnie tam, gdzie jesteśmy razem.

*Jacek: Bardzo wam dziękuję za tę rozmowę. Za szczerość, za humor, za tę niezwykłą lekkość, z jaką opowiadacie o sprawach, które wcale lekkie nie są. Słuchając was, człowiek naprawdę widzi, jak dwa światy mogą połączyć się w jedną drogę – nie przez rezygnację, lecz przez miłość, która ma odwagę być mądra, czuła i twórcza.*

*Życzę wam, aby wasz dom – ten zbudowany z polskiej serdeczności i meksykańskiego słońca – zawsze był miejscem, gdzie pachnie barszczem i cempasúchil, gdzie opłatek spotyka się z Katriną, a wasze serca pozostają tak samo otwarte, jak ulice Mexico City o świcie.*

*Jacek: Wspominaliście, że z niektórych rzeczy musicie też zrezygnować. Jak to wyglądało w praktyce?*

**Tania:** Tak, z niektórych rzeczy musieliśmy zrezygnować. I to było ciekawe, bo to nie była walka.

**Robert:** Raczej naturalne dojrzewanie. Ty stałaś się bardziej punktualna i bardziej konkretna.

**Tania:** A ty bardziej cierpliwy, wyrozumiały. I mniej walczysz z wiatrakami.

**Robert:** Bo zrozumiałem, że nie wszystko trzeba naprawiać, czasem wystarczy przytulić. (pauza) I wiesz co?

**Tania:** Co?

**Robert:** Żeby dojść do miejsca, w którym jesteśmy dziś – gdzie czujemy się jak jeden organizm – musiał upłynąć czas. Ale ten czas był dobry.

**Tania:** Był ciekawy. Pełen nauki o nas samych i o świecie. Nigdy nie było nudno. Nigdy nam się nie dłużyło.

*Jacek: Gdybyście mieli to wszystko zamknąć w jednej myśli o waszej miłości – co by to było?*

**Tania:** Że kochamy się bezwarunkowo.

**Robert:** I że jeśli miłość jest prawdziwa, to różnice nie muszą być przeszkodą.







# AED

## Urządzenie, które daje drugą szansę i odwagę, by ją podarować

Ks. Łukasz Wawro

W codziennym zabieganiu rzadko myślimy o chwilach, które potrafią przewrócić naszą rzeczywistość do góry nogami w ułamku sekundy. O sytuacjach, gdy czyjeś życie zaczyna wisieć na włosku, a jedynymi, którzy mogą odwrócić bieg wydarzeń, są ludzie stojący obok – często przypadkowi, czasem przestraszeni, prawie zawsze nieprzygotowani na to, co nagle spada im na barki. To właśnie w takich momentach okazuje się, że największą różnicę robi nie specjalistyczny sprzęt szpitalny, lecz odwaga zwykłych świadków i jedno proste urządzenie, które potrafi odmienić statystyki śmierci: defibrylator AED.

To nie tekst o technologii. To tekst o odpowiedzialności, o realnej mocy, jaką ma w rękach każdy z nas – niezależnie od zawodu, wieku czy doświadczenia medycznego. To zaproszenie do zrozumienia, że w świecie, w którym tak wiele zależy od słów, opinii i emocji, są sytuacje, w których liczy się jedna rzecz: działanie.

I właśnie o tym działaniu – szybkim, mądrym, prostym – opowiada ten artykuł.



# AED – urządzenie, które daje drugą szansę i odwagę, by ją podarować

## Urządzenie o wielkim potencjale

W przypadku nagłego zatrzymania krążenia (skr. NZK), jeżeli świadkowie zdarzenia nie podejmą żadnych czynności wobec poszkodowanego, zespół wezwanego na miejsce pogotowia ratunkowego może co najwyżej stwierdzić zgon. Jedyną szansą poszkodowanego na przeżycie są świadkowie zdarzenia. Jeśli podejmą uciskanie klatki piersiowej – statystyczne szanse przeżycia takiej osoby wynoszą 10–18% (różne szacunki). Jeżeli zaś w pobliżu będzie dostępny (i skutecznie użyty) defibrylator, szanse takiej osoby mogą nawet przekroczyć 90%!

Automatyczny Defibrylator Zewnętrzny, bo o nim mowa (nazywany skrótowo z angielskiego „AED”) to urządzenie ratownicze, coraz bardziej powszechnie dostępne. Możemy je znaleźć w wielu dyskontach (Lidl, Biedronka), na stacjach metra, w wagonach SKM i w wielu innych miejscach. Wiele firm, wspólnot mieszkaniowych czy nawet osób prywatnych decyduje się je zakupić na własną rękę. Jak zatem działa takie urządzenie, czy jest bezpieczne i czy rzeczywiście każdy może go użyć?

## Szkodliwe mity

W słynnym setnym odcinku serialu „Na sygnale” widzowie mieli okazję zobaczyć, jak ratownik, bohater tego serialu, zostaje porażony prądem przez AED. Ten nieszczęśliwy wypadek był motywem przewodnim całego odcinka. Niedługo po jego emisji około 1000 ratowników medycznych podpisało petycję do prezesa TVP. Domagali się sprostowania i zdjęcia z anteny feralnego odcinka. Nie bez powodu. Bo był to jeden z najbardziej szkodliwych wytworów telewizji publicznej. Nie chodziło tylko o to, że wydarzenie, pokazane w serialu, było sztucznie wydumane i śmiesznie nierealistyczne. Największą jego szkodą było potencjalne zniweczenie lat pracy i szkoleń prowadzonych przez personel medyczny. Wzbudzenie irracjonalnego lęku przed defibrylatorem i poten-

cjalne doprowadzenie do śmierci wielu poszkodowanych, którzy z tego powodu nie otrzymali pomocy.

Dlatego wpierw musimy wyraźnie podkreślić: urządzenie, jakim jest AED, nie stanowi zagrożenia ani dla poszkodowanego, ani dla świadków zdarzenia, nawet takich, co widzą defibrylator po raz pierwszy w życiu. Urządzenie samo wydaje komendy głosowe, jest całkowicie automatyczne i wyposażone w odpowiednie instrukcje. Żeby zrobić coś nie tak, trzeba byłoby świadomie i z premedytacją ignorować polecenia i wskazówki dawane przez urządzenie i nawet w takim wypadku konsekwencją będzie jedynie to, że urządzenie nie zadziała. Z pewnością więc nie możemy nim zaszkodzić, a z całą pewnością możemy bardzo pomóc.

## Jak działa defibrylator?

Defibrylator nie działa tak, jak wydaje się tym z nas, którzy znają jego działanie jedynie z filmów i seriali. Stałym motywem filmowym jest „płaska kreska” na ekranie monitora podłączonego do pacjenta, która sprawia, że personel zaczyna „strzelać prądem”, aby „pobudzić serce”. Dramatyczna, minutowa, ekranowa akcja, która kończy się przywróceniem życia lub stwierdzeniem zgonu. Tymczasem, przy asystolii (bo tak nazywa się ta „płaska linia”, która oznacza całkowity brak aktywności elektrycznej serca) defibrylacja nic nie pomoże. Defibrylator bowiem nie „włącza” serca. On je wyłącza!

Dla kogoś, komu temat jest całkowicie obcy, może wydawać się to dziwne lub szokujące. Wyłącza serce i ratuje życie? Dokładnie tak! Ale po kolei.

Kiedy następuje zatrzymanie krążenia, praktycznie zawsze, zanim serce całkowicie się zatrzyma (asystolia, patrz wyżej), przechodzi wpierw w migotanie. Serce w migotaniu przypomina „trzęsącą się galaretę” – bardzo się męczy, zużywa całą



## AED – urządzenie, które daje drugą szansę i odwagę, by ją podarować

swoją energię i nie „pompuje” krwi dalej. Krążenie stoi, tkanki nie otrzymują tlenu, a serce, mówiąc kolokwialnie, wariuje. Jeśli w czasie trwania tego chaotycznego, wyniszczającego rytmu serce otrzyma odpowiednio dobrany impuls elektryczny, może się „zresetować”. Wyładowanie powoduje bowiem zatrzymanie „chaosu”, wszystkie komórki na moment milkną, a węzeł zatokowy dostaje szansę, aby uruchomić serce w sposób uporządkowany i prawidłowy. Podkreślimy to jeszcze raz – w migotaniu serce „śmiertelnie” się męczy i co gorsza, jest całkowicie nieefektywne, bo nie przetacza dalej krwi. Po zatrzymaniu serca, ta agonalna, chaotyczna walka trwa do ok. 3–5 minut, albo dłużej, jeśli świadkowie podejmą uciskanie klatki piersiowej.

I jeśli w jej trakcie podłączony do poszkodowanego defibrylator wykryje „rytm do defibrylacji”, to wtedy – i tylko wtedy – pozwoli na jej przeprowadzenie. Dlatego też obsługa AED nie wymaga żadnej specjalistycznej wiedzy. Zaprojektowany jest właśnie dla osób bez wykształcenia medycznego, a priorytetem jest prostota i bezpieczeństwo.

### Łańcuch przeżycia

AED ma oczywiście swoje ograniczenia. Przede wszystkim nie robi on żadnej zaawansowanej diagnostyki. Nie niweluje przyczyn zatrzymania krążenia samych w sobie. Aby jednak pacjent mógł otrzymać leczenie, musi do czasu jego wdrożenia (i wcześniejszych niezbędnych badań) zwyczajnie dożyć.

Dlatego w ratownictwie stworzono coś takiego jak tzw. „łańcuch przeżycia”. Czwartym i ostatnim ogniwem tego łańcucha jest wczesna specjalistyczna pomoc medyczna. Tę wykonuje Zespół Ratownictwa Medycznego. Ale wcześniejsze trzy punkty należą do świadków zdarzenia. A są to: wczesna ocena sytuacji (i rozpoznanie braku oddechu, co wskazuje na zatrzymanie krążenia), natychmiastowe rozpoczęcie uciskania klatki piersiowej (i ew. oddechów zastępczych) oraz

jak najszybsze podłączenie AED. Te trzy wczesne ogniwa łańcucha przeżycia są poza zasięgiem jakichkolwiek służb medycznych, niebędących świadkami zdarzenia.

Dlatego tak ważne jest, aby świadkowie postarali się o to, by jak najszybciej rozpocząć uciskanie klatki piersiowej i podłączyć defibrylator, najlepiej obie te czynności w miarę równocześnie. I dlatego dobrze jest mieć w odległości do 5 minut piechotą od swojego miejsca zamieszkania dostęp do defibrylatora. A także warto co jakiś czas odbyć szkolenie z pierwszej pomocy, by przypomnieć sobie, jak prawidłowo uciska się klatkę piersiową i wykonuje inne czynności ratujące życie.

### Zadanie domowe

Drogi Czytelniku, jeśli dotarłeś do tego miejsca, rozejrzyj się proszę w swojej okolicy. Gdzie znajduje się najbliższy AED? Szukaj zielonego symbolu z piorunem, sprawdź aplikacje „Ratownik” lub „Staying Alive”. Możesz mieć je bliżej, niż myślisz – a koszt nowego urządzenia to mniej więcej cena iPhone’a.

A gdy kiedyś zajdzie potrzeba jego użycia, po prostu odsłoń klatkę piersiową, włącz AED i słuchaj poleceń. Urządzenie poprowadzi Cię krok po kroku.

Właśnie dlatego chcemy, by takie AED znalazło się również w naszym kościele – bo troska o życie i wzajemna odpowiedzialność są częścią naszej wspólnoty. Niech będzie to konkretny znak miłości bliźniego.





# Opowieść o starcu, który rozdawał kamienie

Ks. Jacek Laskowski

W małym miasteczku, pośród lip pachnących jak wspomnienia dzieciństwa, mieszkał starzec imieniem Anastazy. Był człowiekiem cichym, trochę z innego świata – mówił powoli, słuchał długo, a oczy miał jak studnie: im dłużej się w nie patrzyło, tym więcej w nich było nieba.

Nie miał wiele. Mieszkał w drewnianej chacie przy torach, które dawno zarosły trawą i prowadziły donikąd. Stare szyny skrzypiały w upały, a gdy deszcz spływał po nich jak po zmarszczkach, wyglądały jak drogi, którymi nikt już nie wróci. Anastazy nie narzekał. W dzień chodził po okolicy z płóciennym workiem na ramieniu. Ludzie myśleli, że zbiera grzyby, może jagody, a może i wspomnienia, bo często siadał na kamieniach i długo patrzył w ziemię, jakby słuchał, co mówi.

Kiedyś jeden chłopiec, odważniejszy od innych, zajrzał do jego worka i zdziwił się. W środku nie było nic prócz kamieni – gładkich, różnokolorowych, każdy inny, jakby każdy niósł własną opowieść.

– Po co ci te kamienie, dziadku? – zapytał.

– Żeby dawać – odpowiedział z prostotą.

I tak rzeczywiście było.

Każdy, kto spotkał Anastazego, dostawał od niego jeden kamień. Nie wybierał ich według znaczenia, a jednak każdy trafiał dokładnie tam, gdzie był potrzebny. Nie tłumaczył, dlaczego właśnie ten. Po prostu wręczał, patrząc człowiekowi w oczy, jakby przekazywał mu coś więcej niż tylko przedmiot. Pewnego dnia młody mężczyzna, przygnieciony własnym życiem, usiadł przy nim i westchnął:

– Wszystko się sypie. Nie wiem, po co to wszystko.

Starzec sięgnął do worka i podał mu ciężki, czarny kamień.

– Weź go. Noś w kieszeni, dopóki nie zrozumiesz, że nawet kamień ma swoje miejsce w strumieniu.

Innym razem do Anastazego przyszła kobieta w czerni. Straciła męża, a razem z nim nadzieję. Starzec podał jej maleńki, jasny otoczek, gładki jak myśl pogodzona z losem.

– Widzisz? – powiedział. – Był kiedyś ostry jak ból. Ale woda, zamiast go zniszczyć, uczyniła pięknym. Czas robi to samo z tobą.

A kiedy zapłakane dziecko przyniosło mu zepsutą zabawkę, starzec się uśmiechnął i podał mu kamień w kształcie serca:

– Nic nie jest naprawdę zepsute, dopóki ktoś to kocha.



## Opowieść o starcu, który rozdawał kamienie

Z biegiem czasu ludzie zrozumieli, że Anastazy nie rozdaje kamieni, ale nadzieję – w formie, którą da się wziąć do ręki. Trzymali je w domach, na parapetach, przy łózkach, w kieszeniach płaszczy. Z czasem powstała nawet legenda, że kto nosi kamień od Anastazego, ten nie zginie w samotności, bo kamień „pamięta człowieka”.

Kiedy starzec umarł, wieść rozeszła się po okolicy szybciej niż dzwon z kościoła. Całe miasteczko przyszło na jego pogrzeb. Każdy przyniósł swój kamień – z wdzięczności, z tęsknoty, z miłości. Złożyli je na jego grobie, aż powstał z nich mały kopiec, mieniący się w słońcu jak mozaika ludzkich historii. I wtedy zdarzyło się coś niezwykłego. Kiedy ostatni kamień został położony, słońce wyszło zza chmur, a światło odbiło się w ich powierzchniach, tworząc tysiące drobnych błysków. Ktoś szepnął:  
– Patrzenie, jakby każdy kamień miał w sobie jego spojrzenie.

Od tamtej pory ludzie zaczęli mówić o nim nie jak o dziwaku, lecz o mędrцу. Zrozumieli, że ciężar, który czasem nosimy w sercu, nie zawsze jest karą. Może być darem – czymś, co trzeba przekazać dalej, żeby nie zgubiło sensu.

Kamień, który wydaje się bezużyteczny, może być początkiem mostu.

A ciężar, którego chcemy się pozbyć, bywa tym, co utrzymuje nas przy ziemi, gdy życie próbuje nas porwać jak wiatr.





A person with a backpack stands on a sand dune, looking out over a vast desert landscape at sunset. The sun is low on the horizon, casting a warm, golden glow over the sand dunes and the sky. The person is seen from behind, wearing a light-colored shirt, dark pants, and a backpack. The sand dunes are rolling and undulating, with some small shrubs scattered across the landscape. The sky is filled with soft, wispy clouds, and the overall atmosphere is peaceful and contemplative.

*Pustynia nie tyle jest miejscem, ile  
ciszą. Taką ciszą, w której przestają  
krzyczeć sprawy pilne. Zaczyna mówić  
to, co najważniejsze. I wtedy człowiek  
odkrywa siebie bez masek. I jeszcze  
głębiej. Odnajduje Boga w sobie – jak  
źródło pod piaskiem, którego nie widać,  
a które od początku było.*



# Pióro, które myśli

## O mocy odręcznego pisania

Ks. Jacek Laskowski

Coraz rzadziej trzymamy w dłoni pióro. Klawiatura stała się naszym codziennym narzędziem, a nawet głosem – bo przecież wiele notatek dziś dyktujemy do telefonu. Wydaje się szybciej, łatwiej, nowocześniej. A jednak... coś po drodze tracimy.

Bo kiedy kartka spotyka się z atramentem, w głowie dzieje się coś niezwykłego. Naukowcy z rzymskiego Istituto Superiore di Sanità, pod kierunkiem Giuseppe Marano, pokazali, że pisząc ręcznie, uruchamiamy w mózgu prawdziwą orkiestrę neuronów. Nie tylko zapisujemy słowa – komponujemy myśli.

### Litera, która rozświecła mózg

Wystarczy, że pióro dotknie papieru. Wtedy do pracy rusza kora ruchowa i przedruchowa, mózdzek, płaty ciemieniowe odpowiedzialne za

.....

*Pisząc ręcznie uruchamiamy  
w mózgu prawdziwą  
orkiestrę neuronów*

.....

przestrzeń, ośrodki mowy i pamięci. Każda litera to mały taniec pomiędzy ruchem, wzrokiem, dotykem i językiem.

Pisanie na klawiaturze tego nie daje. Tam wszystko dzieje się zbyt mechanicznie – stuk, stuk, stuk.

Ręka naciska klawisz, ekran błyska, myśl znika. A dyktowanie? Jeszcze gorzej: wtedy mózg prawie odpoczywa, jakby był tylko redaktorem, nie twórcą. Dlatego ręczne notatki zapadają głębiej – bo pisząc, nie kopiujemy, lecz rozumiemy.

### Wolniej znaczy mądrzej

Pisanie ręczne ma swój rytm. Nie pozwala się spieszyć. Wymaga wyboru słów, skracania, parafrazowania. I właśnie w tej powolności kryje się mądrość – bo wtedy mózg naprawdę myśli.

To, co pióro zapisze, serce i pamięć przyswajają inaczej: treść zamienia się w strukturę, w mapę znaczeń. Po latach właśnie te mapy wracają w najmniej spodziewanych momentach – przypominają zdania, które kiedyś zrodziły się między piórem a kartką.



Elektronika nie daje nam takiej głębi. Daje tempo, ale odbiera pamięć. A pamięć, jak mięsień, potrzebuje wysiłku – właśnie tego, który czujemy, kiedy pismo trochę się chwieje, a litera czasem ucieknie poza linię.

### **Dotyk, opór, ślad – czyli język zmysłów**

Papier nie jest neutralny. Ma fakturę, stawia opór, przyjmuje ślad. To wszystko angażuje zmysły, które budują z mózgiem trwałe połączenia.

Neurobiolodzy mówią: im więcej kanałów informacji – dotyk, wzrok, ruch – tym silniejsze ścieżki neuronowe. Dlatego dzieci szybciej uczą się liter, gdy je piszą, a nie tylko oglądają. I dlatego dorośli, który notuje własnoręcznie, dłużej pamięta to, co zapisał.

Tablet z rysikiem potrafi udawać ten proces, ale papier wciąż ma przewagę – jest najbardziej „prawdziwy”. Ma w sobie ciszę, szelest i opór, które uruchamiają pamięć głębiej niż jakikolwiek ekran.

### **Pisanie jako inwestycja w przyszłość**

Uczeni coraz częściej używają pojęcia rezerwy poznawczej. To nasze oszczędności w banku neuronów – zapas połączeń, który chroni mózg

.....

***Wystarczy, że pióro***

***dotknie papieru***

.....

przed starzeniem. Tworzymy go przez całe życie: ucząc się, rozmawiając, grając na instrumentach... i pisząc ręcznie.

Każdy zapisany list, każdy dziennik, każda notatka – to mikroskopijna gimnastyka umysłu. Nie zapobiega demencji jak tabletki, ale wzmacnia odporność mózgu tak samo jak spacer wzmacnia serce.

Nie trzeba wiele. Wystarczy zwykły zeszyt.

### **Zeszyt jako codzienny trening uważności**

Spróbuj zacząć dzień od trzech zdań wdzięczności. Rano – za co dziękujesz, co chcesz dziś dobrze zrobić. W południe – krótkie notatki z lektury, z rozmowy, z myśli. Wieczorem – dwa, trzy zdania podsumowania: co się udało, co trzeba powierzyć Bogu.

.....

***Pióro wciąż wygrywa***

***z klawiaturą***

.....

W weekend napisz list – do siebie sprzed roku, albo do kogoś, komu chcesz coś powiedzieć bez ekranu pośrednika. Nie chodzi o piękne pismo, lecz o to, by myśl przeszła przez palce. Bo to, co przechodzi przez rękę, zostaje w sercu.

### **Pismo święte codzienności**

Kościół zawsze żył słowem, które zapisywała ludzka ręka: od mnichów w skryptoriach po zeszyty z modlitwami naszych dziadków. Dziś, w epoce dotykowych ekranów, może właśnie ten gest – trzymanie pióra i zapisywanie dobra – jest na miarę duchowego oporu wobec pośpiechu świata.

Weź więc kartkę. Zapisz jedno zdanie, jedno imię, jedno słowo wdzięczności. Niech to będzie Twoje małe ćwiczenie pamięci i serca.

Bo pióro wciąż wygrywa z klawiaturą.

Nie dlatego, że jest starsze – lecz dlatego, że naprawdę dotyka człowieka.



# RESUME

## WIELKANOC

Wielkanoc jest jak poranek, który nie mieści się w granicach świata – bo oto Bóg wchodzi w samą ciemność śmierci i wychodzi z niej zwycięsko, niosąc światło, którego nic już nie zdoła zagasić. A jeśli On żyje, to i ja będę żył na zawsze. W tym triumfie nie chodzi tylko o kosmiczną walkę życia ze śmiercią, ale o czułe zwycięstwo Miłości, która nie zgodziła się mnie stracić.

## GUADALUPE

Guadalupe przekonuje mnie właśnie tym, że rozum i wiara mówią tam jednym głosem. Gdy patrzę na fakty, a potem na ich duchowy sens, widzę harmonię zbyt logiczną, by ją odrzucić, i zbyt czułą, by nie była prawdziwa. To objawienie, które nie prosi o wiarę – ono ją budzi.

## WIZYTACJA KANONICZNA

Wizytacja kanoniczna nie jest jedynie wydarzeniem zapisanym w kalendarzu. To moment, w którym parafia zatrzymuje się, by spojrzeć w lustro własnego życia, a Kościół – przez obecność biskupa – dotyka serca wspólnoty. Gdy 15 i 18 marca 2026 roku na Stare Powązki przybędzie pasterz diecezji, nie będziemy świadkami procedury, lecz spotkania. Spotkania, które ma moc obudzić w nas to, co najprawdziwsze: jedność, wiarę i żywe pragnienie, by Chrystus znalazł tu swój dom.

## ALGORYTMY WYCHOWUJĄ?

Algorytmy nie mają sumienia, a jednak coraz częściej wychowują nasze dzieci. To one decydują, co młodzi zobaczą, kogo uznają za autorytet i na co zareagują gniewem albo zachwytem. W świecie, w którym emocja wygrywa z prawdą, media społecznościowe stają się nie tylko źródłem informacji, lecz także narzędziem ideologizacji – a jej skutki widać w podziałach społecznych, kryzysie zdrowia psychicznego i erozji zaufania.

## ALFABET, KTÓRYM BÓG NAPISAŁ WSZECHŚWIAT

W lwowskiej Kawiarni Szkockiej rodziły się idee, które zmieniały świat – zapisane piórem, powoli, z namysłem, jakby myśl potrzebowała ręki, żeby dojrzeć. Dziś neurologia zaczyna potwierdzać intuicję Banacha i Ulama: odręczne pisanie uruchamia w mózgu gęstą sieć połączeń odpowiedzialnych za pamięć i rozumienie, podczas gdy klawiatura często daje tylko szybki „wydruk” bez głębokiego śladu. Jeśli matematyka jest alfabetem, którym Bóg napisał wszechświat, to warto zapytać, czy nie uczymy się go zbyt często... samym klikaniem.

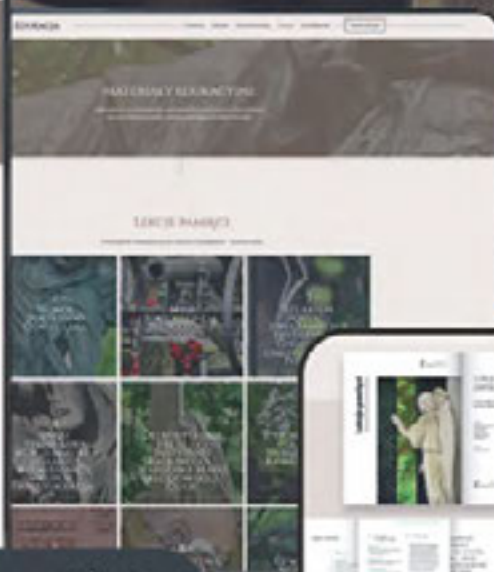
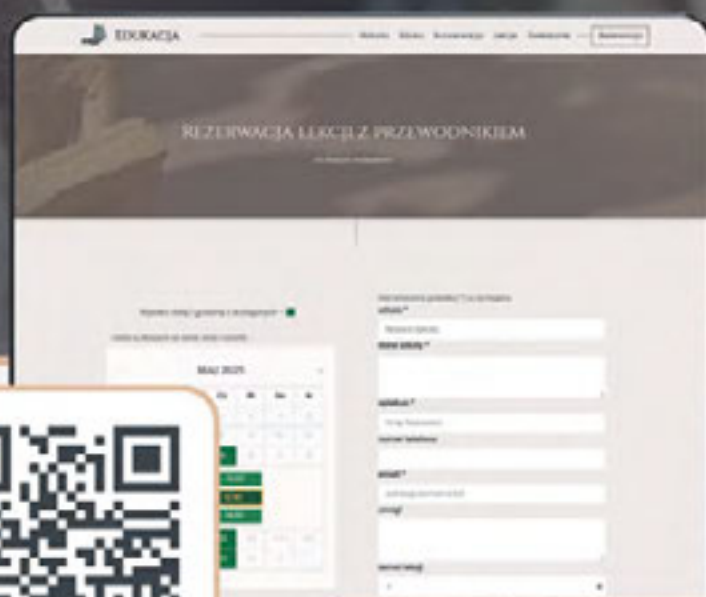
## AUTORZY

Grażyna Kuźma  
Anna i Jan Biłykowie  
Iwona Czajkowska  
Lera Ferlij  
Bożena Ćwikła  
Maria Bryzgalska  
Tomasz Zieliński  
Edgar Sukiennik  
Wiktor Zieliński  
Marek Laskowski  
Arkadiusz Zawadzki  
Wiktoria Osmańska  
Tania Prado  
Robert Kornecki  
Bogdan Więckiewicz  
ks. Jarosław Kamiński  
ks. Piotr Hejna  
ks. Łukasz Wawro  
ks. Jacek Laskowski



## POZNAJ STARE POWĄZKI BEZPŁATNE LEKCJE PAMIĘCI

*Ciekawe lekcje historii, a w tle burzliwe losy  
Warszawy i Polski ostatnich 230 lat.*



[edukacja.stare-powazki.pl](http://edukacja.stare-powazki.pl)

### REZERWACJE TERMINÓW I TEMATÓW

na stronie  
internetowej

### TAJEMNICE I SKARBY STARYCH POWĄZEK

**Śladem odkrywców, naukowców, poetów, pisarzy,  
lekarzy, przedsiębiorców i wojskowych, a kto jeszcze?**

Po szlakach historii poprowadzą licencjonowani przewodnicy warszawscy. Oferta skierowana do szkół, ale nie tylko. Każdy może zwiedzić Stare Powązki z naszym przewodnikiem.





**PRZEKAŻ 1,5% PODATKU**



**FUNDACJA  
STARE POWĄZKI**

---

**EDUKUJEMY, RATUJEMY ZABYTKI,  
PODTRZYMUJEMY PAMIĘĆ**

---

**KRS 0000886931**